

ZYGMUNT  
MIŁOSZEWSKI  
HYDROPOLIS

UCIEKAJ



ilustracje  
Piotr Sokółowski

Wydawnictwo  
ab

TOM  
1

Zygmunt Miłoszewski  
**HYDROPOLIS. UCIEKAJ**

Ilustracje Piotr Sokołowski



Copyright © Zygmunt Miłoszewski, 2022

Wydanie I

Warszawa MMXXII

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych -- jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

# Spis treści

Dedykacja

Motto

\*\*\*

Rozdział 1. O ocieraniu się o śmierć po raz pierwszy

Rozdział 2. O Stanie, który próbował zatopić całą kolonię

Rozdział 3. O mamie, która trochę przeraża

Rozdział 4. O "prawie randce" w naświetlarni

Rozdział 5. O płaczących bohaterach

Rozdział 6. O rozmawianiu szyfrem

Rozdział 7. O niezrozumieniu

Rozdział 8. O dnie nad powierzchnią

Rozdział 9. O eksperymencie z rurą

Rozdział 10. O miłości mojego życia

Rozdział 11. O ocieraniu się o śmierć po raz drugi

Rozdział 12. O powierzchni

Rozdział 13. O oxy

Rozdział 14. O samodzielnym treningu

Rozdział 15. O myśleniu na terapii

Rozdział 16. O tym dniu

Rozdział 17. O nienawiści

Rozdział 18. O zrozumieniu

Rozdział 19. O powrocie

Rozdział 20. O wychowaniu naprawczym

Rozdział 21. O randce

Rozdział 22. O ucieczce

Rozdział 23. O oceanie

Rozdział 24. O srebrnej lampie

Rozdział 25. O strefie kontroli

\* \* \*

O autorze

*Wymyślone i spisane dla Karola, który kocha przygody*

Tutaj nie ma miejsca na błędy wychowawcze.  
Każdy błąd może kosztować najwyższą cenę:  
istnienie całego społeczeństwa.

Janusz A. Zajdel, Paradyzja

## **Mieszkańcy kolonii są wolni, o ile nie narusza to Uniwersalnych Zasad Bezpieczeństwa.**

Uniwersalna Zasada Bezpieczeństwa nr 1

Sprawa wygląda tak, że muszę opisać wszystko to, co się wydarzyło. Nie wiem, czy to zła wiadomość -- spokojnie, do takich jeszcze dojdziemy. Jest to wiadomość, powiedzmy, neutralna. Jest też dobra: mogę opisać wszystko tak, jak chcę, nawet to, co naprawdę myślę i sądzę o tym wszystkim, i nawet mogę użyć brzydkich wyrazów, serio, upewniłem się kilka razy, ale i tak trochę głupio, bo mamy będą to pewnie czytały jako pierwsze. No nieważne, za dużo gadam, jak zwykle, zamiast przejść do rzeczy. Trochę żałuję, że zaczynacie czytać i od razu wiecie, że bohater przeżywa wszystkie przygody, bo skoro je opisuje, to znaczy, że żyje, co nie? Ale nie mam kompletnie pomysłu, jak to obejść, więc musicie się pogodzić z tym, że bohater żyje, przykro mi. Bohater, czyli ja, czyli Elek z Drugiej Kolonii Podwodnej (III ery Hydropolis), z bąbla mieszkalnego dwa-cztery-pięć. A to, co piszę, to nie żadna ściema, tylko najprawdziwsza prawda.



## Rozdział 1. O ocieraniu się o śmierć po raz pierwszy

Zacznę od momentu, kiedy o mało się nie utopiłem. Przez własną głupotę, oczywiście. Niezależnie od tego, w której kolonii mieszkacie, na pewno tak samo w kółko straszą was utonięciem -- taka obsesja podwodnego świata -- więc wiecie, czego się spodziewać. Ja też wiedziałem i rozumiałem, że nie dam rady, że instynkt zawsze jest silniejszy od naszych chęci, że w końcu przegram z samym sobą, spróbuję nabrać powietrza, a zamiast tego zaczerpnę do płuc wody. Ale i tak walczyłem. Traciłem ostrość widzenia, czarne plamki latały mi przed oczami, płuca bolały, bolały zaciśnięte usta, mięśnie przestawały mnie słuchać. A mimo to nie czułem strachu, tylko wściekłość.

Czemu? Czemu po raz kolejny okazałem się idiotą? Dostrzegłem przecież znak Stana mówiący, żeby odpuścić, tylko uznałem, że jest daleko i nic nie widzi, Virgilia wolno pływa, a mnie na pewno się uda. I nawet jeśli ta szarża kilka minut przed końcem kwinty zużyje tyle mojego tlenu, że z trudem dotrwam do końca, to zdobyte punkty będą tego warte. W połowie drogi stało się jasne, że Virgilia wcale nie jest wolna i wyprzedzi mnie na sto procent, ale zamiast zrezygnować, docisnąłem tylko spust butli z tlenem, używając jej jako dopalacza.

Dlaczego, pytacie? To znaczy wiem, że o różne rzeczy pytacie, bo jeśli nie jesteście z naszej kolonii, to nie macie pojęcia o grze w oxy, ale to wyjaśnię później. Miałem pisać szczerze, więc będzie szczerze: bo to Virgilia, bo chciałem być lepszy od niej, bo chciałem się pokazać, bo chciałem, żeby ten pojedynek rozegrał się między nią a mną i żebym to ja był w tym pojedynku lepszy. Nigdy jej już nie zobaczę, więc napiszę

wprost: po prostu ogromnie mi się podobała. Proszę, powiedziałem to, możecie się śmiać.

Wyprzedziła mnie o metr, niby daleko, ale na tyle blisko, żebym mógł zobaczyć jej bardzo piękny i bardzo złośliwy uśmiech. Przez resztę kwinty robiłem wszystko, żeby oszczędzać siły i resztki tlenu w butli, więc chłopaki tyle miały ze mnie pożytku, co z kawałka glona unoszącego się w wodzie, ale starałem się przynajmniej bronić naszej bramki.

Zostały dwie minuty do końca, kiedy wycisnąłem z butli ostatnie krople tlenu i stało się jasne, że nie wytrzymam. Walczyłem, naprawdę walczyłem, ale nie miałem wyjścia. Gdybym stracił przytomność pod wodą i uruchomił procedury awaryjne, stałbym się pośmiewiskiem na długie tygodnie, czego na szczęście bym nie wiedział, bo wcześniej wściekłe matki wrzuciłyby mnie do bioreaktora. W końcu sięgnąłem do jednej z awaryjnych butli na siatce, co automatycznie oznaczało poddanie kwinty przez moją drużynę. Wziąłem kilka głębokich oddechów, odepchnąłem się od siatki, dwa razy machnąłem płetwami i przez studnię na szczycie sfery wyszedłem do akwarium, starając się nie myśleć przez cały ten czas o minie czekającego tam trenera.

Niestety, zamazana mina trenera była pierwszym, co zobaczyłem przez ociekającą wodą maskę.

-- Elek, mój kochany Elek, czy wiesz, czemu po raz nie-wiem-który w swojej karierze żałuję, że oxy jest grą zespołową?

Zdjąłem maskę. Błąd. Twarz trenera nabrała ostrości i dokładnie mogłem zmierzyć skalę jego wkurzenia. Małe oczka -- zmrużone. Wydatne usta -- zaciśnięte w kreskę. Zmarszczka między brwiami -- głęboka tak, że można by było tam schować trochę żarcia na czarną godzinę. Z dziesięciu pozostałych mu włosów sześć sterczało w nieładzie.

Po dokonaniu niezbędnych obliczeń oceniłem stopień wkurzenia Fila na siedemnaście w skali do dziesięciu. Postanowiłem więc grać grzecznie.

-- Nie wiem, panie trenerze -- odpowiedziałem. Nie była to prawda, ale cóż, nie pierwsza to taka rozmowa, znałem dobrze swoje kwestie.

-- Ponieważ w sporcie indywidualnym mógłbym wybrać jednego zawodnika, który myśli, i jemu poświęcić swój czas. A tak, muszę mieć jednego, który myśli, jednego osiłka i jednego głąba, który robi wszystko na odwrót. Ale myślę sobie: nie jest źle, wystarczy, że osilek i głąb będą słuchać mózgowca. Co może pójść nie tak?

-- Przepraszam, panie trenerze.

-- Ależ proszę uprzejmie, mój drogi. Tylko ja jeszcze nie skończyłem. Spójrz na swojego kolegę Stana.

Stan ściągnął już płetwy i kombinezon, wycierał się do sucha ręcznikiem i patrzył na mnie błagalnym wzrokiem mówiącym: tylko czegoś nie wykręć, to Filo się znudzi swoją własną przemową i nas puści.

-- Patrzą, patrzą z podziwem, panie trenerze -- powiedziałem. -- Wspaniały, młody mężczyzna.

Pepe, trzeci z naszej drużyny, zarżał wesoło.

-- Kpisz sobie? -- Filo spojrzał podejrzliwie.

-- Nie, panie trenerze.

-- To dobrze. To bardzo dobrze. Spójrz na Stana i powiedz: czy on jest tak silny jak Pepe?

-- Nie.

-- Tak szybki jak ty?

-- Nie.

-- To dlaczego jest kapitanem?

Stan skrzyżował swoje pulchne ramiona, a jego wzrok wyrażał już tylko wielkie błaganie, żeby nie prowokować Fila głupimi odzywkami, bo się rozkręci. Milczałem więc, ale wiecie, jak to jest. Im bardziej próbowałem zachować powagę, tym bardziej śmiech dusił mnie w gardle, a do głowy przychodziły najdurniejsze zdania w rodzaju "Bo ma takie piękne czarne włosy", "Bo ma takie mięciutkie paluszki" i "Bo śpiewa tak pięknie jak syrena", ale na szczęście, zanim zdecydowałem, Filo kontynuował, biorąc moje milczenie za skruchę.

-- Bo myśli! Bo w sporcie zespołowym i w sporcie w ogóle nie wygrywa ostatecznie ten, kto jest silniejszy, zwinniejszy i wytrzymalszy. Wygrywa ten, kto myśli, kto przewiduje ruchy przeciwnika i kto popełnia mniej błędów. A ty dziś co myślałeś, Elek?

-- Myślałem, że zdążę.

-- Błąd! Ty w ogóle nie powinieneś być myśleć, bo ty nie jesteś od myślenia, tylko od szybkiego pływania! Ja tobie zabraniam myśleć, nie wolno. A ty, Pepe, nie rechocz, bo tobie też zabraniam. Wy macie od myślenia kapitana i cały system znaków do informowania, co macie robić. Gdyby to nie był trening, to przecież byśmy położyli cały mecz. W trzeciej kwincie! Jak ja bym się potem w swoim bąblu pokazał, co ja bym żonie powiedział?!

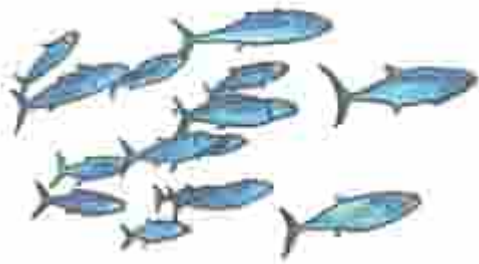
Filo skończył i zapatrzył się w studnię wejściową do sfery, w której wesoło chlupotała błękitna woda. Poprawił sześć sterczących włosów, zmarszczka na czole zniknęła. Wiedziałem, że powinienem czekać ze spuszczoną głową, ale zawsze miałem coś takiego, ciągle mam, że mój język ma swój osobny mózg, który czasami szybciej podejmuje decyzje niż ten główny mózg. Może dlatego, że jest bliżej?

-- Mógłby pan powiedzieć żonie, że ją pan bardzo kocha. Moja mama bardzo lubi, jak żona jej tak mówi.

Filo spojrział na mnie ciężko.

-- Idźcie już, jutro macie wolne, bo jest Przeprowadzka, ale pojutrze zrobimy dziesięć kwint, pięć sami i pięć z dziewczynami.

Jęknęliśmy zgodnie z prastarym zwyczajem wszystkich dzieci świata, które słyszą, że nie tylko trzeba będzie zrobić coś w ogóle, lecz jeszcze zrobić tego czegoś więcej.



## Rozdział 2. O Stanie, który próbował zatopić całą kolonię

Przez pogadankę niestety minęliśmy się w szatni z dziewczynami, co, jak się domyślacie, bardzo mnie zasmuciło, bo od kilku tygodni treningi w sferze były dla mnie tylko przerywnikiem między cudownym szatniowym czasem, kiedy mogłem przebywać w jednym pomieszczeniu z Virgilią i... już może starczy w tym temacie. Nagle się przestraszyłem, że jednak wrócę do kolonii, gdzie oczywiście wszyscy to czytali i będą mieli turbobekę, tylko Virgilia, trzymając w ręku ten tekst, pojdzie do mnie, zdmuchnie grzywkę z czoła i powie... Nie, naprawdę, starczy. Jak mawia tata Pepe: ciach bajera.

Filo przeszedł z nami przez śluzę oddzielającą sferę do oxy od kolonii, machnął ręką na pożegnanie i potruchtął w kierunku swojego bąbla. Tutaj przyda się słowo o śluzach -- to już na pewno w każdym zakamarku Hydropolis wygląda totalnie tak samo, ale na wszelki wypadek.

U nas każde pomieszczenie oddzielone jest od innych pomieszczeń albo korytarzy śluzą i jak mawia czwarta Uniwersalna Zasada Bezpieczeństwa, które w skrócie nazywamy *Uzbami*, "W każdej śluzie jedne drzwi pozostają zawsze zamknięte. Dotyczy także inżynierów". Czyli w naszym przypadku weszliśmy do śluzy pomiędzy sferą a kolonią, Filo zasunął wrota za nami i dopiero wtedy mógł otworzyć wrota do kolonii. Superlogiczne -- gdyby gdzieś wtargnął ocean, to zalałby wyłącznie ten jeden segment, nigdy nie zdarzała się sytuacja, żeby dwóch elementów kolonii nie oddzielały zamknięte drzwi.

No więc weszliśmy w wieczorny rozgardiasz kolonii. To zawsze jest taki chaotyczny moment, kiedy w ciasnocie korytarzy wszyscy przemieszczają się między bąblami, z fachowych do zaopatrzeniowych, z zaopatrzeniowych do mieszkalnych, ze szkolnych do rekreacyjnych. Drzwi śluz syczały albo piszczały alarmy załogowe, kiedy gdzieś osiągnięto limit ludzi w segmencie i nie można było wpuścić nowych. Woda jeszcze kapiała nam z włosów na koszulki, trochę dlatego, że nie chciało nam się suszyć, a trochę dlatego, że rozgrywki oxy cieszyły się dużą popularnością i lubiliśmy się obnosić z tym, że właśnie wyszliśmy ze sfery. Na chwilę przestawaliśmy być wtedy zwyczajną dzieciarnią, a stawaliśmy się podziwianymi przez tłum podwodnymi wojownikami. Tak, wiem, jak to brzmi, ale czasami naprawdę ktoś na nas spojrział, serio. Niestety głównie jakieś ciotki, żeby nas objechać, że się przeiębimy. Nieważne.

Zmierzchało (zawsze chciałem tak napisać, jak w książce!), woda za świetlikami zmieniła kolor z turkusowego na ciemnozielony, zapalały się światła. Ten moment w kolonii lubiłem najbardziej, kiedy wszystko wydawało się swojskie i bezpieczne. Tamten wieczór pamiętam wyjątkowo, bo to był ostatni normalny wieczór. Byli tu moi kumple, w domu czekały mamy, następnego dnia miałem w końcu zobaczyć swoją siostrę po dwóch latach rozłąki, a jeszcze następnego Virgilię na podwójnej sesji treningów, w żyłach płynął mi sportowy haj, naprawdę odjazd. Trochę szkoda, że nigdy już nie przeżyję takiego wieczoru.

-- Śmieszne, że za każdym razem kiedy do sfery wskakuje Virgilia, myślisz trochę wolniej -- powiedział Pepe w przestrzeń, jakby do nikogo konkretnie.

-- Odpuść -- poprosiłem. Trochę naprawdę chciałem, żeby odpuścił, a trochę miałem nadzieję, że nie odpuści, bo pomysł rozmowy o Virgilli

nie był taki zły.

-- Co? Co powiedziałeś? -- Pepe na jedno ucho nie słyszał w ogóle, a na drugie ledwo, ledwo i często to wykorzystywał, żeby udawać, że nie wie, co się do niego mówi. Tak naprawdę miał w uszach aparaty i słyszałem kiedyś, jak tata Pepe opowiadał moim mamom, że -- cytuję: "nieznośny bachor słyszy, jak ryby pływają, a udaje głuchego".

-- Powiedziałem, żebyś spływał!

-- Tak, masz rację, jak ona pływa! Jak foka, jak syrena, jak władczyni oceanu, ty chyba dwa razy więcej tlenu zużywasz od razu.

-- Mówiłem ci już dziś "pocałuj mnie w tyłek", bo nie mogę sobie przypomnieć?

Zapowiadało się na dłuższą przekomarzanekę, kiedy zza ściany dobiegł rytmiczny stuk podkutych butów, uderzających o stalową podłogę. Zaszemrało, rozmowy przygasły – jak zawsze, kiedy pojawiają się inżynierowie. Rutynowa wizyta czy coś się dzieje? Przeciek? Niebezpieczeństwo? Wszyscy odruchowo przesunęli się w stronę najbliższych służ.

-- To twoja stara? -- zapytał mnie Pepe.

-- Nie, poznaję ją po krokach. Dziś w ogóle ma wolne, szykuje się na jutro, na wizytę Alicji.

-- Dobrze, muszę ci powiedzieć, twoja stara mnie trochę przeraża.

Nie skomentowałem, choć doskonale wiedziałem, o co mu chodzi, opowiem wam za chwilę. Wysunąłem się do przodu, ciekaw, czy to jakiś znajomy mamy. Kroki zatrzymały się, zaskrzypiały ciężkie sworznie drzwi do tunelu technicznego i wyszedł z nich postawny, kompletnie łyсы mężczyzna w pomarańczowym kombinezonie inżyniera z numerem trzy na piersi. Wszyscy odruchowo zapletli palce w geście pozdro-



wienia, inżynier był nie tylko inżynierem, lecz także jednym z Dzieśiątki, a tacy rzadko wyłaniali się z tuneli serwisowych.

Trójka albo Łysy, bo tak w kolonii nazywano tego inżyniera, rozejrzał się ponurym wzrokiem i bez słowa podszedł do tablicy hydraulicznej po drugiej stronie korytarza. Popatrzył na wskaźniki, coś przesunął, coś dokręcił i zniknął z powrotem w tunelu serwisowym. Zaskrzyptały sworznie, zadźwięczały głucho stalowe buty. Ot, dzień jak co dzień w kolonii. Skończyło się przedstawienie, wszyscy odetchnęli z ulgą i ruszyli dalej, my też, porzuciwszy niestety rozmowę o Virgiliu. Mijaliśmy tablicę hydrauliczną, kiedy Stan zatrzymał się nagle i podszedł do wskaźników.

-- Oszalałeś -- mruknąłem, wbrew sobie przestraszony, jednak ponad dziesięć lat tłuczenia *Uzbów* do łba zmienia człowieka. -- Zaraz ktoś się przychrzani.

-- Przecież nic nie robię. Patrzę i myślę.

-- Pan trener byłby zachwycony.

-- Idzie ktoś?

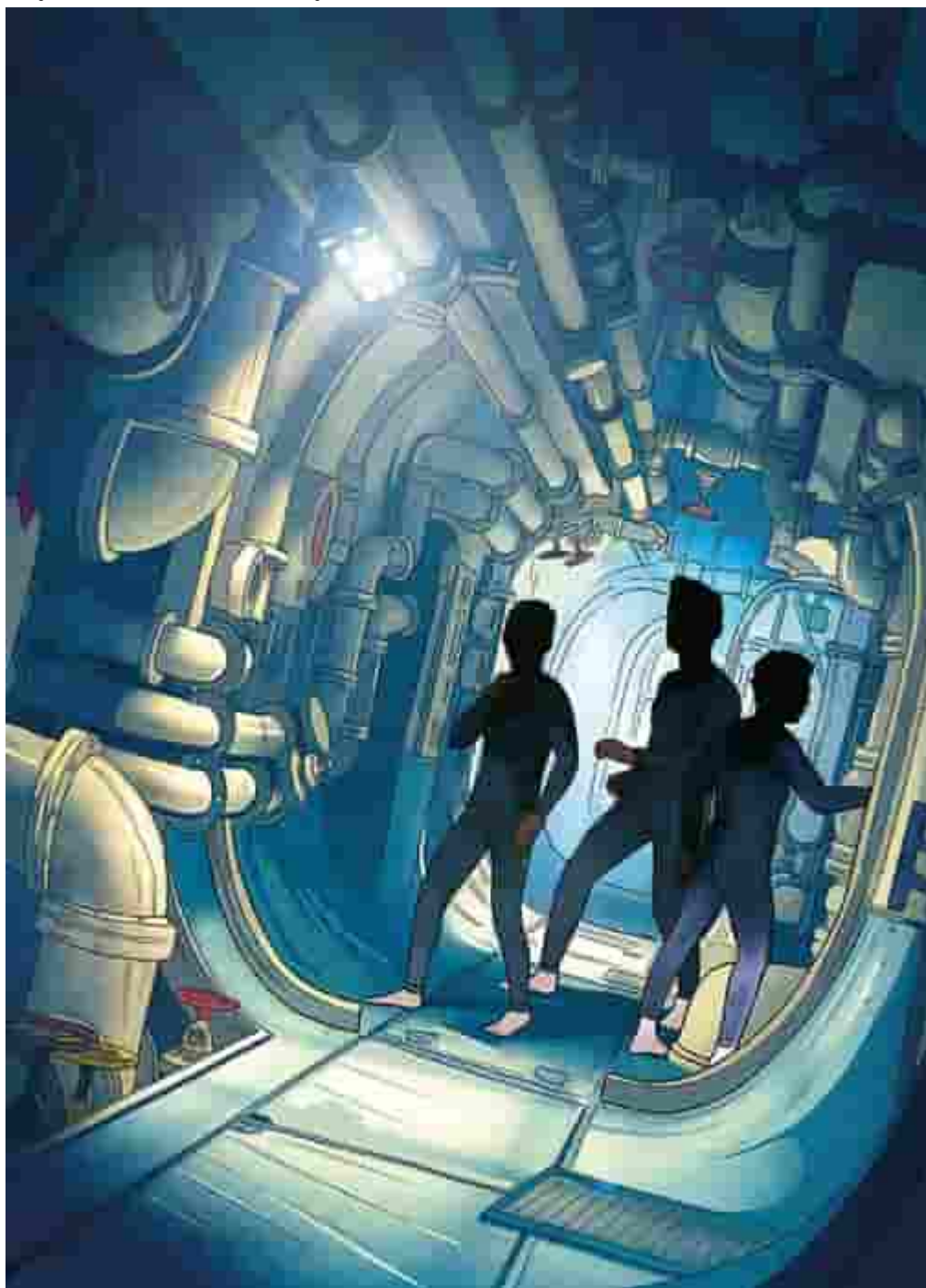
Rozejrzałem się. Słysząc było ludzi, ale na tym krótkim kawałku, od jednego zakrętu do drugiego, korytarz akurat świecił pustkami.

-- Nie.

I wtedy Stan, jak gdyby była to najnormalniejsza rzecz pod wodą, sięgnął i przekręcił dwa zawory i na dokładkę jakiś suwak na tablicy. Zmartwiałem, już drugi raz tego dnia poczułem, że umieram, a Pepe ze strachu ścisnął mnie za ramię tak mocno, że przez tydzień miałem ślady. Może i ten wariat był głuchy, ale najsilniejszy z nas wszystkich, bez dwóch zdań.

-- Zwariowałeś? -- Pepe tak się trząsł, że ledwo można było zrozumieć, co mówi. -- Chcesz nas wszystkich zabić? Chcesz zatopić całą ko-

lonię? Wysłać nas do strefy kontroli?



Dodałbym coś, ale nie byłem w stanie, kompletnie mnie sparaliżowało ze strachu. Gardło miałem ściśnięte i przez cały czas patrzyłem, czy gdzieś ze ścian albo sufitu nie zaczyna tryskać woda.

-- Przepraszam -- wyszeptał Stan. -- Lepiej, żebyśmy wszyscy zginęli, niż żeby biedna Virgilia miała paść ofiarą tego zboka.

Udało nam się roześmiać. Z wielkim trudem. Bałem się śmierci, jasne, ale dowiedzieć się zniecka, że mój najlepszy przyjaciel zwariował -- nie była to dobra wiadomość.



## Rozdział 3. O mamie, która trochę przeraża

Być może czytacie to w innych koloniach Hydropolis, gdzie podobno rodziny i w ogóle wszystko wygląda inaczej, więc wyjaśnię pokrótce, jak to jest u nas. Dużo gadaliśmy o swoich starych i oczywiście regularnie wybuchały awantury, kto ma lepiej, a kto ma gorzej. Tutaj wrzucę, że nie było u nas dzieciaków z tylko jednym rodzicem. Nie wiem dlaczego, po prostu tak było. A jeśli chodzi o ranking, to mimo ich liczebnej przewagi rodziny z mamą i tatą uznawano ostatecznie za zwyczajnie nudne, nawet jeśli niektórzy walczyli do końca, przytaczając przykłady ciekawych traum i patologii. Mój własny model dwóch matek zajął trzecie miejsce, perspektywa posiadania dwójki rodziców, którzy tak samo jęczą w sprawie bałaganu w pokoju, wzbudzała powszechne przerażenie. Drugie miejsce zajęli podopieczni dwóch ojców, głównie dlatego, że czasami rywalizowali o to, który jest lepszym ojcem, i wymyślali fajne atrakcje. Ale i tak najfajniej mieli ci z różnych stadnych układów z kilkoma mężami albo kilkoma żonami, albo i kilkoma mężami, i żonami. Budzili powszechną zazdrość, bo w każdym takim domu kłębiła się masa dzieci, co oznaczało ekstazę nieustającej rodzinno-przyjacielskiej imprezy. Ostatecznie uznaliśmy, że gdyby to od nas zależało, to wszystkie modele powinno się przekształcić w model stadny.

Czyli macie ogólny obraz i teraz wyobraźcie sobie mnie przy stole: siedzę w swoim domowym bąblu dwa-cztery-pięć, beztriosko żyjąc, uśmiechnięty i zadowolony, w spokoju patrząc na moje akwarium. Wsuwam na deser truskawki z glonami i słucham wykładu mamy Betty

o straszliwych niebezpieczeństwach czyhających na mnie w sferze w czasie gry w oxy, jakby to nie był po prostu popularny sport, uprawiany w towarzystwie kolegów i pod okiem trenera.

-- Ale dlaczego czekałeś do ostatniej chwili z sięgnięciem po awaryjny tlen, ty chyba nie myślałeś, że możesz wstrzymać oddech na dwie minuty?

Drugi raz ktoś tego dnia kwestionował moje myślowe kompetencje, zaczynałem czuć się urażony.

-- Mój rekord to prawie cztery, przecież to ćwiczymy, oddychamy czystym tlenem, tylko wtedy byłem zmęczony, próbowałem, ale nie było szans.

Serio, w tej chwili bardzo chciałem mieć ojców, którzy weszliby do kuchni, walnęli mnie w plecy i powiedzieli: "no, młody, fajnie ocierać się o śmierć, co?". Oczywiście wiem, że ojcowie w kolonii tak nie mówią, ale pofantazjować można.

-- Dlaczego nie możesz grać w normalne oxy, dziwię się, że wam w ogóle na to pozwalają.

Normalne oxy to takie, kiedy butli wolno używać tylko do oddychania, więc zawsze każdemu starcza do końca kwinty. Wiem, ciągle to dla was niejasne, ale wyjaśnię wszystko, jak będzie porządny mecz, obiecuję.

-- Mamo, przecież normalne oxy jest dla przedszkolaków, nikt tego nie chce oglądać, równie dobrze można by patrzeć, jak to wygląda na rekreacji, stare baby i niemowlaki.

I oczywiście na te słowa o starych babach weszła mama Liza, jakby wyczuła, że kochana żona potrzebuje wsparcia, aby razem mogły mnie wprasować w podłogę, zwinąć w rulonik i schować do szafki, żebym tam już był bezpieczny po wsze czasy.

-- Jak stare te baby? Tak stare jak twoje matki?

-- Matki? Myślałem, że jesteście moimi siostrami.

Trafiłem celnie, musiały bardzo się starać, żeby się nie roześmiać w czasie Jakże Ważnej i Istotnej Rozmowy o Bezpieczeństwie. Tak, w ogóle dwie matki są okej, ale koniec końców to -- cóż zrobić -- matki, dwie jednoosobowe centrale bezpieczeństwa połączone w jeden najwyższy komitet do spraw bezpieczeństwa.

Mama Betty wróciła do swojego hobby, czyli szkicowania ołówkiem różnych roślin z farmy, a mama Liza przysiadła się do stołu i zaczęła mi grzebać palcami w deserze, oczywiście wybierając truskawki i omijając glony. Nie cierpiałem tego, normalnie sprawiała mi tym fizyczny ból.

-- Mamo, daj spokój, no, nałóż sobie, jak chcesz.

-- Nie chcę, dzióbnię sobie tylko od ciebie.

Wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem, ponieważ, jak pamiętacie, był to ostatni normalny dzień mojego życia. A w normalnym życiu od zawsze śmialiśmy się z mamy Lizy, że grzebie wszystkim w talerzach, tym chętniej, jeśli są to desery. Serio, potrafiła palcami wyjeść komuś pół miski lodów, zastrzegając cały czas, że ona nie chce, nie ma ochoty, tylko skubnie albo dzióbnie, albo grzebnie, albo spróbuje, poczęstuje się -- miała w słowniku tuziny określeń, aby opisać bezczelną kradzież jedzenia. Śmiałem się, byłem szczęśliwy i pewnie już was nudzę, bo jesteście ciekawi, czemu Pepe mówił, że moja stara go trochę przeraża.

Szczerze? Mnie też trochę przerażała.

Wszyscy inżynierowie budzili lęk, przecież od dzieciństwa wpajano każdemu z mieszkańców kolonii, że tylko oni stoją pomiędzy naszym kruchym życiem a żywiołem oceanu. Ich decyzje nie podlegały negocjacji, nieposłuszeństwo wobec nich karano w najsurowszy sposób, ze śmiercią włącznie, i już ośmiolatkiem mogli za to wylądować w strefie

kontroli. Zналиśmy tylko ich numery (chyba że ktoś miał mamę inżynierkę) i wszyscy opowiadali sobie o nich historie jak o mitycznych herosach. Trochę byli superbohaterami, trochę naukowcami, trochę techniczną sektą przekazującą sobie tajemną inżynierską wiedzę. I dla wszystkich to zawsze miało sens, przecież nasze przeżycie zależało od szczelności i trwałości konstrukcji spoczywającej na dnie oceanu kolonii, logiczne, że największą władzę mieli nie kanclerz czy szefowie sektorów, ani nawet nie zgromadzenie, tylko właśnie inżynierowie. Dlatego Uniwersalne Zasady Bezpieczeństwa mimo swojej szczegółowości sprowadzały się w gruncie rzeczy do prostego przykazania: po pierwsze, słuchać inżynierów. Po drugie, po trzecie i po setne -- patrz: po pierwsze.

Moja mama była dla wszystkich Czarną Czternastką, nazywali ją tak z powodu obciętych na jeża, czarnych jak atrament kałamarnicy włosów. I może w domu kradła żarcie z talerza i potrafiła żartować jak nikt, ale poza domem nie śmiała się, nie uśmiechała, prawie nie odzywała. Opowiem wam o pewnym wydarzeniu, które miało miejsce, kiedy jeszcze ssałem kciuczka. W jednym z bąbli w czwartym sektorze doszło do rozszczelnienia, okazało się, że w środku jest mała dziewczynka. Wody przybywało błyskawicznie, mała nie miała żadnych szans. Mama znajdowała się najbliżej; wskoczyła do śluzy, zamknęła za sobą drzwi, zalała śluzę i wpłynęła do środka -- bez sprzętu, tylko z awaryjnym litrowym zbiornikiem tlenu -- takim, jakiego używamy do gry w oxy. Szansa na to, że taki zapas starczy dla inżynierki, zanim ekipa wyjdzie na zewnątrz, zaspawa przeciek i wypompuje wodę, była bardzo niewielka, właściwie żadna. Szansa, że dzięki temu przeżyją ona i przerażona pięcioletnia dziewczynka -- zerowa. A jednak. Mama oddała tlen dziecku, a sama wyszukiwała kieszonki powietrza w zakamar-

kach pomieszczenia. Kiedy nie było już czego szukać, opadła na podłogę i wstrzymała oddech. Kiedy po półgodzinie awarii wypompowano wodę i inżynierowie weszli do środka, spodziewali się zobaczyć dwa trupy. Znaleźli przestraszone dziecko i medytującą koleżankę. Wytrzymała bez zaczerpnięcia oddechu prawie osiem minut, czytniki kombinezonu pokazywały, że w pewnym momencie jej serce zwolniło do trzydziestu uderzeń na minutę.

Wiem, zastanawiacie się, co w tym takiego straszego, historia z happy endem, luz i spokój. Otóż kiedy śledztwo wykazało, że rozszczelnienie było winą ojca dziewczynki, który złamał *Uzby* dotyczące codziennej kontroli, to Czarna Czternastka (znana mnie i wam jako wesoła żarłoczka mama Liza) sama ogłosiła i wykonała wyrok śmierci, sama też potem zaniósła jego zwłoki do bioreaktora. Jednego dnia ojciec, szczęśliwy, że jego dziecko przeżyło, drugiego -- nawóz na farmie.

Przyznam się, czasami patrzyłem na swoją mamę, na jej twarde, żylaste od wysiłku i sportu ciało, na krótkie włosy, na zawsze widoczne na szyi i nadgarstkach ślady od twardych kołnierzy kombinezonu technicznego, i myślałem, czy mnie też przeraża. Kobieta, która lubi kraść truskawki z miski. Która potrafi wstrzymać oddech na osiem minut. Która prawie zginęła, żeby uratować życie małej dziewczynki. Która potem zabiła jej ojca i wrzuciła zwłoki do bioreaktora, ponieważ złamał *Uzby*, narażając całą kolonię. A gdybym to ja coś przeskrobał? – zastanawiałem się czasami. Coś poważnego? Odesłałaby mnie do strefy kontroli? Bez mrugnięcia okiem?

Taka mama, co poradzisz.

-- Cieszysz się? -- zapytała.

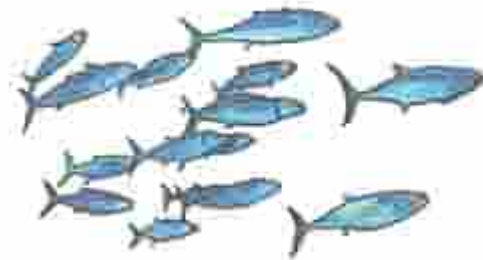
Zamrugalem oczami, przekonany przez chwilę, że pyta, czy cieszę się, że mnie zabiera do strefy kontroli.



-- Co? -- bąknąłem, żeby zyskać na czasie.

-- Czy cieszysz się, że Alicja jutro przyjeżdża?

Dobra, miałem być szczery, to będę szczery. Pokiwałem wtedy głową ze zblazowaną miną, bo jak się ma mamę twardzielkę, to samemu też chce się być twardzielem. A bałem się, że głos mnie zdradzi. Moja siostra była najfajniejszą, najmądrzejszą, najodważniejszą osobą na świecie, którą uwielbiałem jak nikogo innego, wliczając w to obie mamy i Virgilię (żart). I może czas powiedzieć wprost, że ja już wtedy nienawidziłem tego świata. Ciasnej kolonii, dusznej obsesji bezpieczeństwa, *Uzbów*, inżynierów w idiotycznych, podkutych butach i z dupy wziętych obrzędów, takich jak Przeprowadzka, która dwa lata wcześniej zabrała mi siostrę.



## Rozdział 4. O "prawie randce" w naświetlarni

W Dzień Przeprowadzki obudziłem się wyluzowany i podniecony zarazem. Podniecony, bo siostra, to już mówiłem. Wyluzowany, bo akurat nie zabierali nikogo, na kim mi zależało. Stan miał przed sobą jeszcze pół roku i starałem się nie myśleć za dużo o tym, że to tylko pół roku, bo Stan to mój najlepszy kumpel. Pepe był młodszy ode mnie, a Virgilia w moim wieku, więc we dwoje -- ona i ja -- mieliśmy się przeprowadzić jednocześnie za półtora roku. I tak, widzę wasze głupie uśmiešky, wcale nie fantazjuję o tym, że moglibyśmy razem trafić do jednej kolonii. No, może trochę.

Bałem się, że ominie nas naświetlanie, jeden z moich ulubionych punktów tygodnia, ale hej -- życie w miejscu opanowanym przez kodeksy i regulaminy ma swoje dobre strony -- łatwiej tu się zestarzeć, niż wykreślić coś z porządku dnia. I super, ponieważ w całej kolonii najbardziej lubię te miejsca, gdzie... jak by to wyjaśnić... gdzie wzrok się nie zatrzymuje. Mamy mówią, że jak jeszcze ssałem kciuczka, ale już potrafiłem się wysłowić, to ciągnąłem je do najdłuższych korytarzy i mówiłem, że "tam jest wolność". Ciągle tak mam. I pewnie mnie rozumiecie, podobno w każdej kolonii to wygląda podobnie, wszędzie ściany, sufity, śluzy, grodzie, rzadko gdzie można sięgnąć wzrokiem dalej niż na wyciągnięcie ręki. Dlatego gram w oxy, sama sfera jest duża, a za siatką ocean się nie kończy. Tylko w wodzie, w masce, to jednak nie to samo. Chciałbym kiedyś odwiedzić kolonię z najdłuższym korytarzem, tak długim, że jakbym w nim stał, toby mi nie starczyło wzroku, żeby zobaczyć, co jest na końcu. To by było coś.

Naświetlarnia jest po pierwsze duża, a po drugie jest tam, zgadliście, mnóstwo światła, i to jest super. Oczywiście, skoro jest super, to musi być to miejsce bardzo straszne i bardzo niebezpieczne i nikt nie może tam tak po prostu pójść, bo groza, zagłada, koniec świata. Serio, bez przerwy myślałem wtedy, że to tylko nasza kolonia jest tak pochraniona, i wkurzałem się na to przez cały czas. Chodziliśmy rocznikami, więc niestety bez chłopaków, ale za to z Virgilią, dodatkowy plus dla tej tradycji. Musieliśmy się zebrać przy centrali i jeden z inżynierów prowadził nas w górę po sześć, osiem, dziewięć stopni, co wiedzieliśmy dokładnie, bo Stan to kiedyś z nudów policzył. Na szczycie znajdowała się jeszcze wyjątkowo pancerna śluza i dopiero wtedy ja i inni mogliśmy wejść do naświetlarni. Uwielbiałem to olbrzymie pomieszczenie wielkości -- ja wiem? -- czterech sfer albo dziesięciu zwykłych bąbli mieszkalnych, całe przykryte świetlistą kopułą. Miałem wrażenie, że światło za każdym jest trochę inne, czasami oślepiająco białe, czasami żółte, czasami szarawe i takie, jak by to powiedzieć, zimne. Na pierwsze pół godziny musieliśmy się rozebrać do majtek i leżeć na zmianę na brzuchu i na plecach w boksach naświetlających.

A potem przez pół godziny mogliśmy robić, co chcemy, w sali ogólnej naświetlarni, i to było czasami najlepsze pół godziny w tygodniu.

-- Tak się cieszę, że żyjesz! -- usłyszałem Virgilię, kiedy grzebałem na półce z książkami. Odwróciłem się z odpowiednio zblazowaną miną, choć wierzcie mi, z różnych rzeczy, które chciałem robić przez pół godziny robienia tego, co się chce, właśnie na rozmowę z V miałem największą ochotę.

-- Przyszłaś się wyśmiewać?

-- Trochę. Filo nas szybko wczoraj wysłuzował, żeby was objeżdżać i nie mogłam odpowiednio nacieszyć się swoim zwycięstwem. Powiedz,

co zobaczyłeś chwilę przed śmiercią, co jest po drugiej stronie życia, zawsze mnie to zastanawiało.

-- Nawóz -- odpowiedziałem. -- Widziałem drzwi do bioreaktora, poczułem, jak moje szczątki produkują życiodajny tlen, a potem nawożą glebę, na której wyrastają piękne kwiaty, a ty je wplatasz sobie we włosy i oplakujesz moją nieobecność.

-- Bardzo romantyczne. Nie jestem pewna, czy ktoś tak wrażliwy powinien grać w oxy. To jednak sport dla twardzielek.

Parsknąłem.

-- Twardzieli chyba. Pogadamy jutro. Mamy zagrać pięć kwint, cały mecz.

-- O ile w trzeciej ktoś się nie zacznie dusić i nie przyssie się do awaryjnego ustnika.

Ona powiedziała "ustnik", ja pomyślałem, że ma całkiem ładne usta, takie nierówne, a przez to wyjątkowe, i z tego powodu nie wpadłem na żadną ripostę. Na szczęście Virgilia dostała ataku oddechowego, zakrztusiła się, ze świstem wciągnęła powietrze, szybko wyciągnęła z kieszeni swój lek, psiknęła do gardła i po chwili oddychała już normalnie. Pewnie bym oszalał ze strachu, że coś jej jest, gdybym tego nie widział już dziesiątki razy.

-- Tak właśnie działałam na kobiety -- powiedziałem.

-- Stan za pół roku ma przeprowadzkę. -- Nie uznała za stosowne skomentować moją odzywkę. Może to i lepiej.

-- Czy to wstęp do snucia planów, jaki to będziecie nam spuszczać srogi łomot? Uważaj, żebyś się nie przeliczyła.

Uśmiechnęła się tylko.

-- Wiadomo, kto wejdzie za niego do waszej drużyny? Filo coś mówił?

Wzruszyłem ramionami.

-- Przecież wiesz, że Filo traktuje nas wszystkich jak mięsne dodatki do butli z oxy. Jeszcze ze Stanem rozmawia, ale na nas patrzy jak na nieznane dotąd morskie stworzenia. Co w ogóle jest nie fair, was wszystkie traktuje jak ludzi, nie tylko ciebie.

Rozejrzała się, jakby nie była pewna, czy może mi coś powiedzieć, czy nie.

-- Elek, dałeś wczoraj ciała i będę z ciebie darła łacha aż do naszej przeprowadzki, nie wyobrażaj sobie, ale w ogóle macie superdrużynę. Nawet moja mama tak mówi. -- Mama Virgilio w naszym wieku była kapitanką mistrzowskiej drużyny oxy przez trzy lata. -- Pepe jest bardzo silny i bardzo szybki, ty wykiwasz każdego, o ile tylko ci tlenu nie zabraknie.

-- Ha, ha, bardzo zabawne.

-- Tylko będziecie bez kapitana na mistrzostwa. Nikt nie myśli tak szybko jak Stan, ale gdybyście mieli kogoś, kto myśli w połowie tak szybko, ale za to jest sportowo sprawniejszy od niego, to nasz sektor miałby szansę.

Teraz dopiero zrozumiałem.

-- Chcesz być u nas w drużynie? Dlaczego?

-- Ze stu tysięcy powodów, ale nie mamy dużo czasu, podam ci dwa najważniejsze, okej?

-- No.

-- Chcę być mistrzynią, a z moją ekipą to niemożliwe.

-- Akceptuję. A drugi?

-- Jeśli zostanę kapitanką, będę mogła ci rozkazywać.

Rozbawiła mnie.

-- Nie widziałaś wczoraj? Ja nie słucham żadnego kapitana.

Spojrzała na mnie tylko, uśmiechnęła się, odgarnęła grzywkę swoim firmowym ruchem i powiedziała:

-- Mnie będziesz.

Parsknąłem śmiechem. Bałem się, że jeśli otworzę usta do teoretycznie złośliwej riposty, to usta mnie oszukają i powiedzą coś w stylu "tak, tak, proszę, rozkazuj mi".

-- Co ty na to? -- spytała.

Zamyśliłem się, w ogóle to nie był zły pomysł, Virgilia nigdy nie będzie takim taktykiem i strategiem jak Stan, ale też nikt taki nie będzie, a ona nieźle sobie radziła jako kapitanka. I faktycznie, w sferze zamieniała się w fokę, na pewno pływała lepiej od Stana.

-- To ma sens, żebyś dołączyła do drużyny -- powiedziałem w końcu. -- Jako nowy kapitan chętnie cię zaakceptuję.

Postukała palcem w moje czoło.

-- Filo gdyby mógł, toby ci wydłubał mózg łyżeczką i tam wszczepił pilota, żeby móc bezpośrednio tobą sterować, bez pośrednictwa tego wadliwego organu, który nosisz w głowie. Tyle w temacie twojego kaptanowania. To co, jesteś po mojej stronie?

Włożyłem trochę wysiłku w udawanie, że się zastanawiam.

-- Niech będzie. Ale jutro i tak was zmiażdżymy.

Westchnęła.

-- Gapcio, Śpioszek i Tłuscioszek? Szczerze wątpię.



## Rozdział 5. O płaczliwych bohaterach

Jeśli zwykle prezentowana przez mieszkańców kolonii obsesja bezpieczeństwa znajdowała się na poziomie czubka, który wierzy, że potrafi oddychać pod wodą, to w czasie zgromadzeń wspinała się na poziom szaleńca, który planuje małżeństwa z rybami, ponieważ nic nie może stanąć na drodze prawdziwej miłości.

Wszyscy musieliśmy założyć kombinezony i mieć przy sobie awaryjne podajniki z tlenem. Zostaliśmy podzieleni na sektory, z których każdy miał dyżurnego inżyniera, stojaki z kaskami i służę ewakuacyjną. I z jednej strony ja wszystko rozumiem; gdyby Sala Zgromadzeń się rozszczelniła, kiedy wszyscy są w środku, bylibyśmy nie tyle w niebezpieczeństwie, co po prostu byśmy sobie razem przestali istnieć. Z drugiej -- nic takiego NIGDY się nie wydarzyło, no i chyba po to Inżynierowie sprawdzali przez cały czas tę maszynę, żebyśmy raz na jakiś czas mogli się zebrać bezpiecznie, co nie?

Jęczę, ale w ogóle czułem się świetnie, bo sala była większa i od sfery, i od naświetlarni, szkoda tylko, że wpuszczali nas tutaj tak rzadko, że można było zapomnieć, jak wygląda. Jak mówiłem, byliśmy podzieleni sektorami, więc mogłem siedzieć obok Stana i Pepe, mamy zabrali bliżej podium, żeby mogły przywitać Alicję. Zastanawiałem się, czy się bardzo zmieniła, czy w ogóle będzie chciała ze mną rozmawiać. Ma piętnaście lat, czy to znaczy, że jest raczej taka jak my, czy raczej taka jak dorośli i lubi jeść warzywa? W kolonii nie mieliśmy dzieci starszych niż trzynaście lat, nie miałem więc pojęcia, jakie są osoby w tym wieku. Może tylko spojrzeć na mnie i będzie siedzieć przez całą wizytę

z mamami, rozmawiać o poważnych sprawach? I jeść warzywa? Cały byłem nadzieją zobaczenia jej, ale też trochę się bałem. Czego? Wielkiego rozczarowania. I tego, że potem poczuję się jeszcze bardziej samotny niż zwykle.

W końcu woda za świetlikami z prawej strony się zmaciła, przepłynęło podobne do walenia cielsko transportowca międzykolonijnego z symbolem Hydropolis na burcie, chwilę potem zatrzasnęły się zaczepy dokujące, wibracje rozeszły się po całej konstrukcji. Czekaliśmy jeszcze, ale w końcu wewnętrzne drzwi głównej śluzy transportowej podniosły się i wyszła z nich Alicja w towarzystwie dwóch męskich Inżynierów z jej kolonii. Miała na sobie kombinezon awaryjny, ale nawet w nim wyglądała nie jak dziewczynka, tylko jak kobieta, wysoka i piękna, jedynie zamiast długich włosów miała krótką, obciętą blisko przy skórze fryzurę, krótszą nawet niż mama Liza. Tak samo jak jej towarzysze. Może wszyscy tak musieli się strzyc w ich kolonii?





Alicja przywitała się z kanclerzem i z mamami i wskoczyła na podium, gdzie czekał na nią pulpit z mikrofonem. Stała przy nim, ale zamiast mówić, rozglądała się uważnie po sali, dość spięta i poważna, aż w końcu jej wzrok spoczął na mnie, a wtedy szeroko się uśmiechnęła i delikatnie pomachała mi dłonią.

Chyba dopiero w tym momencie wypuściłem powietrze, wstrzymane, odkąd weszła do sali. Widzicie, nie jestem taki zły we wstrzymaniu oddechu.

-- Wszyscy dla wszystkich -- przywitała się.

-- Wszyscy dla wszystkich -- odpowiedziała jej cała sala.

Alicja uśmiechnęła się do zapłakanych dzieci, które czekały na przeprowadzkę, tym razem było ich około piętnaścioro.

-- Trzy lata temu stałam tutaj i starałam się nie płakać, ale nie było szans -- zaczęła. -- Ryczałam jeszcze w domu, tutaj na sali, przez całą drogę do nowej kolonii; ryczałam tak, że myślałam, że nigdy nie przeistanę i że od tego płakania w końcu umrę.

Cóż, jeśli chciała podkreślić dramaturgię, to osiągnęła sukces: niektórzy przeprowadzkowicze przestali chlipać i zaczęli głośno zawodzić. Pomyślałam wtedy, że nie wyobrażam sobie bycia takim mazgajem w wieku trzynastu lat.

-- A teraz czuję się najszcześliwszą osobą pod wodą. Czekali na mnie nowy dom, czekali nowi rodzice, nowi przyjaciele, nowe miejsca i nowe przygody. Wiem, że w to nie wierzycie, byłam tak samo przestraszona i przekonana, że moje życie się skończyło. I w pewien sposób to była prawda, skończyło się jedno, aby mogło zacząć się drugie. Nie da się uciec przed zmianą, a gdyby się udało, byłibyśmy bardzo nieszczęśliwymi ludźmi. W naszym świecie pełnym reguł łatwo pomyśleć, że brak zmiany to bezpieczeństwo, ale nic bardziej mylnego. Żyjąc w zamkniętym świecie, w bezpiecznym rytmie, tym bardziej musimy walczyć o nowe doświadczenia, nowe wyzwania i nowych ludzi na naszej drodze. Tak powstała tradycja Przeprowadzki, której bałam się tak samo jak wy, a może nawet bardziej, bo zostawiłam tu swojego najukochań-

szego brata. Czy znalazłam nowego? Nie, oczywiście, że nie. Czy chciałabym cofnąć czas, wrócić tutaj i nigdy nie wyjeżdżać?

Miałem wrażenie, że zatrzymała się na dłużej, niż tego wymagała dramatyczna pauza.

-- Szczerze? Czasami. Kiedy mam zły dzień, kiedy wracają wspomnienia szczęśliwego dziecięcego bąbelka, moich mam, brata. Ale taka tęsknota będzie nam towarzyszyć zawsze i wszędzie. Bo dorośniemy, czy to nam się podoba, czy nie. Rozumiem wasz strach, ale trochę też wam zazdroszczę. Tego, że od jutra wszystko w waszym życiu będzie nowe. Gratuluję wam odwagi, bohaterowie przeprowadzki!

Ludzie zaczęli klaskać, podniosła się wrzawa, która szczęśliwie zagłuszyła płacz i jęki "bohaterów". A ja pomyślałem, że co to za bohaterowie, prowadzeni tu bez względu na to, czy tego chcą, czy nie, którzy przecież nic nie mają w swojej sprawie do powiedzenia. Odwaga polega na tym, że wybierasz trudniejszą, szlachetniejszą drogę. My żadnego wyboru nie mamy. Dlatego siedziałem po prostu, nie chciało mi się udawać, że szaleję z radości. Spojrzałem na Stana -- patrzył na mnie smutnymi oczami za mądrego na swój wiek chłopaka i wiedziałem, że mnie rozumie w stu procentach.



## Rozdział 6. O rozmawianiu szyfrem

Podaję, że wszędzie to wygląda podobnie, ale na wszelki wypadek opiszę wam standardowy bąbelek mieszkalny, taki jak nasz. Ma kształt kopuły (czyli jest to właściwie półbąbelek), w środku jest część wspólna, otoczona przez pięć pomieszczeń: kuchnię, łazienkę, sypialnię mam, naszą sypialnię i przejście do śluzy, która łączy nas z korytarzem i -- jak to śluza -- zawsze musi mieć jedne drzwi hermetycznie zamknięte. Nie wiem jak u was, ale u nas drzwi do śluzy to JEDYNE drzwi w bąblu. Bo wiadomo, *Uzby*; jakby doszło do rozszczelnienia, musimy mieć możliwość dostać się jak najszybciej do śluzy, a więc głupie dodatkowe drzwi do pokoju albo do łazienki mogłyby stać się różnicą między życiem i brakiem życia. Tyle tylko, że -- nie uwierzcie -- rozszczelnienia zdarzają się rzadko i w większości są niegroźne, a bez drzwi trzeba żyć przez cały czas w małym bąblu z doskonałą akustyką, gdzie każde pierdnięcie wydaje się zwiastować rychły koniec świata.

Wiem, słyszę wasze myśli, zmierzam do czegoś, i to czegoś ważniejszego, niż wam się wydaje.

Nie da się normalnie pogadać, jeśli nie chcecie, żeby starzy słyszeli każde słowo. A czasami nie chcecie, prawda? Chyba że to ze mną jest coś nie tak, a wy przebieracie przez cały czas nogami, żeby ze wszystkim biec do mam i tatów. Żart, żart oczywiście. Żeby sobie z tym poradzić, razem z Alicją wymyśliliśmy szyfr. W sensie, że Alicja wymyśliła. Fajny, ale trudny, zawsze coś się mieszało, kupa zabawy z tym była. Działo to tak, że jak Ala chciała o czymś pogadać tylko ze mną, stuknęła o coś w rytmie na przykład sześć, dwa, cztery, trzy. A potem mó-

wiła: "Zjadłabym coś dobrego, co tylko MAMA potrafi GOTOWAĆ, a nie to BADZIEWIE ze stołówki, RZYGAC się chce od tego".

Rozumiecie? Trzeba słuchać uważnie i liczyć słowa, wybieracie szóste, potem drugie, potem czwarte i potem trzecie. I co wam wychodzi? Mama gotować badziewie rzygać. Wiem, konkursu poetyckiego tym zdaniem byśmy nie wygrali, ale śmiechu było co niemiara, tym bardziej że nasze mamy miały wiele zalet, ale niestety żadnych kulinarnych. Doszliśmy do takiej wprawy, że potrafiliśmy tak gadać nawet przy stole ze wszystkimi, od niechcienia stukając palcem w blat albo widelcem w talerz. Oczywiście im bardziej się myliliśmy, tym bardziej dostawaliśmy głupawki. Dam wam przykład.

Ja (jako niewinne dziecko, dwa, pięć): Mamo, TY wiesz, że ryby się CAŁUJĄ tak jak ludzie? (jeden, trzy) WIDZIELIŚMY koło bąbla JULKA.

Mama coś tam odpowiada, że wszystkie stworzenia czułość, miłość, bla, bla, bla, a Ala siedzi cała czerwona i wściekła i za chwilę mnie zamorduje, ale co ja poradzę, że faktycznie widzieliśmy, jak się całowała z Julkiem.

Ala (tonem ciekawskiej prymuski, pięć, dwa, jeden): Nam przez cały czas POWTARZA pani W SZKOLE, że (cztery, jeden) natura ma swoje TAJEMNICE, WSZYSTKIE żywe stworzenia, (dwa) te TWOJE rybki też. Zjadasz swój deser czy nie?

Kapujecie już? Chciała powiedzieć, że powtórzy w szkole wszystkie moje tajemnice. Tyle tylko, że byłem dzieciakiem i gubiłem się przy dłuższych wypowiedziach, kiedy Ala stukąła za szybko i zrozumiałem, że pani w szkole zjada wszystkie żywe rybki.

Tak, pamiętam, obiecywałem, że do czegoś zmierzam. Po ceremonii przeprowadzki Alicja przyszła z nami do domu, przewinę wszystkie lzy

szczęścia, pełne entuzjazmu opowieści z jej kolonii, która nie wydawała się na pierwszy rzut oka bardzo inna od naszej, oraz szczegóły posiłku, nad wyraz fantastycznego, bo mamy poprosiły tatę Pepe, żeby zrobił specjalnie coś pysznego. A tata Pepe miał coś takiego w sobie, że wystarczyło mu spojrzeć na kawałek glona, żeby wyczarować z niego superposiłek. Tak, zazdrościłem, jasne, w końcu jeść trzeba codziennie, więc lepiej, żeby to było coś dobrego, co nie?

A potem w końcu mogliśmy chwilę porozmawiać sami. Pamiętacie o drzwiach? Słyszycie głęboko ironiczny wydźwięk słowa "sami"? Słusznie.

Usiedliśmy na łóżku ze skrzyżowanymi nogami naprzeciwko siebie, spojrzała mi w oczy i poczułem, że świat wrócił na swoje miejsce. Tak strasznie za nią tęskniłem, a teraz miałem tylko moment na rozmowę, i to w obecności matek z gumowymi uszami. Myślałem od wielu dni, o co ją zapytać, przede wszystkim: czy się spotkamy, czy ja przyjadę do tej samej kolonii, czy ona tam zostaje, czy z tamtej kolonii dalej są jakieś przeprowadzki... To znaczy nie jestem dzieckiem, nie chciałem zamieszkać ze swoją siostrą i żyć długo i szczęśliwie, ale fajnie by się żyło gdzieś, gdzie ona jest blisko.

-- Masz strasznie smutne oczy -- powiedziałem zamiast tego.

-- Jestem tylko zmęczona i przejęta. -- Uśmiechnęła się. Smutno. Wzięła mnie za rękę, obejrzała je, jakby zdziwiona, że nie są już dłońmi małego dziecka. -- Trudno jest tak przemawiać na scenie, trzeba bardzo uważać. Wszyscy patrzą, wszyscy słuchają każdego słowa. Mam wrażenie, że mogłabym teraz iść spać na resztę dnia.

Uwaga jak każda inna, co nie? Wszyscy czasem mamy dość, wszyscy narzekamy. Tyle tylko, że cały fragment "trzeba bardzo uważać, wszyscy patrzą, wszyscy słuchają każdego słowa" powiedziała tym sa-

mym, lekko znużonym tonem, sympatycznie uśmiechnięta, ale ściskając mnie za dłonie tak mocno, że poczułem ból.

Sparaliżowało mnie trochę, nie miałem pojęcia, co zrobić. Chce mi coś powiedzieć? Chce, żebym ja jej coś powiedział? O co chodzi?

-- Ala, czy tam jest tak samo jak tutaj? -- spytałem, bo byłem oczywiście ciekaw, ale też szybko zrozumiałem, że muszę jej pozwolić mówić, jeśli chce mi jeszcze coś przekazać.

Miałem rację, od tej pory mówiła naszym szyfrem, dość wolno, jak ktoś, kto się zastanawia, co chce opowiedzieć, a tak naprawdę chodziło o to, żebym się nie pogubił.

-- Podobnie, ale nie tak samo. To znaczy musisz zrozumieć, że każda kolonia w Hydropolis jest w jakimś stopniu podobna, słychać bulgotanie, kroki dudnią, trzeba bardzo uważnie przestrzegać *Uzbów*, które tam się akurat nazywają kodeksem. Ale tam mogę, jak by to powiedzieć, pewnie tutaj tylko ty mnie zrozumiesz, czasami spojrzeć dalej, jest trochę więcej miejsca. Raz nawet nie widziałam końca korytarza, serio, taki jest długi.

Zgadliście, to od niej nauczyłem się mówić "serio", to chyba moje ulubione słowo. A co powiedziała naprawdę? "Słuchać, uważnie, mogę, powiedzieć, tylko, raz".

-- Myślisz, że to możliwe, że się tam spotkamy? -- O to akurat naprawdę chciałem zapytać

-- Mam nadzieję. -- Roześmiała się i zaczęła nadawać, sami sobie rozczytajcie: -- Bo niby tam jest podobnie, (dwa, trzy) ale WSZYSTKO inaczej niż TUTAJ, (trzy) jak by TO ująć, bardziej szczerze, (dwa) bez ŚCIEMY i bez kłamstw. (trzy) To znaczy nie mówię, że jest źle, (jeden, dwa, jeden) WOLNO ludziom WIERZYĆ w to, co mówią, i -- zawiesiła głos -- (jeden, cztery) NIC się nie dzieje NIKOMU, jasna sprawa. A bar-



dzo dużo dzieci od nas tam trafia, to jest jakby stacja przesiadkowa dla młodzieży, bo dalej też są przeprowadzki, więc mam nadzieję, że tak, że się zobaczymy za półtora roku.

Chyba nigdy w życiu tak szybko nie myślałem. Słuchałem tego, co Ala mówi, słuchałem tego, co NAPRAWDĘ mówi. Musiałem samemu prowadzić tę rozmowę, co nie było proste, bo moje ciało sztywniało, w ustach miałem sucho, a na pewno nie pomagał upiorny wyraz twarzy mojej siostry. Mimo że jej usta uśmiechały się serdecznie, to oczy wyrażały nie tylko smutek, lecz także coraz większy lęk.

-- Chciałbym wiedzieć, co trzeba zrobić, żeby trafić do twojej kolonii, na pewno jest coś takiego -- powiedziałem, mając nadzieję, że właściwie odczyta moje intencje.

Roześmiała się.

-- Co tam, dzieciaki, wszystko w porządku? -- Uśmiechnięte mamy wsunęły głowy do pokoju, w którym, niestety, jak już wiecie, nie było żadnych drzwi, żeby im je zatrzasać przed nosem.

-- Staramy się wcisnąć dwa lata w półgodzinną rozmowę, poza tym świetnie -- odparła Alicja.

Zdumiałem się, ponieważ w jej tonie pobrzmiwało coś zimnego, jak groźba, jakby mówiła im, że mają się wynosić. Mama Betty uśmiechnęła się wyrozumiale, przez twarz mamy Lizy przebiegł grymas, który znałem aż za dobrze i który nigdy nie zwiastował nic dobrego. Spodziewałem się kłopotów albo dalszej rozmowy, ale nie, po prostu się wyniosły.

Ala nachyliła się do mnie i ściszyła głos, mówiąc:

-- No dobra, powiem coś, o czym słyszałam, to pewnie plotka, więc nie powtarzaj nikomu, okej?

Kiwnąłem głową.

-- Jeśli faktycznie chcesz, żebyśmy się spotkali, to musisz szybko, jak najszybciej... -- Urwała nagle i dokończyła ze śmiechem: -- Dużo się uczyć! Serio, podobno największe bystrzaki lądują u nas, a ci trochę mniej lotni w innej kolonii. Ale masz minę... Myślałeś, że uda ci się uciec od nauki, ale niestety kucie to jedyna droga do wolności, kochany mały braciszku.

Byłem tak skołowany, że tylko patrzyłem na nią pytająco.

-- A jak twoje krwotoki? -- zapytałem, dotykając ostrożnie jej nosa.

Mieszkając z nami, Alicja miała dość przerażające ataki krwawienia; to moje pierwsze wspomnienie z dzieciństwa, szlochająca Ala, stojąca w nocy pośrodku bąbla, cała pizama upačkana krwią, ja w hysterii, że moja siostra umiera, jedna matka zmywa krew z podłogi, druga szykuje strzykawkę z lekarstwem. Ta scena powtarzała się regularnie i nigdy się do niej nie przyzwyczailem. Zawsze wyglądała tak samo strasznie.

-- Mam na górze najlepsze leczenie, nic mi nie jest, nie martw się.

Gwałtownie zerwała się z łóżka i zaczęła chodzić po mojej, kiedyś naszej, sypialni. Zakręciła piruet, przesunęła ręką po metalowej ścianie.

-- Wiesz co? Mam dużo takich dni, że po prostu żyję, uczę się, pracuję, bo w tamtej kolonii już musimy wszyscy pracować, i w ogóle nie myślę o tym, co było. A czasami wszystko wraca do mnie, ten pokój, kolonia, ty i mamy. Wszystkie dobre, złe i głupie momenty. Kiedy siedzieliśmy wszyscy we wspólnym i graliśmy w skoczka. Przedpołudnia w naświetlarni. Ale też wypadek Arletty w służbie koło stołówki.

Posmutniała, wzięła brzoskwinię z miski na moim biurku i przekręciła, dzieląc ją na połówki.

-- Serio, czasami mam wrażenie, że przez cały czas przy mnie jest, że mogę jej opowiedzieć, co u mnie, o coś zapytać, no nieważne. Chcesz? -- Rzuciła mi pół brzoskwini i mówiła dalej: -- A pamiętasz, jak nas przyłapaliście, kiedy się całowałam z Julkiem? Mój pierwszy pocałunek. Całowałeś się już?

Zaprzeczyłem ruchem głowy.

-- A chciałbyś?

-- Czemu nie... -- odpowiedziałem z wahaniem, obracając połówkę brzoskwini w dłoniach. Żołądek miałem tak ściśnięty z napięcia, że nie wyobrażałem sobie przełknięcia czegokolwiek.

-- Z kimś konkretnym?

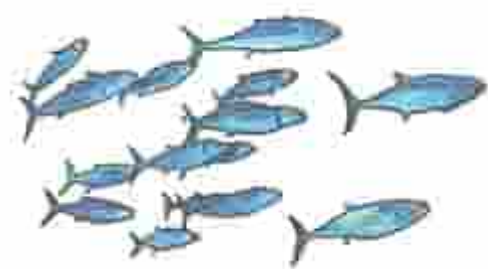
Spojrzałem znacząco w stronę salonu.

-- I tak mi nie powiesz. -- Usiadła na łóżku i znowu chwyciła moją dłoń. -- Ale trzymam kciuki. Nie zrób mojego błędu i znajdź miejsce, gdzie nie wszyscy was zobaczą. -- Mówiąc ostatnie słowa, mocniej ściśnęła moją rękę. -- I pamiętaj, że trzeba oddychać, inaczej się udusisz. -- Zrobiła śmieszoną minę, nabierając gwałtownie powietrze do ust i wydymając policzki.

-- Ala, litości ... -- jęknąłem teatralnie.

Usłyszeliśmy kroki z głębi mieszkania, stalowe buty naszej mamy inżynierki, ubranej i gotowej, żeby znowu zabrać mi siostrę. Przygryzłem wargę, żeby się nie rozpłakać. Ala zamrugęła mokrymi oczami, nachyliła się i cmoknęła mnie w policzek.

-- Kocham cię, mały -- wyszeptała. -- Do zobaczenia. I pamiętaj, jedz owoce!



## Rozdział 7. O niezrozumieniu

Znowu przewinę trochę do przodu, bo nie chcę się tutaj rozklejać, ale rozumiecie, że było to piękne i koszmarne popołudnie zarazem. Nie poszedłem odprowadzić Ali, mamy namawiały, ale tylko przez chwilę, zrozumiały, że to nie ma sensu. Poszły, ja się wyplakałem, a potem zacząłem myśleć o tym, co Ala mi przekazała. Staralem się zapamiętać wszystko, co mówiła, miałem wrażenie, że nie tylko nasze szyfry i nie tylko momenty, kiedy ścisnęła moją dłoń, miały znaczenie, że nic z jej trajkotania nie było przypadkowe.

Pytanie: dlaczego? Chciała mnie poinformować? Ostrzec? Skłonić do działania?

Wszystko tutaj to ściemy. Nie wolno wierzyć w nic nikomu.

Leżałem na wznak, gapiłem się na krzywiznę sklepienia bąbla i miałem wrażenie, że to zdanie mi się tam wyświetla.

Wszystko tutaj to ściemy. Nie wolno wierzyć w nic nikomu.

No i co mam niby z tym zrobić? A to i tak jeszcze nic, co mam zrobić z tym drugim zdaniem?

Musisz jak najszybciej uciec. To jedyna droga do wolności.

Niby jak? Przegryźć się przez siatkę sfery i wypłynąć w morze? Ukraść transportowiec międzykolonijny? I popłynąć gdzie? Do innej kolonii? Do Alicji? O to jej chodziło? Nie mam żadnych danych, wskazówek, map, nawet jak się stąd wydostanę, to pokręcę się trochę po dnie i utonę. Przecież nie będę szukał jaskiń pierwszych powietrznych ludzi. Zaczynałem się wkurzać, przyjechała i zostawiła mnie z garścią

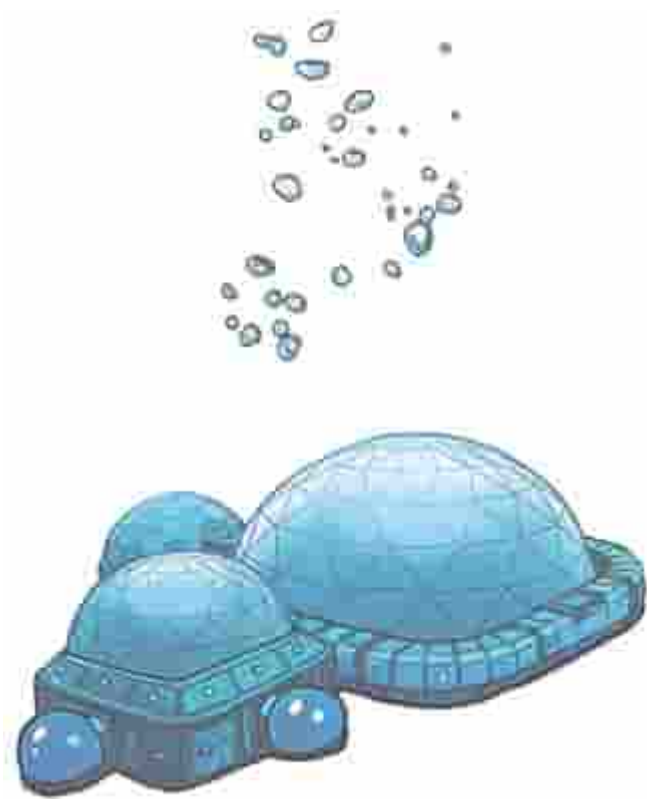
zagadek bez rozwiązań. Albo ona jest debilką, albo to ja jestem głupi, trzeciej możliwości nie ma.

Od wkurzenia zgłodniałem, sięgnąłem po połówkę brzoskwini, na którą wcześniej nie miałem ochoty. W końcu kazała mi jeść owoce, może to też jest jakaś zagadka. Władowałem całą do ust i już miałem pogryźć, kiedy językiem wyczułem jakiś wzór na skórce. Ostrożnie wyjąłem owoc, wytarłem o koszulę i przyjrzałem się uważnie.

Na żółtopomarańczowej mechatej skórce Ala wydrapała paznokciem cztery litery: STAN.

Tak... to niestety odpowiadało na pytanie, czy ona jest debilką, czy ja głupi. Bo nie dość, że przewidziała, że tego wszystkiego nie rozkminię, to jeszcze powiedziała mi, gdzie mam poszukać kogoś mądrzejszego. No cóż, przynajmniej nie będę w tym sam.

Zanim pójde dalej: tak, zjadłem tę brzoskwinię. Pomyślałem, że to dodam, inaczej będziecie pewni, że leżałem w łóżku, miętosząc ją w ręce, słodką pamiątkę po mojej siostrze, a potem poszedłem spać. Nie było tak, serio.



## Rozdział 8. O dnie nad powierzchnią

Następnego dnia Filo dał nam niezły wycisk w sferze. Po własnych treningach ledwo unosiliśmy się w wodzie i przegraliśmy z dziewczynami sromotnie, a przez ostatnią kwintę to już robiły, co chciały. Słuchaliśmy Stana i taktycznie mieliśmy niezłe pomysły, tylko co z tego, skoro Virgilia zawsze była trochę szybsza. To jest jednak normalny sport, a nie szachy, nie da się wygrać w oxy samym mózgiem. Oficjalnie rozpaczałem, że taka przegrana, jejku jej, ale tak serio, to cieszyłem się, że Virgilia wymiatała. Im dłużej o tym myślałem, tym bardziej pomysł, że wejdzie do drużyny zamiast Stana i wygramy w mistrzostwach sektorów, wydawał się kuszący.

Szukałem jakiegoś sposobu, żeby porozmawiać ze Stanem, ale w uszach przez cały czas dźwięczało mi zdanie Alicji, że "Wszyscy patrzą, wszyscy słuchają każdego słowa". Kiedy zacząłem patrzeć na kolonię oczami kogoś, kto szuka miejsca odosobnienia, to okazywało się, że takiego miejsca nie ma. Ze względów bezpieczeństwa część miejsc była na głucho zamknięta, a druga na głucho otwarta (jeśli można tak powiedzieć), zawsze ktoś mógł wejść, poza tym zastanawiałem się, na ile Alicji chodziło o fizyczną obecność słuchającego, jak w przypadku naszych matek, a na ile o jakiś system, który pozwoliłby inżynierom słuchać i obserwować nas bez przerwy. Skoro w całej kolonii istniał system pozwalający mówić do wszystkich wszędzie, logicznie byłoby przypuszczać, że ten sam system może wszystkich wszędzie słuchać. Przecież Alicja mówiła "nie zrób mojego błędu". Łatwo powiedzieć.



Myślałem o tym w czasie przerwy obiadowej, siedząc naprzeciwko Stana i zastanawiając się, czy dałbym radę mu jakoś przekazać przynajmniej tyle, że musimy porozmawiać w bezpieczny sposób. W końcu wymyśliłem i wtedy usłyszałem, co do mnie mówił. A mówił rzeczy niezwykłe. Biorąc pod uwagę spotkanie z Alicją -- niezwykle razy nieskończoność plus jeden.

-- Przestań śnić o V i skup się na tym, co mówię, ciołku. -- Machał mi ręką przed oczami. -- Spójrz na mnie.

Spojrzałem. Powiem wam, że Stan był supermądry, ale nieprzesadnie przystojny. Ciało mimo wysportowania miał dość toporne i nieforemne. Jeśli ja i Virgilia przypominaliśmy delfiny, pokryte skórą mięśnie stworzone do pływania (no co, mogę o sobie myśleć, jak mi się podoba), to Stan miał w sobie coś z kałamarnicy. No niby też nieźle pływa, tylko dziwnie wygląda. Jak by go opisać, hm... Kojarzycie, jak się wypycha policzki powietrzem, żeby zrobić rybę rozdymkę? No to u Stana zrobił tak każdy kawałek jego ciała. Od policzków właśnie przez ramiona, brzuch i nogi aż do stóp -- każdy segment został tak jakby trochę nadmuchany. Wiem, co myślicie, ale nie, Stan nie był grubasem. To silny, wysportowany, krzepki gość. Tylko... nadmuchany. I musi przez cały czas brać jakieś leki, żeby go nie nadmuchało jeszcze bardziej.

-- Nie mogę -- odpowiedziałem. -- Jesteś tak piękny, że mógłbym się zakochać.

-- Czyli słuchasz, dobrze. A teraz spójrz na szklanę.

Spojrzałem. Trzymał w ręku szklanę z odżywką.

-- Teraz spójrz na pestkę.

Oczywiście chodziło mu o pestkę od brzoskwini, niedawno zaowocowały i dawali nam brzoskwinię bez przerwy. Wrzucił pestkę do

szklanki. Opadła na dno.

-- Wyobraź sobie, że pestka to kolonia. Odżywka to woda wokół nas. Dno szklanki to dno oceanu, na którym leży kolonia. Sukces?

-- Sukces.

-- A co to jest? -- Władował rękę do szklanki i baryłczkowatym paluchem zmacił wodę.

-- Palec?

-- Debilu, co jest w szklance pomiędzy wodą a powietrzem?

-- Powierzchnia.

-- Dobrze. Czyli pestka w szklance leży na dnie, otoczona odżywką, nad sobą ma powierzchnię, a nad powierzchnią powietrze. Kolonia leży na dnie, otoczona wodą, a nad sobą ma co?

Nie miałem pojęcia. Serio, nie miałem pojęcia.

-- Pewnie... też powierzchnię -- odpowiedziałem.

-- Byłoby to logiczne, prawda? Słyszałeś coś o niej? O wyprawach na powierzchnię? O powietrzu nad powierzchnią?

Zaprzeczyłem, bo faktycznie nie słyszałem. Jakoś tak zawsze było dla mnie logiczne, że jest jak jest. W sensie: są kolonie, jest dno, a wokół jest woda.

-- Może ta powierzchnia jest tak daleko, że nie da się do niej dopłynąć? -- zapytałem.

-- Myślałem o tym. Ale spójrz.

Wziął z talerza ziarenko zielonego groszku, wepchnął je na dno szklanki i puścił. Ziarenko wypłynęło na powierzchnię.

-- Widzisz? Nie jest trudno popłynąć do góry, woda wypycha, jeśli coś jest lekkie, przecież ćwiczymy nawet takie taktyki na oxy: dobrze nabrać powietrza przed manewrem, jeśli musisz płynąć w górę sfery, i wypuścić, jeśli płyniesz do dna. Dlatego inżynierowie mają takie cięż-

kie buty, żeby mogli chodzić po dnie w czasie napraw, inaczej woda by ich wypchnęła.

-- Więc może to nie jest problem, żeby wypłynąć, tylko żeby wrócić? No i pamiętaj, czym pan Daniel straszy na hydro. Dla nas płynięcie i w dół, i w górę jest tak samo niebezpieczne. Może o to chodzi?

Wzruszył ramionami bez przekonania i mówił dalej:

-- Powiedzmy, że jest jakaś powierzchnia. Tak?

Dla odmiany sięgnął po talerz zupy.

-- Stan, bawisz się jedzeniem jak jakiś dzieciak. Martwię się o ciebie.

Ostatnie zdanie było prawdą, martwiłem się, że jeśli Alicja ma rację i ściany mają tutaj oczy i uszy, a Stan właśnie rozkminia jakieś tajemnice, to przed deserem wylądujemy w strefie kontroli.

-- Nie chrzań, tylko popatrz. Powiedzmy, że powierzchnia zupy to woda wokół nas, gdzieś tam na dnie, między warzywkiem, glonkiem i rybką, leży sobie nasza kolonia, aż tu nagle, wrrr, grr, cuda i dziwy, ziemniaczek rośnie i rośnie i...

Zepchnął parę ziemniaków na brzeg talerza tak, że wystawały ponad zupę.

-- Rozumiesz? -- zapytał. -- Co, jeśli to dno, na którym jest kolonia, raz jest dalej, a raz bliżej powierzchni, a w pewnej chwili jest tak blisko, że staje się dnem nad powierzchnią? I można tam sobie chodzić i żyć tak normalnie, bez ścian, sufitów i śluz.

Parsknąłem śmiechem.

-- A, przepraszam, czym tam oddychasz? Przecież my mamy powietrze z bioreaktora, a w twoim dnie nad powierzchnią z czego ono się weźmie?

Wzruszył ramionami.

-- A bo ja wiem? Może tam jest, po prostu. Tak jak w szklance nad powierzchnią i nad ziemiakiem. A nawet jak nie ma, to przecież mamy butle z powietrzem i kombinezony. Nie chciałbyś sobie połączyć po dnie nad powierzchnią? Choćby w masce?

Normalnie bym go wyśmiał, że to stek bzdur bez sensu. Przecież wiedział tak samo jak ja i tak samo ja wy, i tak samo jak wszyscy, że nasi przodkowie przybyli do wodnego świata z powietrznego świata. Najpierw mieszkali w podwodnych jaskiniach, potem zbudowali kolonię, nauczyli się produkować powietrze, uprawiać potrzebne im rośliny w farmobąblach i korzystać z tego, co było w oceanie. Ale oni nie byli tutaj w domu i my nigdy nie będziemy. Może gdzieś tam jest świat, gdzie nie potrzeba inżynierów, gdzie wszystko otacza nie woda, tylko powietrze i gdzie wzrok się zatrzymuje, miejsce prawdziwej wolności. Ale to niestety nie jest ten świat.

Tak bym zrobił normalnie. Ale od wczoraj nic nie było normalnie. Od rozmowy z Alicją, z jej sztucznym uśmiechem na ustach i prawdziwym przerażeniem w oczach, kiedy mówi, że "wszystko tutaj to ściemy. Nie wolno wierzyć w nic nikomu".

-- Wszystko to jest bardzo interesujące, mniej czytaj książek, a więcej pływaj, zmęczysz się, to nie będziesz miał głupich myśli. Stan, myślałem, że musimy coś zrobić z naszymi znakami, bo czasami na ciebie patrzę i mi się myli "odwrót" -- zrobiłem znak kółka na wysokości klatki piersiowej -- z "przeciwnie" -- przeciągnąłem palcem w poprzek klatki piersiowej.

Stan westchnął.

-- To nie moja wina, że jesteś ślepym debilem, to i tak jest wszystko za bardzo ostentacyjne i jeśli tylko akurat jakiś przeciwnik, nie mówiąc

o dziewczynach, które z nami ćwiczą bez przerwy, patrzy w moją stronę, to boję się, że czyta w nas jak w otwartej książce.

Podniosłem ręce w obronnym geście, że luz, niech się nie czepia, i zacząłem grzebać w talerzu. Złapałem jego wzrok, a kiedy byłem pewien, że na mnie patrzy, przeciągnąłem kciukiem w poprzek klatki piersiowej.

-- Nudzą mnie te twoje teorie. -- Ziewnąłem. -- Nawet jeśli to głupi temat w sam raz na stołówkę. Przepraszam, ale nie chce mi się o tym gadać.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie. Zrozumiał, nie zrozumiał?

Parsknął.

-- Nie dziwię się, jesteś głupi i nie masz pojęcia, o czym mówię. Znajdę kogoś mądrzejszego, kto będzie chciał mnie posłuchać.

Stary dobry Stan, może i brzydki, ale maszynka w głowie działała bez zarzutu.

-- Znajdź lepiej jakieś dobre miejsce i powiedz wszystkim. O, wiem, Sala Zgromadzeń! Powiedz wszystkim, na pewno ktoś się znajdzie, żeby z tobą poszukać dna nad powierzchnią, co za debil, nie mogę.

Rozumiecie, jasne? Zrobiłem znak, który w sferze oznacza "przeciwnie", używamy go, żeby zrobić coś zupełnie nieoczekiwanego, złamać schemat, wytrącić przeciwnika z równowagi. A chodziło mi o to, żeby odczytał opacznie moje słowa. Czyli tak naprawdę powiedziałem: "Bardzo ciekawe wszystko, co mówisz, chcę o tym porozmawiać, ale nie powinniśmy tutaj". Na co Stan: "Czyli wiesz, że coś jest na rzeczy, obiecuję, że nikomu nie powiem". I ja: "Znajdź miejsce, gdzie możemy porozmawiać sami".

Stan wypił duszkiem odżywkę i odstawił szklanekę, na której dnie ciągle leżała pestka od brzoskwini.

-- Sam sobie znajdź dobre miejsce i tak w nie walnij durnym łbem o ścianę, żeby cała kolonia usłyszała. Żegnam oziębłe.

Pokazałem mu środkowy palec, bardzo szczęśliwy, że nie jestem z tym sam i że Stan znajdzie miejsce, gdzie możemy swobodnie pogadać. Spojrzałem na wypisaną na ścianie stołówki maksymę "Wszyscy dla wszystkich" i po raz pierwszy zrozumiałem jej znaczenie. Dzięki temu, że miałem mądrą siostrę i mądrego przyjaciela, sam stałem się trochę mądrzejszy. I to miało sens.



## Rozdział 9. O eksperymencie z rurą

Pan Daniel przeprowadzał eksperyment. A ja czułem niepokój. Pan Daniel teoretycznie prowadził najfajniejsze zajęcia, bo w ramach lekcji hydro mieliśmy regularnie wyjścia do sfery, a raz nawet w tej klasie wyszliśmy w kombinezonach poza główną śluzę transportową, na dno oceanu. Odjazd, co nie? No właśnie nie, wystarczyło usłyszeć w słuchawkach głos pana Daniela i koniec, czar pryska, żegnaj, przygodo. Ponieważ pan Daniel, zwany przez nas panem Demonielem, uważał każdą najbardziej niewinną czynność za śmiertelne niebezpieczeństwo. Mało tego, jako swój życiowy cel wyznaczył przekazanie nam swojej obsesji, grobowym głosem snując ze szczegółami opowieści o potwornych urazach i pełnych męczarni agoniach, które każdego dnia mogą nam się przytrafić.

Tym razem zastaliśmy go przy zamontowanej pośrodku sali wąskiej przezroczystej rurze. Miała średnicę kilku centymetrów i trzy zawory na różnej wysokości. Tutaj może dodam, że sale w szkole niczym nie różniły się od bąbli mieszkalnych poza tym, że bąble podzielono na różne pomieszczenia, a w szkole siedzieliśmy w okręgu w jednej sali. Najgorzej, że oznaczało to brak łazienki, trzeba było pamiętać, żeby wysikać się na przerwie, bo w czasie lekcji zamykano śluzę wejściową -- względy bezpieczeństwa, jasna sprawa -- i jeśli ktoś naprawdę nie mógł wytrzymać, to musiał sikać do wiadra w kącie. Rozumiecie zapewne, dlaczego chcieliśmy tego uniknąć za wszelką cenę.

Pan Demoniel trzymał przed sobą na stole niewielką miskę z wodą.

-- Dziś zrobimy zabawny eksperyment, który pokaże wam moc ciśnienia. -- Jego głos brzmiał jak głos kogoś, kto jeszcze chwilę temu rozpaczał nad zwłokami swojej rodziny. -- Jak każda siła natury ciśnienie potrafi być okrutne, zabójcze, bezwzględne i stanowi największe zagrożenie dla całej naszej cywilizacji. Potrzebuję ochotnika.

Nie uwierzycie, nikt się nie zgłosił.

-- Może Elek?

Westchnąłem w duchu. Kilka zajęć temu przez błaznowanie potłukłem jakiś idiotyczny system szklanych rurek do pokazywania zasady naczyń połączonych i trochę pan Daniel na mnie się odgrywał.

-- Z wielką chęcią, panie profesorze.

-- Podejdź, dziecko, i zajrzyj do miski.

Posłuchałem grzecznie.

-- Boisz się wody w tej misce?

-- Słucham?

-- Czy boisz się wody w misce? -- Pan Daniel włożył dłoń i chlapnął na mnie. Zamrugalem.

-- Niespecjalnie, panie profesorze.

-- Nawet gdybym użył całej zawartości naczynia? -- Pochylił się w moją stronę, marszcząc demonicznie brwi.

-- Panie profesorze, to jest miska wody.

Nieoczekiwanie podniósł miskę i wylał na mnie całą zawartość. Wszyscy zaczęli rzeć, ja zresztą też, zaskoczył mnie, ale nie było tej wody tyle, żeby mnie porządnie zmoczyć.

-- Czy czułeś lęk, chłopcze?

-- Eee, nie.

-- Czułeś ból? Bałeś się o swoje życie?

-- Przepraszam, panie profesorze, ale nie.



-- Bo to tylko miska wody, prawda? Patrzcie teraz, napełnię miskę wodą, wejdę na drabinę i wleję jej zawartość do tej rury, która, jak widzicie, sięga od podłogi do sufitu. Wlewam pomału...

-- Co to za piłeczka? -- zapytałem, bo wciąż stałem najbliżej i zainteresowało mnie, że z dna podnosi się razem z poziomem wody niewielka biała piłeczka, trochę jak do ping-ponga. Do piłeczki przeczepiona była nitka znikająca w dnie rury.

-- O piłeczce za moment. Teraz skupcie się na tym, że chwilę temu miska wody wylana Elkowi na głowę była tylko chlapnięciem. Kilka szklanek, nie więcej. Teraz tyle samo wody jest nie w misce, tylko w kilkumetrowej rurze. I ta różnica zamienia chlapnięcie w niepowstrzymaną siłę. Spójrzcie, co się stanie, kiedy odkręcę kurek tuż przy powierzchni wody.

Jak obiecał, tak też zrobił, zero niespodzianki, woda zaczęła ciec po ścianie rury. Nuda.

-- Nic się nie dzieje, ponieważ ta siła, ciśnienie, jest bardzo niewielka, bo co jest niewielkie?

Nikt się nie kwapił z odpowiedzią, więc pan Daniel sam sobie odpowiedział:

-- Bo niewielka jest wysokość. To ta wysokość ma znaczenie, a nie ilość wody. Spójrzcie tutaj. -- Zszedł kilka stopni niżej i sięgnął do zaworu znajdującego się mniej więcej w połowie rury.

Otworzył zawór, woda trysnęła mocno, na kilka metrów, prosto na Gabi, która siedziała w pierwszej ławce.

-- Przepraszam, Gabrielo, celowałem w Elka.

Gabi spojrzała na mnie z mordem w oczach i wodą na łysej czaszce. Odpowiedziałem złośliwym uśmiechem, bo nie lubię tej zołzy. Pewnie

powinienem się wstydzić, bo Gabi po chemii jest ledwo żywa, ale wszystkim nam tutaj coś dolega, a tylko ona jest taka wredna.

-- A teraz odkręcę zawór na samym dole. -- Pan Daniel zszedł z drabiny. -- Elek, pozwól bliżej. Skoro już jesteś ochotnikiem.

Stałem niepewnie.

-- Co, Elek, dopiero co tak się popisywałeś, kiedy próbowałem wam miesiąc temu w sferze coś opowiedzieć, tak pięknie wstrzymywałeś oddech i tańczyłeś przed całą klasą, a teraz boisz się miski wody?

Podszedłem do rury.

-- Wyciągnij rękę.

Wyciągnąłem. Cały spięty.

-- Powinieneś po tyłku dostać -- mruknął cicho Demoniel -- za wszystkie swoje akcje.

Odkręcił zawór. Wrzasnąłem. Poczułem uderzenie wody jak oparzenie, silny piekący ból, jakby ktoś chciał mi się gorącym prętem przewiercić przez dłoń. Spojrzałem na nauczyciela ze złością, odwdzięczył mi się krzywym, ponurym uśmiechem.

-- Wracaj na miejsce. I patrz razem z resztą na piłeczkę.

Piłeczka wesoło unosiła się na powierzchni wody na szczycie kolumny. Pan Daniel złapał wychodzącą z dołu kolumny nitkę i zaczął ją ciągać w kierunku dna.

-- Patrzcie uważnie, ściągamy teraz pustą w środku piłkę na dno rury. Ze względu na różnicę ciśnień pod i nad piłeczką woda próbuje wypchnąć ją do góry, ale o tym będziemy się uczyć później. Teraz patrzcie, jak wędruje w dół, i wyobraźcie sobie, że z każdą chwilą ścisną ją coraz większa siła, jakbyście wy zaciskali na czymś pięść albo jakbyście objęli kogoś ramionami i ścisnęli aż do utraty tchu.

Zerknąłem na Virgilię, która akurat drgnęła. Jak wszyscy, ponieważ piłeczka w połowie swojej wędrówki na dno odkształciła się -- wgięła się w jednym miejscu jak od uderzenia.

-- Teraz -- ściszył głos pan Daniel -- straciła swój kulisty kształt, a taki kształt jest najodporniejszy, nie bez powodu nasze bąble mają kształt kopuły, przez to jeszcze bardziej zagraża jej rosnące ciśnienie, aż do...

Wstrzymaliśmy oddech i w ciszy wyraźnie usłyszeliśmy trzask, kiedy piłka zapadła się w siebie gwałtownie i rozleciała. Uwolnione bąbelki powietrza powędrowały w górę, białe szczątki powoli opadły na dno.

-- ... gwałtownej implozji -- dokończył pan Daniel. -- Potem będziecie się uczyć, jak obliczać te siły, na razie warto przypomnieć, dlaczego zjawisko ciśnienia wody jest dla nas śmiertelnym zagrożeniem. Rozszczelnienie w kolonii nie sprawi, że woda zacznie kapać, ona uderzy ze szczeliny jak ostrze zdolne rozkroić to, co znajduje się na jej drodze. A zmiana w strukturze bąbli -- wskazał dłonią na sklepienie sali lekcyjnej -- może sprawić, że zostaniemy zgnieceni jak ta piłka. Czy są jakieś pytania?

Podniosłem rękę. Pan Daniel skinął głową, żebym mówił. Nie byłem pewien, ale, kurczę, to narzucające się pytanie... Chyba myślenie nie stanowiło naruszenia żadnej *Uzby*.

-- Jak daleko jest do powierzchni?

-- Słucham?

-- Jak daleko jest od dna, na którym jest kolonia, do powierzchni oceanu? Skoro woda jest taka ciężka, to nie może to być bardzo daleko, bo przecież wtedy, nawet jakby nie zgniotło bąbli, to nas na pewno, kiedy gramy w oxy albo kiedy wychodzimy poza kolonię.

-- Leonardzie, to w ogóle nie jest temat dzisiejszej lekcji. Skoro...

-- Czy pan widział powierzchnię? -- przerwałem mu.

-- Słucham?

Niestety zaczynałem się wkurzać. Zawsze to miało taki sam przebieg: robiłem coś normalnie, potem się wkurzałem i już nic nie było ważne poza tym, że jestem niegrzeczny i trzeba mnie ukarać. I miałem na końcu języka różne riposty typu "nie sądzę" lub "super, to może pan odpowie", ale widziałem zainteresowany wzrok kolegów, i koleżanek też, oczywiście, zwłaszcza tej jednej, więc zachowałem spokój.

-- Czy pan profesor widział powierzchnię? Skoro pan uczy hydrologii, ciśnienia i ciężaru wody, a to wszystko zależy od odległości pomiędzy nami i powierzchnią, to przecież musi pan wiedzieć, jak daleko jest do powierzchni. I jak ona wygląda.

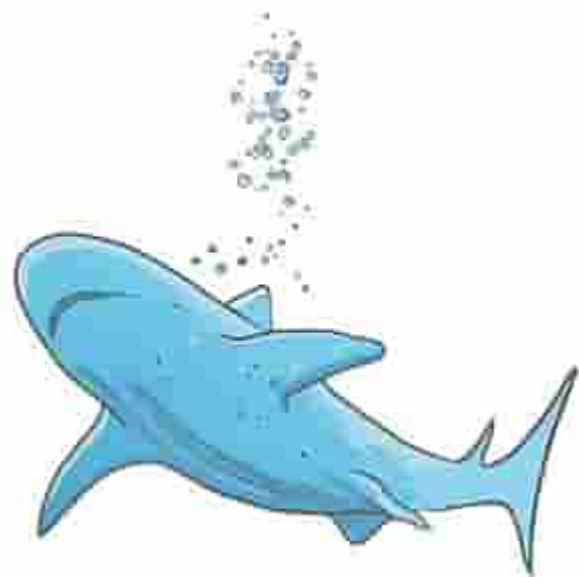
-- Będziecie się o tym uczyć...

-- Wie pan czy nie?

Spiorunował mnie wzrokiem, ale musiał poczuć, że wszyscy bardzo chcemy poznać odpowiedź na to pytanie, i chyba zrozumiał, że zwyyczajne wymierzenie mi jakiejś śmiesznej szkolnej kary nie załatwi sprawy.

-- Wyprzedzam program, ale skoro jesteście ciekawi, dobrze. Stąd do powierzchni są sto trzydzieści trzy metry -- powiedział pan Daniel, a ja szybko obliczyłem w myślach, że to około osiemdziesięciu dorosłych, stojących jeden na drugim, strasznie dużo. -- A jeśli chodzi o twoje drugie pytanie, to nie, nie widziałem powierzchni. Nikt jej nie widział.

Patrzył mi w oczy, jakby mówił tylko do mnie. Kłamał. Wiedziałem, że kłamię, a on wiedział, że ja wiem, widziałem to w jego spojrzeniu.



## Rozdział 10. O miłości mojego życia

Nie miałem czasu poukładać sobie wszystkiego, bo w bąblu czekała na mnie kartka, żebym przyszedł do mamy Betty na farmę. I oczywiście ta informacja wywiała mi wszystkie myśli z głowy, bo farma z wielu różnych powodów to drugie po naświetlarni najfajniejsze miejsce w kolonii. Przede wszystkim z racji najwspanialszego, najmądrzejszego stworzenia, jakie znam, ale do tego zaraz dojdziemy, nie chcę wam zepsuć niespodzianki.

Rzuciłem wszystko i pobiegłem korytarzami, sprawdzając tylko, czy mam żółtą opaskę, bez której operator by mnie nie wpuścił za służę rolniczą. Tutaj mała uwaga, bo nie wiem, czy w waszych koloniach też są przydziały, ale u nas przydział robili w wieku ośmiu lat i można było wtedy wybierać tylko między profesjami rodziców, czyli ja miałem centralę i farmę. Oczywiście wybrałem farmę, chociaż nikt tego nie rozumiał, bo wszystkie dzieciaki bawią się w inżynierów, jakby to była jakaś wielka atrakcja.

Pytacie, dlaczego chcę siedzieć w śmierdzących bąblach i wrzucać gówno do bioreaktora?

Ha, gdzie by tu zacząć. Po pierwsze, znacie już moją obsesję przetrzeni. Farma była zrobiona z takich samych bąbli jak mieszkania, sale szkolne i prawie wszystko inne, tylko tutaj nie zamykano śluz. Podobno kiedyś próbowano, ale okazało się, że w odciętych od siebie bąblach uprawy obumierają i że im bardziej są połączone, tym lepiej. Dlatego teraz cała farma miała wspólny system nawadniania, nawożenia, naświetlania i napowietrzania, z bioreaktorem pośrodku. Serio, można

było łaźić po uprawach, aż się człowiek zmęczył, biegać nawet -- dopóki jakiś nadgorliwy farmer albo inżynier się nie wściekł -- i ani razu nie trzeba było czekać na otwarcie śluzy. Odjazd, co nie?

Powinienem trochę sprostować to, co napisałem chwilę temu, że "rzuciłem wszystko i pobiegłem korytarzami". Że rzuciłem wszystko, to prawda, ale korytarzami kolonii nie dało się naprawdę pobiec, co najwyżej szybko się przemieścić w segmencie pomiędzy jedną śluzą a drugą. Nie potrafię opisać, jak bardzo mnie to dusiło, jakby jakoś w tej całej konstrukcji brakowało tlenu. Niektóre boczne korytarze były tak ciasne, że nawet ja -- jedenastołatek -- mogłem sięgnąć rękami do ścian i sufitu. Światliki rozmieszczono rzadko, a w niektórych segmentach wcale, jedną śluzę od drugiej dzieliło nie więcej niż sto kroków. Bardziej więc ta wędrówka przez kolonię przypominała przeciskanie się z jednej ciasnej puszkii do drugiej niż bieganie.

Dlatego farma wydawała mi się taka wyjątkowa.

Co nie znaczy, że obsesja bezpieczeństwa znikaa tutaj w magiczny sposób. Systemy farmy nie łączyły się z resztą kolonii i aby się tam dostać, trzeba było pokonać dość przerażającą podwójną śluzę. Nie ukrywam, że jeszcze bardziej przerażającą, kiedy -- jak ja teraz -- było się w niej samemu. Zmieściłyby się tam na luzie dwa mieszkalne bąble, stalowe wrota miały grubość stołu, a wszystko zgrzytało, łomotało, ociekało wodą i olejem, serio, za każdym razem bałem się, że jak te wrota raz się zamkną, to już się nigdy nie otworzą, a zanim ktoś sobie o mnie przypomni, to żegnaj, słodkie życie. Totalna bzdura, regularnie co trzy godziny wrota wpuszczały i wypuszczały ludzi, wysoko znajdowało się malutkie okienko kabiny operatora, no ale i tak się bałem.

Tym razem jednak się udało, główna śluza, jęcząc i łomocząc, wpuszciała mnie do przedsionka farmy, gdzie musiałem pobrać kombinezon

i awaryjny tlen na wszelki wypadek i dopiero wtedy mogłem wejść do środka. Ach, ten zapach, nie do opisanie. To znaczy większość kolegów nie miała z tym problemu, nazywając go zapachem gówna i zgnilizny, ale dla mnie to był zapach życia. Całej jego wspaniałości: od zapachu kwiatów na drzewach owocowych przez mokrą woń liści aż po słodki zapach gnijących roślin. Uwielbiałem słuchać mamy Betty i uczyć się o kręgu natury, lubiłem wyobrażać sobie wędrówkę jakiegoś "nasionka życia" -- najpierw stelaż z, dajmy na to, rzodkiewkami, potem sałatka warzywna na stole, poranna kupa trafiająca z innymi organicznymi odpadami do bioreaktora, zamieniająca się tam w odżywkę, która trafia do pojemnika, w którym wyrastają truskawki i tak dalej. Upraszczałem teraz, bo i tak macie niezłą bekę, że fantazjuję o swojej życiodajnej kupie. Ale czasami to były wielopiętrowe fabuły, w których wyobrażałem sobie przygody "nasionka życia". Trochę się wstydzę, kiedy to piszę, a trochę nie, bo ciągle uważam, że to fantastyczne, i jeśli mnie kiedyś wypuszczą, to chcę spędzić życie na farmie.

Sprawdziłem na rozpisce, gdzie urzęduje mama, i oczywiście wbrew wszelkim regułom nie pobiegłem najkrótszą trasą, tylko nadłożyłem drogi, żeby zajrzeć do Faustyny. Pytacie, kim jest Faustyna? Czy to jakaś nowa Virgilia? Moja wielka miłość z farmy, tajemnicza piękność, z którą razem robimy kupy, trzymając się za ręce i gawędząc o cyklu natury? No, powiem wam, że pomijając temat kupy, nieźle trafiliście. Faustyna jest piękna i jest moją wielką miłością. Ma śliczne oczka, czarne w środku i złote na brzegach, różowy grzebień na głowie, a jak ją głaszczę po czarnych piórach, bo Faustyna jako jedyna ma czarne pióra, to tak się cieszy, że kręci głową na wszystkie strony. Gdybyście wy tak spróbowali, to pięć razy łeb by wam odpadł. I naprawdę mnie



poznaje, macha skrzydełkami, kiedy wchodzi, i podskakuje, a ja mam nadzieję, że ją nauczę fruwać, chociaż mama mówi, że kury nie latają.

Aha, Faustyna to kura. To znaczy pewnie już się domyśliliście, ale piszę na wszelki wypadek, gdyby się okazało, że jesteście głupimi ćwokami.

Mam koleżanki i kolegów, którzy trzymają u siebie rybki, my też mamy małe akwarium, ale rybki są do bani. Jak wszystko, co żyje w tej cholernej wodzie, są zimne, durne i wybałuszają oczy bez sensu, ruchomy obiad i tyle. Szkoda, że nie można trzymać w domu takiej Faustyny, i szkoda, że w ogóle nie ma więcej takich mięciutkich stworzeń, które mogłyby żyć z nami i być naszymi przyjaciółmi.

-- Cześć, czarnopióra -- powiedziałem, a ona przekreśliła główkę. --  
Tęskniłaś za mną?

-- Nie miałeś przypadkiem iść prosto do mnie?

Zaskoczony, już miałem odpowiedzieć Faustynie, że przecież szedłem prosto do niej i żeby się nie gniewała, na szczęście zorientowałem się na czas, że to jednak nie kura do mnie mówi. I odwróciłem się do mamy, która stała za mną.

-- Chciałem tylko zajrzeć...

-- Nieważne, chodź, potrzebuję twojej pomocy.

Pomachałem Faustynie i ruszyłem za mamą. Szła szybko, ale ona zawsze tak chodziła, jakby była wiecznie spóźniona albo nie chciała marnować czasu. Minęliśmy bąbel z truskawkami i dwa bąble z brzoskwiniami, które pachniały obłędnie świeżymi owocami, a potem jakimś bocznym korytarzem -- musicie wiedzieć, że farma w przeciwieństwie do reszty kolonii stanowiła dość chaotyczny labirynt -- doszliśmy do sekcji warzywnej.

-- To nie jest żaden podstęp, żebym jadł warzywa? -- spytałem.

-- Wręcz przeciwnie -- odrzekła, przeciskając się przez bujne liście ziemniaków, które wylewały się z hodowlanych stelaży. -- Chcę, żebyś wyruszył na wojnę z kimś, kto dla odmiany bardzo lubi jeść warzywa.

-- Nie znam takiej osoby.

Doszliśmy do pomidorów. Pomidory uwielbiałem, ale pomidory to nie warzywa, tylko owoce, wiedzieliście o tym, prawda? Po pierwsze są owocem krzaka pomidorów, a po drugie są pyszne, a nic, co jest pyszne, nie może być warzywem.

-- Teraz już znasz -- powiedziała mama Betty i wręczyła mi pojemniczek, w środku na liściu pomidora wyginała się brązowa gąsienica długości kilku centymetrów. Dość śliczna, w żółto-pomarańczowo-brązowe paski, ozdobiona śmiesznymi czarnymi kolcami. -- Poznaj małą wszystkożerną cholere, która chce zniszczyć nasze pomidory.

-- Ma jakąś krótszą nazwę?

-- *Helicoverpa armigera*.

-- To mała cholera jednak lepiej brzmi.

-- Też tak myślę. A teraz do roboty, nie chcę izolować bąbla i robić oprysku, więc po prostu musimy obejrzeć każdy krzaczek i szukać tego dziadostwa. Ja biorę prawą stronę, ty lewą, patrz dokładnie na łodyżkach i liściach od spodu. Może być mniejsza i mieć inny kolor, bywają też zielone. No to zasuwasz.

Czytacie i pewnie czekacie na zdanie w stylu "wydałem z siebie jęk zawodu, a stalowoszarze oczy mojej matki spojrzały na mnie karcąco". Nic z tego, z radością zanurkowałem między stelaże z pomidorami, bo ja to po prostu lubiłem. Grzebać się w ziemi, w liściach, łodygach, i to na dodatek po to, żeby szukać żywego stworzenia!

Nie zdążyłem znaleźć ani jednej ślicznej gąsieniczki, kiedy poczułem dziwne, nieprzyjemne drżenie, które jak dreszcz przeszło przez

całą konstrukcję, najpierw słabo, potem mocnej, a potem pomału zgasło. W mojej głowie, ćwiczonej od narodzin w *Uzbach*, pojawiła się oczywiście jedna myśl: rozszczelnienie.

-- Mamo?

-- Spokojnie. Masz tlen i zapięty kombinezon?

-- Aha.

-- Trzy bąble dalej jest skrzynka bezpieczeństwa. Idziemy.

Wyczołgałem się spomiędzy pomidorów i ruszyłem za mamą, delikatnie, nie powiem, przestraszony. Rozszczelnienie w ogóle było groźne, ale na farmie mogło spowodować kataklizm. Gdyby nagle wszystkie śluzy awaryjne się zamknęły, to nie wiadomo, kiedy by nas zlokalizowali w tym labiryncie. A gdyby nas zamknęło teraz w bąblu z przeciekiem, to koniec, tylko na awaryjnym osobistym tlenie długo byśmy nie pociągnęli. Dlatego musieliśmy dojść do skrzynki, w skrzynce znajdowały się standardowe hełmomaski pasujące do każdego kombinezonu, zapas tlenu oraz łąty koagulujące, które pozwalały tymczasowo zatamować przeciek.

Trzy bąble to niby niewiele, ale kiedy w połowie drogi dziwne drżenie, któremu teraz dodatkowo towarzyszył dźwięk niepokojącego dudnienia, znowu rozniosło się po całej farmie, to czułem się już nieźle przestraszony. Kochałem mamę, rośliny i kurę Faustyńę, ale nie na tyle, żeby tu i teraz zakończyć razem z nimi swój krótki żywot. Przecież ja nawet nie pocałowałem Virgiii!

Ze ściśniętym gardłem, tylko ostatkiem dumy powstrzymując się przed tym, żeby nie złapać mamy za rękę, dotruchtałem za nią do bąbla z fasolkami, gdzie stała szafka bezpieczeństwa. Nikt nie musiał mi niczego pokazywać ani tłumaczyć, ćwiczyliśmy to tyle razy, że wszystkie ruchy wykonały się same. Sprawdziłem poziom tlenu, założyłem na

plecy szelki z butlą i pojemnikiem z łątami, dociągnąłem poprawnie paski i dopiero wtedy wziąłem hełmomaskę do ręki. Zgodnie z regulami wolno ją było założyć dopiero w sytuacji pewnego zagrożenia, inaczej musiałbym zużywać powietrze z butli, którego teraz nie potrzebowałem. A za chwilę mogłem go bardzo potrzebować i wtedy lepiej, żeby było go pełno. Jak widzicie, niektóre *Uzby* nie były takie całkiem bez sensu.

Skłamałbym, mówiąc, że nagle wróciła mi cała pewność siebie (pamiętacie implozję piłeczki...), ale poczułem się trochę bezpieczniej.

-- Co teraz? -- spytałem.

Mama Betty przygryzła wargę, jakby się nad czymś zastanawiała.

-- Powinnam cię odstawić do bąbla, ale nie mam na to czasu. Idziemy do reaktora. Ale, Elek... -- Nachyliła się i załapała mnie mocno za ramiona, bardzo mocno. -- Jeśli krzyknę, że masz uciekać, to nie myślisz, nie zadajesz pytań, nie kozaczysz, nie robisz odwrotnie, jak to masz w zwyczaju, tylko rzucasz się biegiem do najbliższej śluzy, rozumiesz?

Przełknąłem ślinę i potaknąłem. Przestraszony, ale też podniecony, bo w sali bioreaktora byłem do tej pory tylko dwa razy, i to krótko. Raz z mamą i raz z klasą, kiedy pokazywali nam serce kolonii. Ponieważ bioreaktor był sercem kolonii, nawet jeśli ze względów bezpieczeństwa znajdował się najdalej od jej "centrum", gdybyśmy za takie uznali otoczoną przez bąble mieszkalną Salę Zgromadzeń. Nawet idąc z farmy, która znajdowała się z oczywistych względów najbliżej, musieliśmy przejść dwie śluzy, a pomiędzy nimi najdłuższy korytarz z tych, które do tej pory widziałem w kolonii. Co byłoby super, gdyby nie powtarzające się regularnie, coraz silniejsze i coraz częstsze fale drgań.

Przyznam szczerze, nigdy wcześniej tak się nie bałem. Zabawne, ale nie uprzedzajmy faktów.

Kiedy w końcu podniosły się przed nami potężne drzwi ostatniej śluzy i weszliśmy do sali bioreaktora, cóż, nie wyglądało to dobrze.

-- Jest Betty! -- krzyknął ktoś.

-- Betty, tutaj! -- Zza jednej z rur wybiegł zdyszany siwy farmer z kucykiem, nazywał się Sasza i był szefem mamy i w ogóle wszystkich farmerów. -- To chyba znowu wyczystka, tyle razy im mówiliśmy, że ten szmelc się w końcu rozsypie i zdaje się, że właśnie... -- Zamilkł zdziwiony, kiedy mnie zobaczył.

-- Był ze mną, nie mogłam go zostawić. Jakie ciśnienie?

-- Chyba trzysta i rośnie.

-- Chyba?

-- Wskaźniki wariują, może pokazują prawdę, a może wszystko jest poza skalą i pokazują, co chcą.

Poszli w stronę reaktora, a ja za nimi, bo też nie miałem pojęcia, co innego mógłbym zrobić. Wcześniej napisałem, że Sasza wybiegł "zza jednej z rur", więc mogliście pomyśleć, że jest ich tutaj wiele. No to pomyślcie jeszcze raz. To pomieszczenie składało się z rur, z setek, tysięcy, może nawet więcej. Oplatały główną komorę, łączyły się z pomniejszych segmentami, pełzły po podłodze, pod podłogą, pokrywały nawet ściany. Aha, to już nie był żaden standardowy bąbel, przystosowany do innych zadań. Centrala bioreaktora nie miała okien, jedynie zimne ściany, a jej kształt przypominał ogromną rurę przykrytą kopułą. Ze swoich wizyt zapamiętałem hałas, ale przypominał szept w porównaniu ze świstami i dudnieniami, które teraz wypełniały pomieszczenie.

Mama z Saszą podchodzili do tablicy kontrolnej, kiedy z jednego z zaworów z ogłuszającym gwizdem wystrzeliła żółta para, zasnuwając śmierdzącą chmurą całe pomieszczenie. Zaraz potem reaktor zauważalnie zadygotał i zrozumiałem, co jest źródłem drgań, które falami rozchodziły się po całej farmie. Zacząłem kasłać, lubiłem zapachy natury, ale od tego smrodu drapało w gardle i chciało się rzygać. Nawet dorośli nie mogli tego wytrzymać, krzywili się i zasłaniali usta dłońmi, czekając, aż wentylatory wyciągną chmurę. Oprócz mojej mamy, która wpatrywała się we wskazania różnych zaworów na tablicy rozdzielczej.

-- Powiedz, jeśli się mylę, ale moim zdaniem nie damy rady nic zrobić -- powiedział Sasza. -- Ewakuujmy się i tyle. Spójrz, wyczystka nie jest drożna, nie mamy żadnej możliwości spuścić ciśnienia z głównej komory.

-- A jakby przekierować do fermentatora?

-- Za późno, rozsadzi go.

Mama pokiwała głową.

-- Spokojnie -- powiedziała, a raczej wykrzyczała, żeby Sasza usłyszał ją poprzez hałas. -- Najpierw diagnoza, potem rozwiązanie. W tym miejscu nie powinno się zatkać odpadami, co się konkretnie stało?

-- Ciśnienie w reaktorze rosło, więc przekierowaliśmy do obejścia, ale to nic nie dało! -- odkrzyknął Sasza.

-- Może to zwrotnica?! Mogła się zaklinować w zamkniętym położeniu, przez to odpady nie mogą wylecieć ani przez główną wyczystkę, ani przez obejście.

-- Kręciliśmy...

-- Kręciliście, ale jeśli zerwał się łańcuch, to kręcenie nic nie...

Widziałem, że rusza ustami, ale kolejny gwizd zagłuszył jej słowa. Nauczony doświadczeniem, zakryłem twarz dłońmi i oddychałem

ustami, żeby nie czuć tego smrodu.

-- Czy możemy jakoś przekręcić zwrotnicę ręcznie? -- spytała mama.

-- Za późno! Trzeba by, nie wiem, od zewnątrz wejść do rury odpływowej, wczołgać się do zwrotnicy i spróbować ręcznie ją odblokować. Ale to niemożliwe, nikt z nas się tam nie zmieści.

I wtedy mama Betty spojrzała na mnie.

## Rozdział 11. O ocieraniu się o śmierć po raz drugi

No i dziesięć minut później zamknęły się za mną drzwi śluzy. Nie takiej jak zwykle, między jednym pomieszczeniem a drugim, tylko mokrej śluzy drugiego stopnia, oddzielającej kolonię od oceanu. Mama Betty spytała przez interkom, czy jestem pewien. Nie byłem, ale potwierdziłem. Powiedziała, że mnie kocha i że mam sprawdzić automat oddechowy i zatrzaski hełmomaski, a potem przekręcić czerwony zawór na ścianie. Tak też zrobiłem, zabulgotało, z krat po bokach zaczęła wypływać woda i szybko zalewać pomieszczenie. Starąłem się nie myśleć o tym, że jestem niespełna dwunastolatkiem, który po trzyminutowym szkoleniu ma uratować kolonię, włącząc do rury, która jest podłączona do znajdującego się na granicy eksplozji bioreaktora. Super, co może pójść nie tak.

Poczułem znajomą, miłą lekkość, kiedy woda zalała mnie całego. Zanurkowałem i zrobiłem kilka bączków, bo czemu nie, w końcu nikt nie patrzy (a oczywiście w *Uzbach* cały rozdział regulował zachowania się w śluzie). W końcu szczęknęły zamki, podniosły się zewnętrzne wrota i wasz bohaterski Elek wypłynął na zewnątrz, żeby śmiać się śmierci w twarz. Teraz tak piszę, wtedy czułem się nie tak bardzo bohatersko, ale zostanmy przy nowej wersji, dobra?

Niestety nie miałem czasu (ani ochoty) rozkoszować się tym, że jestem sam w oceanie poza kolonią, poza sferą, bez żadnych innych dzieciaków, dorosłych i inżynierów. Tylko ja, woda i nic więcej. Szybko znalazłem rurę, która wychodziła ze ściany pomieszczenia reaktora mniej więcej na wysokości mojej głowy i na wspornikach biegła nad



dnem oceanu, na tyle daleko, że nie widziałem jej końca. Miało to sens, odpady fermentacji musiano wyrzucać z dala od kolonii, inaczej przez każdy świetlik widzielibyśmy brunatną zawiesinę.

Szedłem wzdłuż rury, szukając węża inspekcyjnego, o którym mówiła mama Betty. Wąż nie służył do wchodzenia, jedynie do sprawdzania, czy wszystko gra, i wpuszczania maszyny czyszczącej. Ale po co maszyna, skoro ma się na podporządku chłopca, który dopiero zaczął żyć, co nie?

Znalazłem wąż, dość daleko, na tyle daleko, że kolonia wydawała się bardziej cieniem, niż faktyczną konstrukcją na dnie oceanu. Odkręciłem cztery motylkowe śruby, spodziewając się nieoczekiwanej eksplozji, ale nic takiego się nie wydarzyło. Wąż opadł na spód, ukazując ciemne wnętrze rury, woda wokół mnie zrobiła się trochę mętna i tyle.

Westchnąłem ciężko. W tym momencie powinienem wejść do środka, ale, nie uwierzycie, zupełnie nie miałem na to ochoty. Rura była wąska, a odległość do przebycia w środku wydawała się gigantyczna. No i ten reaktor z drugiej strony, rozumiecie.

Wziąłem trzy głębokie oddechy, pomyślałem o tym, co mama mówiła, że koniec reaktora oznacza koniec całej kolonii -- bez możliwości produkcji tlenu, a takie było główne zadanie bioreaktora, musielibyśmy zostać uchodźcami w innych koloniach Hydropolis. Zakładając, że gdzie indziej by nas przyjęli, a wcale nie musiało się tak wydarzyć.

Cóż.

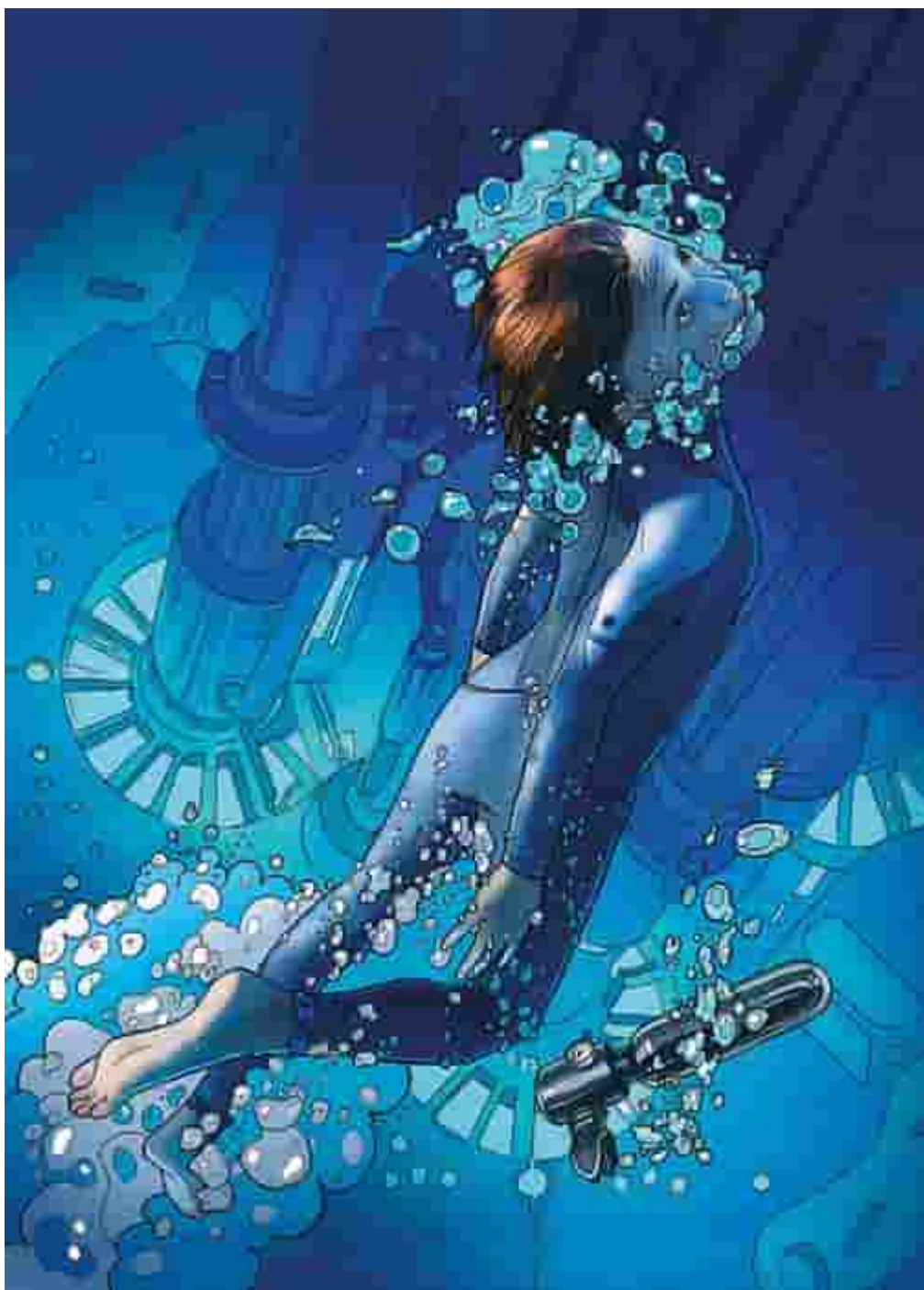
Wziąłem kolejny głęboki oddech, odpiąłem zatrzask hełmomaski, zdjąłem ją i pozwoliłem opaść jej razem z butlą na dno oceanu. Musiałem to zrobić -- ani hełmomaska, ani tym bardziej butla nie zmieściłyby się w rurze -- jedynym sposobem na ocalenie kolonii było wejść do środka z awaryjnym pojemnikiem. Chłodna woda przyjemnie obmyła

mi twarz, miłe uczucie znane ze sfery. Bo też było jak w sferze. Ja, woda i pojemnik z oxy, którego starczy mi na dwadzieścia minut.

Dużo? Mało? Zobaczymy.

Dostałem małą latarkę, ale równie dobrze mógłbym świecić sobie zębami, gówno było widać w tej rurze, i to bez żadnej przerośni. Odpady z bioreaktora to prawdziwe i dosłowne gówno, którego nie da się wykorzystać w inny sposób. Brnąłem przez ten ściek w rurze tak wąskiej, że moje ramiona bez przerwy szorowały o ścianki -- na szczęście śliskie od szlamu -- i starałem się nie myśleć o tym, że za chwilę zaklinuję się, zużyję resztkę tlenu i umrę.

Niestety, im bardziej się starałem, tym bardziej o tym myślałem, płuca się kurczyły, serce przyśpieszało, "tylko nie zwariuj", powtarzałem w myślach, "tylko nie zwariuj". Pięć ruchów, łyk tlenu, pięć ruchów, łyk tlenu, to nie może być aż tak daleko. Ale było. Nawet kiedy płynąłem wzdłuż rury, to było daleko, a teraz przeciskałem się przez nią ruchem gąsienicy. Pomyślałem, że chwilę temu szukałem gąsienic na liściach. Kiedy to było? W dawnych czasach, kiedy miałem jeszcze całe życie przed sobą.



Wskaźnik na butli pokazywał pięćdziesiąt procent. Fantastycznie, biorąc pod uwagę, że muszę jeszcze wrócić. Być może powinienem to zrobić teraz? Nikt chyba nie będzie miał pretensji, że nie poświęciłem bezsensownie życia, ginąc w rurze ściekowej?

Wiem, wiem, przecież nie piszę tego w tej rurze, tylko później, więc jasne, że przeżyłem, zatem co to za napięcie, ale robię, co mogę, tak? Opisuję, jak było, a wtedy z każdym ruchem stawałem się coraz bardziej pewny, że to koniec. Miałem połowę tlenu, tkwiłem w tej rurze cholera wie gdzie, wszystko to wyglądało beznadziejnie, na dodatek myślałem, że jeśli tym szlamem przesiąknę, to prędzej dorosnę i się zestarzeję, niż mnie Virgilia pocałuje. No dno.

Postanowiłem, że jeszcze dziesięć ruchów, dwa małe łyki i koniec.

I nic.

Potem, że jeszcze dziesięć ruchów, jeden mały łyk i koniec.

I nic.

Potem, że to już naprawdę najostatniejsze dziesięć ruchów. I minilyczek. I wracam.

W następnej chwili rura rozszerzyła się, ręka walnęła w ścianę i tak oto dotarłem do końca. Czyli do miejsca zwanego "zwrotnicą". Nie pytajcie, o co dokładnie chodzi, w tym miejscu łączyło się kilka rur odpływowych, kawałek stali decydował o tym, co gdzie płynie. I ten kawałek stali się zaklinował w pozycji zamkniętej, bo zepsuł się jakiś łańcuch, ścieki nie mogły odpływać z reaktora, no i rozumiecie.

Mówicie: przekręć kawał stali i spadaj.

Ha, łatwo powiedzieć. Teoretycznie zamknięto wszystkie zawory odpływowe przy reaktorze, więc nie groziło mi, że odpady pod ciśnieniem "trzystu", o jakąkolwiek jednostkę by chodziło, wałą we mnie i rozerwą moje młode umięśnione ciało na strzępy, przepychając te strzępy przez rurę z szybkością "trzystu".

Teoretycznie.

Nagle zadudniło i przez rurę przeszło to samo drganie, którego wcześniej doświadczałem na farmie. Tylko mocniej i groźniej, całe

moje ciało zawibrowało, zęby zadzwoniły. Pomyślałem o mamach, o przyjaciółach, o Stanie, o Virgilli, o wszystkich zależnych od bioreaktora. Nawet gdybym miał tego nie przeżyć, to czy inni na to nie zasługują?

Poświeciłem latarką, znalazłem w mętnej wodzie wygięty bolec blokujący płytę i spróbowałem go przekręcić, ale -- co chyba było do przewidzenia -- cholerny kawałek żelastwa nawet nie drgnął. Ciągnąłem, pchałem, waliłem w niego pięściami, butlą z oxy, nic, zero. W końcu, wściekły, zwinąłem się w obwarzanek, odwróciłem nogami do przodu i kopnąłem w niego z całej siły.

Zadziało.

Odpyw się odblokował i nawet przy zamkniętych zaworach zgromadzone między płytą a reaktorem ciśnienie uderzyło mnie mocno i wepchnęło z powrotem do rury jak pocisk. Najpierw się przestraszyłem, potem uznałem, że to nawet zabawne. W śliskiej rurze leciałem dość szybko i dość długo, z rękami wyciągniętymi do przodu. Potem zacząłem zwalniać, w końcu się zatrzymałem.

Krzyknąłem z radości, wypuszczając z ust chmurę bąbelków powietrza.

Udało się!

I wtedy jednocześnie z tym wybuchem euforii uderzyła mnie myśl, że zaraz umrę. Ostatni łyk powietrza wziąłem przed dzikim kopnięciem, uderzenie wytrąciło mi butlę i już czułem, że płuca domagają się nowej porcji tlenu. Wracać oczywiście nie było sensu, musiałem znaleźć właz i leżącą pod nim na dnie swoją dużą butlę z tlenem. Ale gdzie on jest? Za mną? Przede mną? Blisko? Daleko?

Uderzyła we mnie fala paniki i rozpacz. Wszystko stało się takie strasznie, ostatecznie jasne. Że tym razem to nie zabawa w powstrzy-

mywanie oddechu, nie ma awaryjnej butli zawieszanej na siatce sfery. Krtań zaciskała mi się już spazmatycznie, łzy leciały z oczu. Serio? Taki koniec? Taki głupi koniec? Wszystko się skończy w jakiejś rurze z gównem? Nie będzie całowania, przeprowadzki, jedzenia, pływania, przyjaciół, przygód? Już zaraz, za kilka chwil nie będzie kompletnie NIC?

Wrzasnąłem w swojej głowie: myśl! Choć raz pomyśl, tak jak o tym marzy trener, w sporcie wygrywa ten, kto myśli, i w życiu też wygrywa ten, kto myśli, proste.

Myśl!

Ślady. Czołgając się, musiałem zostawić ślady. Po tym poznam, z której strony wjazdu jestem. Może to gdzieś blisko, może jeszcze jest szansa. Świeciłem latarką na szlam pokrywający wewnątrz rury, ale w panice i w spazmach żądających tlenu płuc cały się trzęsłem, oczy miałem załzawione, nie byłem w stanie niczego zobaczyć. Co za bezsens, co za bezsensowny bezsens. Wtedy po rurze przeszło kolejne drżenie, mocniejsze, dłuższe i znacznie bardziej złowrogie niż wszystkie do tej pory.

Przecież zawory przy reaktorze są cały czas zamknięte! Oni nie wiedzą, że mi się udało, czekają na umówiony sygnał, który który miałem dać po wyjściu. Jeśli go nie dam, to nie dość, że umrę, ale jeszcze całą kolonię szlag trafi, reaktor eksploduje, cały wysiłek, moje życie, wszystko pójdzie na marne.

Miałem stukać w rurę butlą, ale nie miałem żadnej butli! Awaryjna została daleko za mną, normalna leżała na dnie nie wiadomo gdzie. Próbowałem latarką, ale dla wygody cała była pokryta gumą, bez sensu. Próbowałem głową, ale jedyne, co osiągnąłem, to ostry, przeszywający ból. Po chwili poczułem pękającą skórę i ciepło krwi.

Porażka, totalna porażka. Ile mi zostało? Sekundy. Opanowałem drżenie, zamrugałem kilka razy, żeby osuszyć oczy, poświeciłem pod nos. Wydawało się, że szlam przede mną jest nienaruszony. Czyli właz był za mną. Porzuciłem latarkę i zacząłem się czołgać do tyłu. W mętnej wodzie światło szybko się oddalało, metr, dwa, trzy, pięć. Nie miałem pojęcia, jak to możliwe, że ciągle nie zaczerpnąłem wody do płuc. Sekunda, pół, ile jeszcze wytrzymam?

I wtedy po rurze przeszło kolejne upiorne drżenie, każda kość w moim ciele wpadła w bolesną wibrację, a najbardziej kolano, które rytmicznie uderzało w jakąś dziurę. Tylko tego mi brakowało.

Dziurę!

Szybko podpełzłem w tył. Tak, udało się! Właz pode mną jarzył się zielonkawym podwodnym światłem, za nim czekała wolność, a przede wszystkim hełmomaska i pełna tlenu normalna butla. Wycisnąłem się na zewnątrz, założyłem hełmomaskę, odkręciłem zawór i jak tylko powietrze wypchnęło wodę, odetchnąłem głęboko.

I mało nie puściłem pawia. Oddech smakował i pachniał wszystkim tym, czym musiała być umazana moja twarz, czyli odpadami z bioreaktora, które odkładały się w tej rurze przez nie wiadomo ile lat. Powstrzymałem się od wymiotów tylko dlatego, że musiałem dać znać, że misja się udała. Podniosłem butlę z tlenem i mocno trzy razy uderzyłem nią o rurę. Dźwięk i wibracje rozniosły się po wodzie. Oczekałem chwilę i ponownie uderzyłem trzy razy.

Poczułem, że rura drży, ale inaczej niż dotychczas. Usłyszałem daleki, stłumiony syk i bulgot. Spojrzałem na otwarty właz i przypomniałem sobie głos mamy: "Jeśli się uda, zanim dasz sygnał, nie zapomnij zakręcić włazu, inaczej wszystko wystrzeli obok ciebie".

Ech.

Rzuciłem się do tyłu, w stronę kolonii, płynąc najszybciej, jak tylko mogłem. Za wolno. Nagle otoczyła mnie chmura czerni i poczułem się jak jeź do oxy, jakby ktoś mnie złapał i cisnął w stronę bramki. Koziółkowałem w wodzie, mając nadzieję, że nie wyrznię w jakieś zabudowania kolonii, i myślałem tylko o tym, żeby nie wypuścić kurczowo trzymanej w ramionach butli z tlenem (którą oczywiście zgodnie z *Uzbami* powinienem był porządnie przypiąć, ale nie było na to czasu).

Zwolniłem, ale nie miałem pojęcia, gdzie jest góra, a gdzie dół, uznałem więc, że dopóki mam tlen, po prostu pounoszę się w wodzie i zobaczę, co dalej. Czas mijał, nic się nie działo i już prawie doszedłem do wniosku, że to jednak głupia strategia, kiedy w końcu woda zaczęła się przejaśniać, szlam przeredzał się albo opadał, czerń zamieniła się w szarość, a potem w brudną zieleń. Rozejrzałem się i zobaczyłem pod sobą kopuły kolonii oraz szybko płynącą w moim kierunku postać inżyniera. Nie musiałem widzieć numeru, po ruchach poznałem, że to Czarna Czternastka, i wypełniło mnie takie szczęście, jakie wypełnia jedenastolatka, który cudem uniknął śmierci i widzi swoją mamę pędzącą na ratunek.

A potem spojrzałem w górę i zdziwiłem się, ponieważ woda zachowywała się tam dziwnie, ruszała się niepokojąco, błyskała, jakby... W jaki sposób to opisać? Jakbym patrzył na obracającą się niebieską pomarańczę, do której ktoś włożył mocne źródło światła.

I wtedy zrozumiałem: to powierzchnia! Tuż nade mną!

Zapomniałem o wszystkich przestrożach pana Daniela -- że wynurzenie jest dla nas jeszcze bardziej niebezpieczne niż zanurzenie, że coś tam nam eksploduje we krwi. Miałem powierzchnię na wyciągnięcie ręki! Zacząłem płynąć w górę, żeby zobaczyć, co tam jest, jak wygląda



świat nad powierzchnią, ale wtedy żelazny chwyt mamy Lizy złapał mnie za kostkę i zdecydowanie pociągnął w dół.



## Rozdział 12. O powierzchni

Czekacie na opisy, jak zostałem bohaterem kolonii? Jak śpiewano piosenki o Elku nieustraszonym? Jak na przedstawieniach dla rodziców maluchy odgrywały sceny mojego pełzania przez rurę, aby ocalić świat? Czekajcie, powodzenia.

Zanim w ogóle ktoś mi podziękował, usłyszałem, że to wszystko najbardziej tajemna tajemnica, że wyląduję w strefie kontroli za samo myślenie o tym, co się wydarzyło, potem poszedłem do domu, a potem matki pokłóciły się w sposób naprawdę przerażający. Serio. Wrzeszczały, ciągle mówiły "kura przez w", mama Liza mówiła, że ona... eee... nie dba o Hydropolis (to jest jednak za brzydkie słowo) i że wszystko to jest bez sensu, jeśli zaczniemy zabijać te biedne dzieciaki... Na co mama Betty mówiła, że mamę Lizę chyba kompletnie... eee... zepsuło od *Uzbów* i od tej obsesji, że po pierwsze, czasami trzeba zaryzykować, a po drugie, jeśli wszystko się dobrze skończyło, to chyba to jest ważne, a nie wpadanie w szaleństwo, że mogło być źle -- a przecież nie jest. Ta ostatnia argumentacja nawet do mnie trafiała, głównie dlatego, że chciałem, aby ta koszmarna awantura się skończyła, ale też mama Liza miała trochę racji. Za wysłanie dziecka do tej rury nikt raczej nie powinien zostać rodzicem roku.

Awantura przebiegła ze stałym schematem: najpierw mówiły coraz ciszej, potem się razem popłakały, potem całowały i przepraszały, a potem przyszły do mnie. Długo rozmawialiśmy i w końcu ktoś mi naprawdę za moje bohaterstwo podziękował, i wcale tego nie piszę na wyrost, to one odmieniały to słowo przez wszystkie przypadki. Miło, ja-

sne, ale wolałbym mniej być "naszym kochanym bohaterem", a bardziej opowiedzieć chłopakom i Virgilli, co się wydarzyło. A to nie wchodziło w grę.

Wchodziłoby, gdyby Stan znalazł sposób, żebyśmy normalnie pogadali. Chciałem go o to przycisnąć następnego dnia w szkole, na przerwie obiadowej, ale nie dano nam takiej szansy. Jak tylko usiedliśmy przy stole, zastukały podkute buty, lud szkolny zaszemrał i zanim zdążyłem się zorientować, o co chodzi, Łysy stanął przy naszym stoliku. Reszta uczniów się odsunęła, jakby właśnie przyszedł polować na ofiary do strefy kontroli.

-- Leonardzie i Stanisławie, pójdziecie ze mną -- powiedział.

Cóż było robić, poszliśmy, wymieniając przestraszone spojrzenia. Słuchali nas? Przejrzeli? Wszystko zrozumieli? Złamaliśmy reguły? Poniesiemy karę? Strefa kontroli czy wcześniejsza przymusowa przeprowadzka? A może jeszcze coś gorszego? Pewnie myśleliśmy o tym samym, idąc za Trójką przez korytarze kolonii, aż w końcu we trzech znaleźliśmy się w technicznej służbie, nie miałem pojęcia, dokąd prowadziła.

-- Dokąd idziemy? -- zapytał Stan, kiedy zamknęły się zewnętrzne drzwi.

-- Niedługo się dowiesz.

-- A czemu nie teraz? -- Słowa same wyskoczyły mi z ust.

Łysy nawet na mnie nie spojrzał, nie wspominając o zaszczytaniu mnie odpowiedzią.

-- Jest jakaś reguła, która zabrania mówić zabranym ze szkoły dzieciom, dlaczego się je porywa?

Tym razem na mnie spojrzał. Szczerze? Miał takie spojrzenie, że wolałbym, żeby tego nie zrobił.

-- Trzecia. Że "o ile Uniwersalne Zasady Bezpieczeństwa nie stanowią inaczej, każdy mieszkaniec kolonii winien jest bezwarunkowo posłuszeństwo poleceniom inżynierów".

-- Tę znałem. Pytałem o taką, która zabrania mówić, o co chodzi.

Zawahał się, jakby nie wiedział, co powiedzieć, po czym bez słowa odwrócił się do nas plecami. Cóż, to zawsze jakaś mała satysfakcja, za bić ćwieka Trójce.

-- Idziemy do maszynowni -- powiedział w końcu, nie odwracając się, kiedy drugie drzwi śluzy zaczęły się otwierać.

Spojrzeliliśmy na siebie ze Stanem, błyszczącymi oczami, i nagle zapomnieliśmy o strachu, zastąpiła go ekscytacja. Do centrali inżynierskiej -- zwanej maszynownią -- nie miał wstępu nikt poza samymi inżynierami. Nawet ci z nas, którzy mogli i wybrali w przydziałach profesję inżyniera, wchodzili tylko do tuneli i pomieszczeń technicznych, nigdy do maszynowni.

Podążaliśmy za Trójką w milczeniu, bojąc się, że jak coś piśniemy, to zmieni zdanie i tyle zostanie z wycieczki naszego życia. Korytarz techniczny okazał się znacznie węższy niż korytarze komunikacyjne w kolonii, ledwo dawaliśmy radę iść ze Stanem obok siebie, a dorosłe osoby musiałyby się ustawiać bokiem, żeby się minąć. Był pozbawiony jakichkolwiek ozdób, z chropowatymi metalowymi ścianami, z grubymi nitami w miejscu łączeń segmentów korytarza, z wiązkami kabli i przewodów. Podłogi nie wyłożono miękką lśniącą szarą wykładziną jak wszędzie indziej, szliśmy po stalowej siatce, pod którą biegły kolejne rury, to właśnie dźwięk ciężkich butów uderzających o siatkę korytarzy technicznych powodował ten ponury huk, po którym wszyscy poznawaliśmy nadchodzących inżynierów.

Wszystko tu zresztą robiło ponure wrażenie, jakby było bardziej zaniedbane, bardziej zardzewiałe, wilgotne, zapomniane. W widoczny sposób starsze niż reszta kolonii. W pewnej chwili musieliśmy przejść przez śluzę i była to ręczna śluza, więc zamiast wcisnąć guzik, wuj Gerwazy musiał z wysiłkiem kręcić wielkimi stalowymi kołami, żeby najpierw zamknąć, a potem otworzyć wrota. Czy to możliwe, myślałem, że zwiedzamy najstarszą część kolonii, która powstała jako pierwsza? I jak stara w ogóle jest nasza kolonia? I całe Hydropolis? Taka jak mamy? Starsza?

Za śluzą znajdowało się okrągłe pomieszczenie, z którego gwiazdźście rozchodziło się sześć korytarzy. Poszliśmy jednym z nich, na końcu Trójka otworzył drzwi i weszliśmy do owianej legendami maszynowni.

Cóż mogę powiedzieć? O mały włos nie wyskoczyłem z: "Serio, to ma być to? Jaja sobie robicie?".

Sławna i Niezmiernie Tajemnicza Centrala Inżynierów zmieściłaby się w naszej sali szkolnej. Była od niej mniejsza, brzydsza, pozbawiona okien, a ściany zostały obwieszane ekranami, wskaźnikami, narzędziami, kablami i sprzętem, wobec czego bardziej przypominała schowek na miotły niż mózg całej cywilizacji. Dlatego od razu, zanim zdążyli nam zabronić, ruszyliśmy ze Stanem do najciekawszego elementu pomieszczenia -- niskiego stołu z makietą kolonii.

Na błyskającej świetłkami makiecie pokazano każdy bąbel i korytarz. Szybko znalazłem nasze mieszkanie, szkołę, Salę Zgromadzeń, sferę do oxy, farmę i budynek reaktora. Szybko też się domyśliłem, że każde zielone światełko oznacza otwarte, a czerwone zamknięte drzwi do śluz. Szybko też zlokalizowałem ciało obce -- korytarze techniczne, łączące w mądry sposób różne fragmenty kolonii, pozwalające szybko i bez wchodzenia w paradę zwykłym ludziom przemieszczać się między

sektorami. Domyśliłem się też, gdzie teraz się znajdujemy i że miejsce to -- choć centralne -- mieściło się w bezpiecznej odległości od pozostałych zabudowań. Miało to sens, zrozumiałem nagle całą konstrukcję sektorową. Jasne, wiedzieliśmy, że tak podzielona jest kolonia, ale teraz zrozumiałem dlaczego. W razie awarii -- katastrofy raczej -- można było szybko odciąć jeden sektor, nie pozbawiając pozostałych dostępu do wspólnych instalacji. Farmy, reaktora czy właśnie centrali inżynierów.

-- Znalazłeś dom? -- usłyszałem głos mamy Lizy, która nie wiadomo kiedy zmaterializowała się za naszymi plecami.

Bez wahania pokazałem nasz bąbel mieszkalny.

-- Fascynujące, prawda? Zobaczyć całą konstrukcję jak na dłoni.

Stan otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale zamknął je i tylko pokiwał głową.

-- Bardzo przemyślana. Bardzo logiczna -- powiedziałem, nie mogąc oderwać wzroku od makiety.

-- Byłam pewna, że ci się spodoba. Ciągle żałuję, że na przydziale nie wybrałeś profesji inżyniera. Masz logiczny, poukładany umysł, tak samo ty, Stan. Bylibyście dobrymi inżynierami.

Nie bardzo wiedziałem, co powiedzieć, bo to stwierdzenie brzmiało trochę jak zaproszenie do niebezpiecznej gry "którą mamusię kochasz bardziej". Więc tylko uśmiechnąłem się głupkowato.

-- Ale też, jak się ma takie mózgi jak wy -- tym razem spojrzała na Stana -- to każdy przydział będzie z was miał pożytek. Ale nie dlatego się teraz widzimy. Zaprosiliśmy was tutaj z dwóch powodów. Pierwszy to taki, że zastanawialiśmy się, co by było dla ciebie, Elek, największą nagrodą za to, że uratowałeś wczoraj kolonię.

Nie będę opisywał teraz miny Stana, ale pewnie możecie ją sobie bez problemu wyobrazić.

-- I uznaliśmy, że taką nagrodą będzie możliwość opowiedzenia o twojej przygodzie przyjacielowi. Niestety, to może być tylko Stan. Pepe jest za młody, do Virgillii nie mamy zaufania, że się w tobie nie zakocha i nie zacznie opowiadać wszystkim, jaki jesteś wspaniały.

-- Mamo... -- jęknąłem.

A potem razem z mamą opowiedziałem Stanowi, co się wydarzyło poprzedniego dnia. Trochę żałowałem, że nie mogę tego zrobić sam, ale miałem nadzieję, że jeszcze potem dadzą nam pogadać. Nadzieja nie żyła jednak długo.

-- Nie muszę chyba podkreślać, że jest to wasza jedyna rozmowa, że pozostanie tylko między wami i nigdy nie wrócicie do tego tematu, chyba że za naszą zgodą i w podobnych warunkach -- oznajmiła mama.  
-- Rozumiemy się?

Chciałem powiedzieć, że to wszystko bardzo dziwne, bo zwykle naj-  
mniejszą awarię w kolonii rozdmuchiwano do niebotycznych rozmiarów i tygodniami wałkowano ćwiczenia, pogadanki i manewry, żeby obsesji bezpieczeństwa stało się zadość. Dlaczego ta jedna miałaby być tajna? Postanowiłem jednak nie drażnić i potaknąłem z miną grzecznego dziecka, które jest bardzo wdzięczne swojej kochanej mamie.

-- Stanisławie? -- Mama nie spuszczała wzroku ze Stana, a nie był to wzrok mamy, tylko Czarnej Czternastki, zimny i straszny.

-- Oczywiście, proszę pani. Wszystko jasne. Prosiłbym tylko, żeby przekazać trenerowi, że Elek jest zdolny do rzeczy wielkich i wspaniałych, może go bardziej przycisnąć.

-- Wiesz, że nikt tutaj nie żartuje? -- Głos mamy zabrzmiał zimno i nieprzyjemnie jak otaczające nas wilgotne stalowe ściany.

-- Przepraszam.

Mama Liza odczekała chwilę i mówiła dalej.

-- A teraz drugi powód naszego spotkania. Elek w czasie swojej przygody o mało nie wypłynął na powierzchnię, co zresztą skończyłoby się dla niego fatalnie, o czym dobrze wiecie, jeśli choć trochę uważaliście na zajęciach z hydro. Zbiegiem okoliczności wcześniej pytał o powierzchnię właśnie swojego nauczyciela. Wiem, drogi Stanie, że ciebie te zagadnienia też interesują. Że jesteś na tyle mądry, iż pytania dotyczące naszego otoczenia, historii Hydropolis, nie dają ci spokoju. Dlatego postanowiliśmy wyprzedzić trochę waszą edukację i wytłumaczyć to, czego dowiedzielibyście się dopiero po przeprowadzce.

Przyznaję, to brzmiało niezłe.

-- Zrobię to skrótowo, jak mówię, ponieważ po przeprowadzce będziecie się uczyć więcej. To jest bąbel dziecinny, ma tu być miło, bezpiecznie dla wszystkich, macie stąd wyjść ukształtowani przez przydziały i *Uzby*, ze znajomością reguł, z wiedzą na temat bezpieczeństwa. Ale nie przerażeni. Rozumiecie?

Nie byłem pewien, ale potaknąłem, bo bałem się, że zmieni zdanie i nic nam nie powie.

-- Opowieść o ludziach powietrza i świecie wody to mitologiczne uproszczenie, bajka dla dzieci. Powiem wam naukową prawdę. Nasi przodkowie pochodzą ze świata, który składa się zarówno z wody, jak i z lądu.

-- Lądu? -- zapytałem.

-- Dna nad powierzchnią -- wyjaśnił Stan.

-- Dokładnie. W wodzie, tak jak tutaj, żyły różne stworzenia, ale my byliśmy istotami lądowymi. Tam mieszkaliśmy, żyliśmy, oddychaliśmy powietrzem, które było wszędzie.



-- Wszędzie? -- No przykro, że byłem w tej rozmowie debilem, ale piszę, jak było.

-- Dalej, niż można sięgnąć wzrokiem. Nad nimi i dookoła nich nie było nic, co ograniczałoby spojrzenie ludzi. Na lądzie rosły nasze drzewa owocowe, cała roślinność i było nieskończenie wiele innych rzeczy. Oprócz ludzi na lądzie żyły zwierzęta najróżniejszych kształtów i rozmiarów, szybkie, wolne, miękkie, twarde, latające, pełzające. Podobno był to najpiękniejszy ze światów.

Miałem kilka pytań, Stan pewnie też, ale chyba jednocześnie postanowiliśmy się wstrzymać, żeby mama powiedziała wszystko, co ma do powiedzenia.

-- Chciałabym go zobaczyć. Podobno przed drugim kataklizmem były jeszcze filmy i zdjęcia z Ziemi, tak się nazywał ten świat, ale nawet nie znam nikogo, kto mógłby je widzieć, za dużo czasu minęło. Mamy tylko opisy. W każdym razie ludzie zniszczyli tamten świat. Nie pytajcie, jak to możliwe, nie mam pojęcia. Część z nich uciekła tutaj, wierząc, że ten świat jest podobny do Ziemi. A ponieważ między światami rozciąga się niewyobrażalna pustka, była to podróż w jedną stronę. Domyślcie się, co się okazało?

-- Nie da się żyć na lądzie? -- zapytał Stan.

-- Pokażę wam.

Podeszła do pulpitu i uruchomiła największy z ekranów. Przez chwilę migwały tam tylko różne ciemne paski, potem pojawiła się charakterystyczna niebieskawa zieleń podwodnego świata.

-- To, co widzicie, to widok z kamery sondy, którą możemy wypuścić na uwięzi na powierzchnię. W górę wynosi ją siła wyporu, z powrotem ściągamy ją na linie. Podajnik jest niedaleko centrali, kamera teraz patrzy w stronę Sali Zgromadzeń. Możecie porównać z makietą.

Skoczyliśmy do makiety, porównaliśmy, wszystko się zgadzało. Kamera wolno unosiła się ku powierzchni, na ekranie pojawiało się coraz więcej bąbli, wyglądało to w ogóle bardzo ładnie i tajemniczo, w zielonkawej mgle unosiły się ciemniejsze kształty elementów kolonii, na biało żarzyły się świetliki tam, gdzie paliło się światło. Nie mogło się to równać z widokiem, który oglądałem spod powierzchni -- tam widziałem świat wszędzie dookoła, a nie tylko na małym wycinku -- ale i tak wyglądało to pięknie.

Stan patrzył na to szeroko otwartymi oczami i chyba po raz pierwszy widziałem go, kiedy wyglądał nie jak "wyjątkowo mądry jak na swój wiek dzieciak", tylko po prostu jak dzieciak.

-- Czy zobaczymy inne kolonie? -- zapytał.

-- Nie, są za daleko. Ze względów bezpieczeństwa nie można ich budować obok siebie, żeby kataklizm nie zniszczył całej cywilizacji. Spójrzcie teraz.

Kolonia w dole zamieniła się już w daleki dywan słabych światełek wśród ciemniejszych plam, bez możliwości rozpoznania, co jest czym. Wyteżalem wzrok z całych sił, wpatrując w ekran, ale obraz nagle zmętniał, zafalował, chlapanęła na niego woda, pojawiła się zielonoszara krzywizna, pomyślałem, że coś się zepsuło, ale Stan, to już wiecie, myślał szybciej.

-- Powierzchnia -- wyszeptał.

-- Powierzchnia -- potwierdziła mama. -- Podniosę kamerę jeszcze wyżej, żebyście lepiej widzieli.

Ciągle nie wiem, jak to opisać. To nie była powierzchnia jak w zupie albo w szklance wody, ten ocean wydawał się, jak by to powiedzieć... żywy. Wielkie pofałdowane płaskie stworzenie, dzikie i niebezpieczne, sięgające aż po półokrągły kraniec świata. Skóra stworzenia ruszała się

bez przerwy, wypiętrzała, czasami pienila i gwałtownie opadała. A nad nią nie było nic, serio. NIC. Świat nad powierzchnią nie miał końca, to znaczy nakrywała go bladoniebieska kopuła, ale wydawała się niewiarygodnie daleka.

-- Tymi dwoma klawiszami możecie zmieniać położenie kamery, żeby się rozejrzeć. -- Mama wskazała nam dwie strzałki na klawiaturze. -- Teraz patrzycie w kierunku zero, widzicie tutaj? Koło ma trzysta sześćdziesiąt podziałek, więc przy dziewięćdziesięciu i dwustu siedemdziesięciu patrzycie na boki, a przy stu osiemdziesięciu za siebie.

Wyprzedziłem Stana i dorwałem się do klawiszy, nie mogąc się doczekać, aż zobaczę coś niesamowitego, powierzchnię nad wodą, czyli ląd, tak to się nazywa. Dlaczego nie możemy tam mieszkać? W tym miejscu, gdzie wzrok się w ogóle nie zatrzymuje.

Domyślcie się, co nie? Niezależnie od tego, w jakim kierunku patrzyliśmy, niezależnie od tego, czy cyferki na ekranie pokazywały zero, sto piętnaście, dwieście czy trzysta trzydzieści, ekran pokazywał ten sam obraz -- skórę groźnego, wkurzonego szarozielonego potwora pod bladym niczym i tak aż po kraniec świata.

-- Rozumiecie teraz? -- powiedziała mama. -- Ten świat to tylko woda.

-- A co jest za krawędzią? -- zapytałem.

Uśmiechnęła się.

-- Każdy świat to ogromna kula zawieszona w nicości -- powiedziała. -- To nie jest krawędź, tylko zakrzywienie tej kuli. Gdybyś płynął przez cały czas prosto, to po bardzo, bardzo, bardzo wielu miesiącach płynięcia bez przerwy dopłynąłbyś w to samo miejsce. I wszędzie widziałbyś to samo.

-- Jest ciocia pewna? -- Stan wydawał się z jakiegoś powodu nie tyle podekscytowany, co przygnębiony.

-- Nie. Wiemy to wszystko ze szczątkowych informacji, jakie ocalały po obu kataklizmach. Pierwsi ludzie mogli obejrzeć ten świat z zewnątrz, zawieszeni w nicości. A ponieważ nie znaleźli żadnego lądu, a powrót na Ziemię był i niemożliwy, i bez sensu, postanowili zbudować miasto na dnie oceanu.

-- Jak zeszli z nicości? -- zapytał Stan. -- Spadli do wody?

-- Nie wiem. Wiem, że była to podróż w jedną stronę, wiedzieli, że jeśli raz zejść na ten świat i zamieszkają pod wodą, nigdy nie wrócą na górę, nie uda im się zdobyć takiej wiedzy i stworzyć takiej technologii.

Bezkresna przestrzeń na ekranie oraz wiedza, że w rzeczywistości jest bardziej bezkresna, niż mi się wydaje, fascynowała mnie tak bardzo, że bałem się momentu wyłączenia ekranu. Musiałem zadawać jakieś pytania, żeby to przedłużyć.

-- Kiedy to było?

-- Około trzystu lat temu. Nie wiemy dokładnie, nasza wiedza jest fragmentaryczna, po drodze wydarzyły się dwa kataklizmy, po których kolonie z trudem się odrodziły. Jeden naturalny, pierwsza kolonia znajdowała się częściowo w jaskiniach, czyli jakby naturalnych podziemnych bąblach. Jaskinie się zawaliły. Drugi kataklizm, ponad sto lat temu, był wynikiem konfliktu między kolonistami. Potem stworzono system Hydropolis, w którym funkcjonujemy teraz.

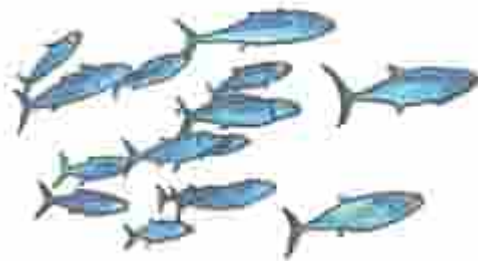
-- Czyli nie możemy być pewni, że gdzieś tam nie znajduje się jednak ląd.

-- Szczerze? Nie możemy. Ale nawet jeśli, czy będziemy tam mogli oddychać? Czy nasze rośliny będą tam rosnąć? Czy będzie woda do picia? Czy nie zabiją nas dzikie stworzenia, choroby, bakterie, o których

nie mamy pojęcia? Tutaj, pod wodą, dzięki zamknięciu udało się odtworzyć warunki z Ziemi. Mamy taki sam skład powietrza, stamtąd pochodzą drzewa owocowe, truskawki, kury, fasola. Wiemy, że część wodorostów i ryb jest dla nas bezpieczna, ale dopiero gdy je przetworzymy. Jak by było na powierzchni? Nie mamy pojęcia.

-- I nigdy się nie dowiemy -- dokończył smutnym głosem Stan.

-- Przykro mi, chłopaki. Wiem, że powinnam być wszystkowiedzącą, zimną inżynierką, która zawsze wie, co robi, ale mnie też to boli. Patrę czasami na tę przestrzeń -- wskazała na ekran -- i myślę, że to jest nasze miejsce, a nie te korytarze i bąble, gdzie zawsze musimy żyć w strachu. A potem wracam do żony, do Elka, wcześniej do Alicji i myślę, że w tych korytarzach potrafię być bardzo szczęśliwa. Bo musicie wiedzieć... -- Zawahała się. Patrzyliśmy pytająco. -- Są różne kolonie i tę, którą wszystkie inne nazywają "dziecięcą", uważa się za najprzyjemniejszą ze wszystkich. Pozostałe nie są tak przyjemne, wierzcie mi.



## Rozdział 13. O oxy

W tamtą stronę szliśmy podnieceni i nakręceni jak małe pszczołki, ale teraz wracaliśmy niemalże ze łzami w oczach, przynajmniej ja. Z wielu różnych powodów. Przede wszystkim rozlała mi się jakoś tak lepko i nieprzyjemnie po sercu informacja, że nie ma innego świata niż bąble i korytarze między bąblami. Wiem, głupie, ale po tym, co powiedziała Alicja, o czym potem myślał Stan, miałem nadzieję, że kolonia jest tylko jakimś okresem przejściowym, że potem jest COŚ. Może właśnie dno nad powierzchnią, czyli ład, a może po prostu coś innego niż korytarze, śluzy i bąble. Zmiana. Przygoda. Zwrot akcji.

Wygląda na to, że nic z tego. Szkoda. A jeśli wierzyć mamie Lizie, jeszcze będę tęsknił za tym, co mam tutaj, bo coś takiego brzmiało w jej głosie, kiedy mówiła o innych koloniach, że poczułem nieprzyjemny dreszcz, kto wie, może nawet strach. Tak, wiem, "nie wierz nikomu, to wszystko to ściema". Ale przecież nie mógł być ściemą widok z kamery unoszącej się nad kolonią -- widziałem taki sam na własne oczy -- a zatem prawdziwa musiała być też żywa i groźna powierzchnia oceanu, a nade wszystko onieśmielająca pustka. Wszędzie, aż po kraniec świata. Śmieszne, zawsze chciałem mieć wolność, zobaczyć miejsce, gdzie wzrok się nie zatrzymuje, a kiedy w końcu mi takie pokazano, poczułem rozczarowanie.

Było mi też smutno, ponieważ nasza wizyta w maszynowni nie trwała długo i w ogóle nie mogliśmy ze Stanem pogadać sam na sam. Do końca miałem nadzieję, że pozwolą nam jeszcze chwilę zostać, żeby porozmawiać choćby w ich towarzystwie, zanim będziemy musieli za-

milknąć na wieki, ale szybko wypchnięto nas za służę. Stanowi jeszcze na odchodnym udało się wyprosić, żeby w ramach nagrody za moje nadzwyczajne bohaterstwo pozwolono nam ćwiczyć samym w oxy, żeby lepiej się przygotować do zawodów międzysektorowych. Mama się skrzywiła, ale Łysy ją przekonał, że to tylko na kilka tygodni, że Stan jest mądry i odpowiedzialny i że chyba mogą nam zaufać. Spokojnie, nie zaczniście sobie wyobrazać, jacy to inżynierowie są dobrzy i życzliwi, Łysy uwielbiał oxy, a ponieważ mieszkał w naszym sektorze, to sami rozumiecie -- perspektywa dodatkowych treningów dla jego drużyny wydawała się dobrym pomysłem.

Zgodzili się, zawsze coś.

Nie mieliśmy jednak okazji skorzystać z tego przywileju. Po opuszczeniu korytarzy serwisowych musieliśmy od razu wrócić do domów, bo następnego dnia od rana szkoła, a zaraz po niej sparing generalny w oxy. Sparing różnił się od treningów, które czasami miały charakter meczów, a czasami nie. Zwykle mieliśmy małą publiczność, składającą się z członków rodzin i osób zaproszonych przez trenera. Sparingi robiły za nieoficjalne kwalifikacje, w czasie których dzieciaki z jednego sektora walczyły o to, kto będzie reprezentantem w czasie mistrzostw.

Ech.

Śmieszne, że wy to czytacie tak przez cały czas i możecie myśleć, że ja też tak pisałem, po prostu usiadłem i napisałem. A teraz na przykład tylko patrzę w kartkę, słowa mi w ogóle nie przychodzą do głowy, a za chwilę zgaszą światła. Dlaczego mi nie idzie? Trochę dlatego, że jak wracam do tego dnia, to wraca też to uczucie, kiedy się we mnie zakorzeniło rozczarowanie. Że nic mnie nie czeka, że będę sobie żył i żył, i w tym życiu tylko przechodził z jednego bąbla do drugiego, od służy do służy, od metalowej ściany do metalowej ściany, aż do śmierci za-

mknięty, zawsze z jakimś ograniczeniem na wyciągnięcie ręki. Jasne, słyszę, jak mnie pocieszacie, sam siebie też potrafię pocieszyć, że w każdym miejscu można się śmiać, być szczęśliwym, zakochanym, znajdować nowych przyjaciół. Tylko że to jest takie myślenie w głowie i nie potrafi zmienić tego, że w brzuchu ma się coś ciężkiego i smutnego, co ciągnie w dół, a wesołe myśli od razu pożera.

Tak miałem tamtego dnia, a jak jeszcze pomyślę, o czym będę musiał napisać za chwilę... Chciałbym żyć tylko tu i teraz, bez tych wspomnień, bez wyobrażania sobie przyszłości. Tylko ta chwila. Czy Faustyna tak ma? I zwierzęta w ogóle? Przecież my też jesteśmy zwierzętami, w takim razie dlaczego tego nie potrafimy? Dlaczego wszystko to mamy w głowie, co się zdarzyło i co może się przydarzyć?

No nieważne, może po prostu przy okazji sparingu wam opowiem, o co dokładnie chodziło w oxy. Bo jednak, jak się dowiedziałem, że w innych koloniach nie grają, to był trochę szok. Co tam robią te biedne dzieciaki? Mniejsza o to, u nas to wyglądało tak, że sfera do oxy od początku różniła się od reszty kolonii. Najpierw śluza drugiego stopnia bezpieczeństwa, z korytarza do standardowego bąbla, który nazywano kaplicą, gdzie mieliśmy szatnię, prysznic i małą jadalnię, bo bywało, że na treningach siedzieliśmy przez cały dzień i szkoda było czasu na śluzowanie (w drugim stopniu trwało to wieki przez podwójny test szczelności i wymagało obecności dorosłego) i wychodzenie na zewnątrz. W tym bąblu mieściło się kilkanaście osób, ale tego dnia była nas tylko siódemka: dwie trzyosobowe drużyny i Filo, czyli nasz trener. Siedzieliśmy ubrani w pianki, dziewczyny w jaskrawopomarańczowe, a my w jaskrawozielone i grzecznie słuchaliśmy. Aha, to nie jest tak, że drużyny mogły być damskie albo męskie, akurat tak się złożyło.



-- Słuchajcie uważnie -- mówił Filo do wszystkich, ale patrzył tylko na mnie, jakby sprawdzał, czy rozumiem. -- Dzisiaj gramy tak, jakby to był normalny mecz o punkty, a nie trening. Wszystkie kwinty, sędziowanie na poważnie, jest też trochę publiczności na górze i na dole. Gracie najlepiej, jak potraficie, ale nie przeginacie, żadnej brawury.

Nie mogłem wytrzymać tego wzroku, poza tym Filo opowiadał jakieś bzdety, zamiast nam dać konkretne trenerskie rady, więc trochę odpłynąłem myślami, zagapiłem się za bulaj, za którym akurat ktoś przepłynął, pewnie nasza publiczność. Dopiero po chwili zorientowałem się, że siedzę w absolutnej ciszy i wszyscy patrzą na mnie.

-- Powtarzam: żadnej brawury. Rozumiesz, Leonardzie?

Westchnąłem ciężko.

-- Westchnij jeszcze raz i do przeprowadzki nie wpuszczą cię nawet do tego sektora.

-- Tak, rozumiem, panie trenerze -- odpowiedziałem, bardzo starając się nie wzdychać. Co nie było jakieś superproste.

-- Doskonale. Żadnej brawury, żadnych kontuzji, żadnej agresji. Gracie czysto. Nie chcę nikogo stracić przed rozgrywkami, wystarczy, że Stan odchodzi w połowie mistrzostw. Nie chcę też zamieszania, jeśli dziś ktoś zrobi z siebie wariata... -- Zawiesił głos.

-- Rozumiem, panie trenerze -- wtrąciłem grzecznie, bez żadnych westchnień.

-- ...jeśli dziś ktoś zrobi z siebie wariata, to wszyscy jeszcze bardziej poczują się trenerami i będą za mną łączyć z "dobrymi radami". A jaki jest mój stosunek do "dobrych rad"?

-- Negatywny, panie trenerze -- odpowiedzieliśmy chórem.

-- Ująłbym to inaczej, ale wersja dla dziesięciolatków też jest okej. Do wody, dziewczyny, i wy też do wody, cholerne głąby.

Cóż było robić, poszliśmy do wody. Z kaplicy przez obrotowe drzwi wchodziło się do akwarium, czyli pomieszczenia nad sferą. Akwarium miało szklane dno, przez które można było obserwować rozgrywki, a pośrodku dna studnię, przez którą wskakiwało się do sfery. Ciśnienie w akwarium zmieniało się w taki sposób, żeby woda nie wlewała się do środka, i to dawało naprawdę magiczny efekt. Za dużymi bulajami w ścianach i na suficie wszędzie była woda, pływały ryby, migotało światło, a pośrodku szklanej podłogi ziała okrągła dziura wielkości stołu, w której wesoło pluskała woda.

Właśnie przez studnię zawodnicy wskakiwali do sfery. Toteż i my skinęliśmy na powitanie głową kilkunastu osobom zgromadzonym w akwarium, żeby obserwować mecz, wzięliśmy ze ściany tlen i jeża, założyliśmy maski i wskoczyliśmy do wody.

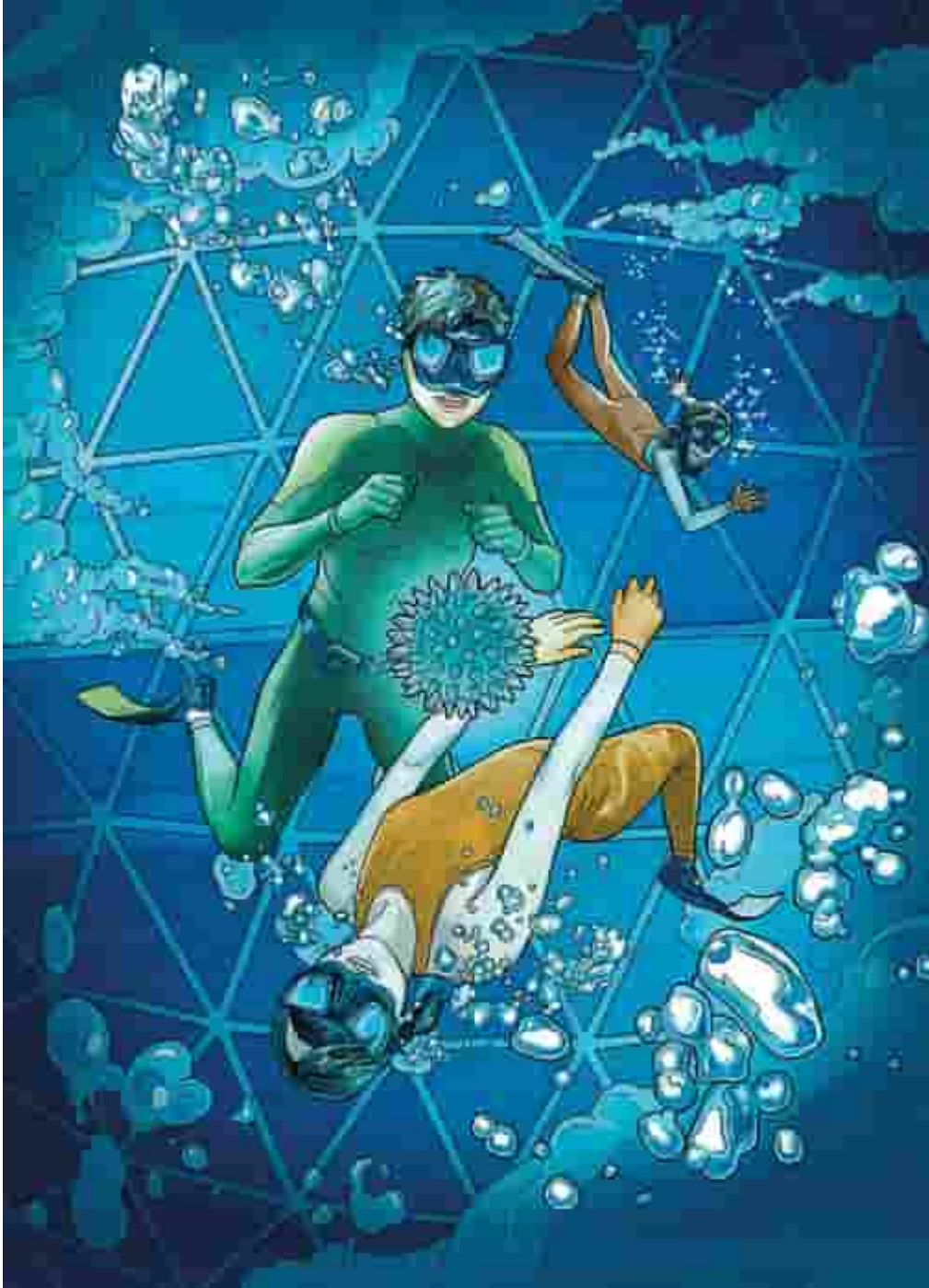
Uwielbiam ten moment. Serio. Pierwsze zetknięcie z wodą to takie uczucie, jakbym się witał z kimś, kogo bardzo lubię i kto bierze mnie w objęcia i przytula, ale nie tak na spokojnie jak mamy i nie tak na ekscytująco jak dziewczyna (żadnej nie przytulałem, ale wyobrażam sobie), tylko jakbym całym ciałem przybił piątkę z superprzyjacielem. No cześć, stary, ale ekstra, że się widzimy, zrobmy razem coś fajnego. Zawsze na początku zamykam oczy i robię fikołka, żeby poczuć ten stan, kiedy nie wiadomo, gdzie dół, gdzie góra, jakbym był zawieszony w nicości, jakbym był wolny, jakbym mógł popłynąć, gdzie tylko chcę.

No, ale jestem w klatce, wiadomo.

Oxy, tak jest, pamiętam, miały być zasady. Do sfery wskakują dwie trzyosobowe drużyny, każda w jaskrawych piankach, żeby łatwo było rozpoznać w wodzie, kto jest kim. Publiczność albo patrzy z góry przez podłogę akwarium, albo pływa wokół siatki sfery, albo ogląda starcie na ekranach w kolonii. O co chodzi? O zwycięstwo, proste. A jak zwy-

ciężać? Ha, ile osób w kolonii, tyle pomysłów. Punkty zdobywamy, jeśli uderzymy jeżem w płytę przeciwnika. Płyty są metalowymi okręgami o średnicy metra ulokowanymi po przeciwnych końcach sfery, a jeż to niewielka świecąca kula z miękkimi wypustkami dookoła. Ma tę właściwość, że ani nie opada na dno, ani nie unosi się do góry, lecz wisi w wodzie tam, gdzie się zatrzyma. Trzeba złapać jeża i od razu podać innemu zawodnikowi, jeśli za długo go przetrzymujemy, to zmienia kolor i musimy go puścić.

Myślicie, że to proste? Pomyślcie jeszcze raz. Po pierwsze: wszystko dzieje się w trzech wymiarach, w wodzie, w zamieszaniu, w walce o jeża, w bąbelkach powietrza nie jest łatwo znaleźć właściwy kierunek. Po drugie: przez opór wody trudno jest rzucić jeżem daleko, więc wyścig do bramki to misterny taniec, trzeba być na tyle blisko kogoś z drużyny, żeby dorzucił, ale na tyle daleko, żeby to miało sens, i w takim miejscu, żeby jeża nie przejął ktoś z drużyny przeciwnej. No i po trzecie i najważniejsze: nasze kochane oxy, czyli tlen.



Każde z nas ma standardową awaryjną butlę z tlenem do oddychania. Teoretycznie aż nadto na piętnastominutową kwintę. Gdybyśmy leniwie pływali i podziwiali widoki. Ale my rzucamy się przez cały kwadrans w tej wodzie jak delfiny rażone prądem. Możecie wzruszyć ramionami i powiedzieć: na styk, ale ciągle spoko. I mielibyście rację.

Tyle tylko, że używamy tlenu nie tylko do oddychania. Możemy wciśnąć w wodzie spust ustnika, żeby zrobić zasłonę z bąbelków albo żeby dodać sobie prędkości i zyskać w kluczowym momencie pół metra, które pozwoli zdobyć punkty albo uciec przeciwnikom.

Teraz pewnie myślicie: okej, ale co, jeśli przeszarżujemy i zabraknie nam powietrza do oddychania? Odpowiadam: nie umieramy. Do siatki sfery przyłączone są dodatkowe butle, jednak jeżeli ich użyjemy -- kwinta automatycznie kończy się wygraną przeciwnika. A jako że gra się do trzech wygranych kwint, to już sami rozumiecie. Raczej unikamy tej przykrew sytuacji.

Kwinta zaczynała się od tego, że całą drużyną trzymaliśmy się siatki przy swojej płycie i mogliśmy oddychać tym dodatkowym powietrzem przyłączonym do siatki. Sędzia wrzucał do środka jeża -- napinaliśmy wtedy mięśnie jak postronki i oddychaliśmy głęboko, żeby naładować ciało tlenem -- a kiedy jeż zaczynał błyskać białym światłem, wypluwaaliśmy ustniki, odbijaliśmy się od siatki i płynęliśmy jak wariaci, gotowi na kwadrans walki.

Teraz jednak zaczęliśmy inaczej. Ja i Pepe zostaliśmy przy płycie, a Stan popędził do jeża. Z Virgilią nie miał żadnych szans, śmignęła jak pomarańczowy pocisk, złapała jeża, kiedy Stanowi brakowało jeszcze dwóch metrów, podała do Suzie i popłynęła w dół, wypuszczając z płuc zasłonę bąbelków. Klasyczny, przewidywalny, ale dość skuteczny manewr. Znowu podanie, odbiór, nikt im nie przeszkadzał, ponieważ Stan, zamiast rzucić się w pościg, został w centrum sfery. Taki był plan, miałem swoje wątpliwości, no ale kazali czekać, to czekałem. Patrzyłem, jak Pepe rzuca się w stronę dwóch atakujących dziewczyn i jak zgodnie z planem nie udaje mu się przechwycić jeża. Musiały zrobić jeszcze jedno podanie przed próbą strzelenia gola -- i wtedy wkroczy-

łem ja. Sztachnąłem się tlenem, naprężyłem wszystkie mięśnie i odepchnąłem z całej siły od prętów sfery, a wtedy nie tyle popłynąłem, co poleciałem między dziewczyny. Nie chcę się chwalić, ale moment wyliczyłem idealnie. Machałem płetwami, płynąłem jak wariat, nie mam może takiej wytrzymałości jak Pepe, ale na krótkich dystansach jestem nie do pokonania. Miałem prędkość, mogłem się rzucić w każdą stronę. Czego Virgilia by nie zrobiła -- jeź musiał być mój. Ja to wiedziałem, ona to wiedziała, równie dobrze mogłaby mi go po prostu podać. Mój świat skurczył się tylko do ciała, do dotyku wody i do widoku Virgillii, jej opięta jaskrawą pianką smukła sylwetka naprężyła się rytmicznie, widziałem, jak szykuje się do rzucenia jeżem, już tylko jedną długość ciała ode mnie, trochę mnie zatkało, bo jej kształt, jej ruch, jej krótki czarny kucyk -- wszystko to wyglądało dość spektakularnie. Jeź zmienił kolor, a Virgilia z całej siły miotnęła nim do góry.

Prawie parsknąłem śmiechem, tak to było rozpacзлиwe. Wygiąłem się w łuk, machnąłem obiema nogami i wpadłem w chmurę bąbelków rozpylonych przez Suzie. Spodziewałem się tego gestu ostatniej szansy. Bezsensowne marnowanie powietrza. Na tym etapie powinny się po prostu pogodzić z utratą punktu. Wiadomo, że zgarnę jeża, podam do Pepe, on do Stana, chłopaki dwójkowo rozegrają Rebeke na obronie i tyle. Nawet więc nie mrugnąłem, przeleciałem przez chmurę i... cóż. I zabrzmiały mi w głowie słowa Fila, że "nawet nie o to chodzi, żebyście mieli oczy dookoła głowy, to każdy potrafi, macie mieć oczy w łokciach, kolanach i jeszcze trzy pary w dupie, bo to jest oxy, tutaj każdy kombinuje, jak was zaskoczyć z najmniej oczekiwanej strony".

Cóż, nawet jeśli miałem oczy i w łokciach, i w dupie, to i tak wszystkie pary były skierowane na Virgilię. Nie mam pojęcia, jak Beka to zrobiła, pewnie górą, kiedy zrobiło się ciemniej, inaczej zobaczyłbym cień.

No nieważne, w każdym razie była tam i mogłem jej co najwyżej pomóc. Jedno podanie, drugie, płyta, pomarańczowy błysk świateł na siatce oznajmił, że dziewczyny zdobyły punkt i wracamy na pozycję, gdzie zaczniemy z jeżem od swojej płyty. Nie mogłem, niestety, nie patrzeć na chłopaków, bo Stan musiał nam pokazać, jaką sztuczkę planujemy teraz. No i zobaczyłem w ich oczach wszystko, co usłyszę na przerwie. Że dałem się rozegrać jak dzieciak, że jak mi się tak podobają dziewczyny, to może wezmę udział w zawodach w pisaniu miłosnych listów i tak dalej, i tym podobne.

A wiecie, co jest najlepsze? Doskonale widziałem cień Beki, przemykającej w tle za sprytnie wypuszczanymi przez Suzie bąbelkami, bo od początku było podejrzane, dlaczego tak dużo oddycha. Tylko uznałem, że pozwolę wyjść Virgilio na królową taktyki, która mnie wykiwała, bezwzględnie wykorzystując, że mi się podoba. Bo pomysł, żeby została naszą kapitaną i żebyśmy razem wygrali mistrzostwa, to naprawdę nie był zły pomysł.

Teraz już wiecie, na czym polega oxy.





## Rozdział 14. O samodzielnym treningu

Mecz z dziewczynami przegraliśmy trzy do dwóch, po zajadłej walce, w której paradoksalnie to my wygraliśmy pierwszą kwintę mimo mojego nieszczęsnego startu. Beka zużyła za dużo tlenu w czasie swojego błyskawicznego rajdu po punkt i choć wygrywały dwoma punktami, musiała użyć butli na siatce, no i tyle im przyszło z szarżowania. Potem one w dwóch kwintach nas raczej rozniosły, napędzane najpewniej złością, w czwartej się odbiliśmy -- z trudem -- i w piątej spokojnie nas rozklepały, co w sumie było dość sprawiedliwe, zdecydowanie ten dzień nie należał do nas. Czemu? Muszę szczerze przyznać, że moje ciało pływało sobie w sferze w najlepsze, ale głowa kompletnie nie. Myśli cały czas uciekały do spotkania z Alicją, do afery przy reaktorze, w końcu do wizyty ze Stanem w maszynowni. Im bardziej uświadamiałem sobie, że nie mogę z nikim o tym pogadać, tym bardziej mi te myśli ciążyły. Ech, ile ja bym dał za tamte ciężkie myśli, które teraz wydają mi się takie beztroskie. Ale nie wyprzedzajmy faktów.

Dwa dni po przegranym z honorem sparingu po raz pierwszy poszliśmy wieczorem na samodzielny trening, obiecany nam przez inżynierów jako podziękowanie za bohaterskie ocalenie cywilizacji przed zagładą przez pewnego chłopca, który śmiał się śmierci w twarz, ha, ha, ha! Szedłem pod służę sfery i trochę nie wierzyłem, że to się uda, że nas zostawią samych bez żadnego dorosłego, niezależnie od wdzięczności za bohaterstwo i od wiary w odpowiedzialność Stana. Swoją drogą po jego ostatniej zabawie z zaworami w korytarzu wątpiłem nie tylko w jego odpowiedzialność, lecz także w zdrowe zmysły.

Intuicja mnie nie zwodziła. Pod śluzą czekali Stan, Pepe i tata Pepe z książką pod pachą. Wyglądał na równie, mówiąc delikatnie, niezachwyconego jak i my.

-- Tak, chłopcy, widzę wasze miny. Wiem, że wam obiecali samotne treningi, i daję słowo, że będą samotne. Wy macie godzinę, żeby robić, co chcecie, ja siedzę w akwarium, czytam i reaguję tylko wtedy, jeśli zobaczę chmurę krwi pod sobą. Jasne?

-- Jasne -- odpowiedział Stan z zaskakująco szczerym entuzjazmem. -- To wspaniała wiadomość, bardzo dziękujemy.

Spojrzałem na niego jak na kretyna. Tata Pepe też zdębiał.

-- Ty sobie ze mnie kpisz, chłopcze?

-- Kompletnie nie. Pływanie samemu jest wspaniałe, ale jak myślałem, że poza tym mamy być zdani tylko na siebie ze śluzowaniem, z akwarium, z otwartą na morze sferą, to trochę też czułem lęk.

Uznałem, że Stan coś kombinuje, więc poważnie pokiwałem głową, co musiało wyjść na tyle nieszczerze, że tata Pepe zaczął świdrować mnie wzrokiem.

-- Zgadzasz się z tym, Elek?

Uznałem, że nie mogę przesadzać ze stylizacją.

-- Ja nie wiem, co to strach, proszę pana -- wyznałem, wzruszając ramionami. -- Ale skoro chłopaki potrzebują niani, to ja się cieszę ich szczęściem. I jak pan robi kanapki, to obiecuję, że ja też zjem bez.

-- Bez czego?

-- Bez wybrzydzenia, bez zwłoki i bez warzyw.

Otworzył usta, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć, ale tylko przewrócił oczami i machnął ręką, żebyśmy weszli za nim do śluzy. Co też zrobiliśmy, czekając w milczeniu, aż drzwi na korytarz się zamkną

i otworzą te do kaplicy. Tata Pepe powiedział, że on idzie się usadowić w akwarium, a my mamy godzinę, i że ciach bajera.

I wyszedł.

Przez chwilę było tak dziwnie, że nie wiedzieliśmy, co powiedzieć. Pepe wyszeptał "kura przez w" i rozejrzał się podejrzliwie. Ale nic się nie wydarzyło. Powiedział to samo głośniej. Ciągle nic. I wtedy oszaleliśmy. Zaczęliśmy wykrzykiwać nie tylko "kura przez w", ale wszystkie najgorsze, najbrzydsze słowa, jakie tylko znaleźliśmy. Łączyliśmy je ze sobą w zdania, w dziwne frazy, byle tylko było brzydziej, wulgarniej i niegrzeczniej. Na początku trwożliwie rozglądaliśmy się na boki, ale z każdą chwilą, kiedy było jasne, że nikt nie wpada, żeby nas ochrzanić i ukarać, z każdym przekleństwem wywrzaskiwaliśmy radość i szczęście. Łzy popłynęły mi z oczu, kiedy zdałem sobie sprawę, że po raz pierwszy w życiu nie słucha mnie żaden dorosły, po raz pierwszy w życiu mogłem myśleć o tym, co JA chcę powiedzieć, a nie o tym, co KTOŚ może usłyszeć. Nie sądziłem, że wolność to tak wspaniałe, obezwładniające uczucie. Po raz pierwszy zrozumiałem, że w końcu znam odpowiedź na to nudne pytanie, w kółko zadawane przez dorosłych: a ty kim chcesz zostać, jak dorośniesz, no, powiedz.

Chcę być wolny.

Po prostu.

Chcę być wolny.

Tak, wiem, na pewno podglądały nas jakieś kamery i podsłuchiwały jakieś mikrofony, i tak naprawdę nie mogłem powiedzieć nic ważnego, ale nie psujcie tej chwili, dobra?

-- Serio mamy godzinę? -- zapytał Pepe. -- Może po prostu tutaj siedźmy, gadajmy i nie róbmy nic.

Stan zaprzeczył ruchem głowy.

-- To będzie wtedy nasz pierwszy i ostatni samodzielny trening. Szkoda by było, co nie? Zakładajcie pianki i lecimy do wody, dopóki jesteście jeszcze przez chwilę jedną drużyną.

Pepe zrobił zdziwioną minę.

-- Jak przez chwilę? Przeprowadzkę masz dopiero za pół roku.

-- Wiem, ale nie ma żadnego sensu, żebyśmy zaczynali rozgrywki w tym składzie. Virgilia musi mnie zastąpić jak najszybciej.

Pepe parsknął śmiechem, ja nie. Rozumiałem myślenie Stana.

-- To jedyny logiczny wybór. Świetnie pływa, nieźle kombinuje, dobrze się znamy dzięki wspólnym treningom. Elek będzie przy niej dawał z siebie trzysta procent, żeby pokazać, jaki jest wspaniały, ty będziesz dawał trzysta, żeby nie być gorszy od dziewczyny, trzeba was zgrać i mistrzostwo jest w zasięgu ręki.

-- I kto niby miałby być kapitanem w takiej drużynie?

-- Oczywiście, że ona.

Teraz razem się roześmialiśmy. W ogóle Virgilia tak, ale Virgilia kapitanka to już majaki szaleńca. To jednak NASZA drużyna. Stan tylko wzruszył ramionami.

-- Logiczny wybór. Udowodnię wam. Kto inny miałby być kapitanem?

-- Ja! -- krzyknęliśmy z Pepe jednocześnie.

-- Udowodnione. Zamiast współpracować, byście się żarli bez końca o to, który bardziej zasługuje na dowodzenie, a tak to problem rozwiązany. Poza tym jest mądrzejsza od was, dobrze o tym wiecie. Do wody!

Poszliśmy. Pepe coś tam marudził, ja też dla niepoznaki, ale trudno było przestać myśleć o tym, czy to oznacza, że na tych niezwykłych samodzielnych treningach będziemy się spotykać z Virgilią.

Tata Pepe czytał i faktycznie nawet nie patrzył w naszą stronę, a my na zmianę siedzieliśmy na brzegu studni i słuchaliśmy pomysłów taktycznych Stana, a potem próbowaliśmy wcielić je w życie.

-- Gadałem z mamą o płucach -- mówił Stan o swojej mamie, która faktycznie była lekarką. -- Żeby spróbować jakoś rozkminić, ile mamy miejsca w płucach, ile powietrza zużywamy w czasie oddychania, ile mamy w butli i czy to można jakoś lepiej wykorzystać.

-- Bzdury -- zachnął się Pepe. -- Filo też o tym mówi, a koniec końców wszystko jest proste. Szybko zasuwasz, zużywasz dużo tlenu, wolno zasuwasz, zużywasz mało. I musisz wybrać, w jakim momencie kwinty zasuwasz. Ty myślisz, Stan, że jak zrobisz posępną minę, podumasz, pogapisz się w sufit i zrobisz tabelkę, to świat się zmieni.

Stan przewrócił oczami.

-- No faktycznie, nie jest mi obcy ten rewolucyjny koncept, że myślenie generalnie się przydaje.

-- Chyba że jesteś sportowcem i po prostu chcesz pierwszy dopłynąć do jeża. Wtedy się przydają siła i wytrzymałość.

-- Nie możesz być aż tak głupi.

-- Nie jestem głupi. Jestem prosty, szczęśliwy, przystojny, uwielbiany przez kobiety.

Tata Pepe westchnął zza swojej książki.

-- Trochę głuchy, ale tata mówi, że dzięki temu wszystkie moje związki będą szczęśliwe. Prawda, tato?

Tata Pepe westchnął tak głośno i tak ciężko, że woda w studni zafalowała.

-- No więc gadałem z mamą o płucach -- wrócił do tematu Stan -- i wychodzi na to, że zwykle w czasie oddechu wciągamy do płuc niecałe pół litra powietrza. My nie oddychamy zwyczajnie, bo najpierw sta-

ramy się, jak powtarza Filo do znużenia, pozbyć całego powietrza z płuc, a potem wciągnąć, ile się da. Czyli chcemy się zbliżyć do naszej pojemności życiowej. Rozumiecie?

-- Przede wszystkim to się nudzicie i marnujecie czas -- mruknął Pepe. -- Ale rozumiecie też.

-- Ta pojemność życiowa to nie jest aż tak dużo, w naszym wypadku dwa litry. Wyobraźcie sobie, że półtora litra to największy oddech, jaki możecie wziąć, dwa litry to maks, jeśli wcześniej zrobiliście największy wydech, a zwykle takie czterysta mililitrów, czyli dwie szklanki, wystarczą do normalnego oddychania.

Też już miałem tego dość.

-- Człowieku, powiesz w końcu, o co chodzi, czy nie?

-- O to -- powiedział i podsunął mi dłoń pod nos tak gwałtownie, że prawie się przewróciłem, przekonany, że chce mnie uderzyć.

-- Odbiło ci kompletnie?

-- Spójrz na moją dłoń.

-- Człowieku, wkurzasz mnie.

-- Patrz! -- Najpierw głęboko rozczapierzył palce, a potem je zakrzywił jak szpony Faustyny.

Aha, musicie wiedzieć, że nasze pianki są połączone w jedno z rękawiczkami i te rękawiczki mają elastyczne błony między palcami. Wszystko po to, żeby móc zarówno wygodnie złapać jeża, jak i pływać jak najszybciej. Czyli teraz dłoń Stana wyglądała jak kubek odwrócony do góry dnem.

-- Rozumiecie? Teraz w mojej dłoni mieści się -- zaczerpnął wody ze studni -- jakieś sto pięćdziesiąt mililitrów. Tak myślę, że gdybyśmy próbowali za każdym razem, kiedy ktoś robi chmurę albo używa dopalacza, złapać trochę tych bąbelków w dłonie, to przez kwintę spokojnie

moglibyśmy złowić z litr, półtora. A to już jeden głęboki oddech. A jeden głęboki oddech to mogą być dwie minuty bez naszego tlenu. Dziesięć sekund używania dopalacza. Wystarczy na przelecenie przez pół sfery, wystarczy na punkt.

Pomyślałem, że to całkiem ciekawe. Pepe prychnął.

-- Jesteś nienormalny. To sport, liczą się szybkość, siła, refleks. A nie łapanie bąbelków między paluszki, węź.

Stan wyglądał na urażonego.

-- Spróbujmy, co ci zależy? Sprawdźmy chociaż, ile uwalniamy powietrza przy dopalaczu, sprawdzmy, ile możemy złapać. Patrzcie na ten niezwykle mechanizm, który specjalnie przygotowałem, i niech obudzi się w was duch naukowej przygody.

Po czym wyciągnął i rozprostował kawałek zwykłej pogniecionej folii. Spojrzeliśmy z Pepe po sobie znacząco, nasz przyjaciel niestety kompletnie odleciał. Cóż, wszyscy mamy gorsze dni.

Nie wiem, ile w tym było nauki, ale przy łapaniu bąbelków przypomnieliśmy sobie, że totalnie jesteśmy dziećmi. Zużyliśmy kilka butli, przez co sfera wyglądała, jakby była wypełniona wodą gazowaną. Próbowaliśmy te bąbelki łapać w usta, łapać w ręce, zrobiła się z tego tak dzika zabawa, że jakoś specjalnie nie wierzę w naukową wartość tego eksperymentu. Ale ufam Stanowi. Dziwny jest to przypadek człowieka, który w ciele niezbyt ładnego dziecka ma zamknięty bardzo piękny i dość dorosły mózg.

Nasza godzina dobiegała końca, robiło się też ciemno -- niby paliły się światła na siatce, ale one nigdy nie rozświetlały wody tak dobrze jak dzień. Stan gestami wysłał Pepe na górę, żeby podłączył wszystkie zużyte butle do ładowania i przyniósł nowe. My zostaliśmy sami, spłynąłem za Stanem na samo dno sfery, wtedy wyciągnął swoją foliową

płachtę, złapał za dwa rogi, mnie kazał chwycić za drugie dwa -- nie miałem pojęcia, o co chodzi -- i puścił od spodu tyle tlenu, żeby pod wybrzuszoną płachtą zebrał się bąbel powietrza.

Wtedy zrozumiałem! Stan wymyślił sposób na to, żeby porozmawiać, a cała reszta, poczynając od samego pomysłu z samodzielnymi treningami, a kończąc na durnych wykładach o pojemności życiowej płuc, miała służyć temu jednemu momentowi. Ja cię, normalnie, jak będę duży, to chcę być taki mądry jak Stan.

Za trzecim razem udało nam się tak zrobić, żeby włożyć głowy pod folię, nie wypuszczając stamtąd powietrza. Nie wyobrażajcie sobie, że trzymaliśmy głowy w wielkim bąblu powietrza, raczej to miało wielkość miski. Przyciskaliśmy do siebie boleśnie policzki, walcząc o to, żeby mieć jednocześnie nad wodą usta i ucho. Jasne było, że możemy powiedzieć tylko kilka zdań.

-- Alicja mówi, że to wszystko ściema i że musimy stąd uciec -- wykrztusiłem.

-- Wiem -- powiedział Stan. -- Pomyśl o zaworach w korytarzu i o naświetlarni.

-- Co?

-- Nie było naświetlarni.

-- Co?! -- Ni cholery nie rozumiałem.

Stan próbował coś powiedzieć, ale woda naląła mu się do ust i tylko zabulgotał.

-- Uważajmy -- powiedziałem. -- Alicja mówi, że wszędzie słuchają.

-- Wiem -- wyprychał.

-- Licz słowa! -- krzyknąłem i chciałem wyjaśnić Stanowi szyfr, którym porozumiewaliśmy się z Alicją, ale wtedy cały bąbel powietrza uciekł spod folii.



Gestem spytałem, czy chcemy spróbować jeszcze raz, ale Stan pokręcił przecząco głową i wskazał na górę. Spojrzałem, Pepe płynął do nas szybko i jednostajnie jak maszyna, jak to Pepe. Pomyślałem wtedy z goryczą, że co to jest za świat w ogóle, że trzeba się kilka dni przygotowywać, żeby wykrztusić kilka słów bez kontroli. Co to za świat, że nie można ufać najbliższemu przyjacielowi.

Na pewno nie taki, w którym mogę być wolny.

## Rozdział 15. O myśleniu na terapii

Następnego dnia miałem terapię, więc przez cały dzień byłem nie do życia, ale przynajmniej mogłem sobie pomyśleć na spokojnie, kiedy mi filtrowali krew, mniejsza o szczegóły. Nie chcę się tutaj skarżyć, że jestem chory czy coś, bo zaraz mnie zaczniecie żałować, ojej, biedny Elek, a to nie o to w tym wszystkim chodzi. Miałem czas pomyśleć i tyle.

Dość jasne jest, o czym myślałem, prawda? O zaworach i naświetlarni, tak jak kazał Stan. I czułem się potwornie głupi, bo nie miałem pojęcia, o co chodzi. Mieszkaliśmy w podwodnej kolonii, wszędzie były jakieś zawory, nanometry, rury, węże hydrauliczne. Tłuczono nam do łbów od małego, że ze względów bezpieczeństwa wszystko musi być na wierzchu, żeby natychmiast było widać awarię i żeby w każdej chwili inżynierowie mieli dostęp do każdego elementu instalacji. Chciałbym się czepiać, ale akurat w tym wypadku brzmiało to logicznie. W każdym pomieszczeniu, w każdej śluzie i w regularnych odstępach na korytarzach znajdowały się czarne panele alarmowe z dwoma przyciskami: żółtym i czerwonym. Żółty trzeba było wcisnąć w wypadku zauważenia awarii, czerwony w wypadku niebezpieczeństwa. W pierwszych *Uzbach* było napisane, że jeśli nie mamy pewności, czy to na pewno awaria -- wciskamy żółty. Jeśli nie mamy pewności, czy to aby już niebezpieczeństwo -- wciskamy czerwony. Nie było żadnych kar za przesadną ostrożność, bo w kolonii wychodziliśmy z założenia, że lepiej pofatygować niepotrzebnie inżyniera, niż narazić wszystkich na zagładę.

A w dodatku aż nazbyt często uświadamiano nam, czym jest zagłada. I to były jedne z najgorszych momentów. Regularnie puszczano nam filmy z zapisem śmierci ludzi, którzy utonęli. Bez ostrzeżenia, bez przygotowania, bo -- jak mówili -- śmierć przychodzi niezapowiedziana i naszym obowiązkiem jest myśleć o niej przez cały czas, żeby być przygotowanym. Kiedyś w ramach tego niezapowiedzenia puścili nam taki film w szkole trzy razy w ciągu tygodnia, jednego dnia dwa razy. Ja się porzygałem, bo nie mogłem już tego wytrzymać, wszyscy płakali, Beka zemdląła. Nie można było tego nie oglądać, co kilka sekund na filmie migwały litery, które musieliśmy zapisywać na kartce. Jeśli zrobiliśmy więcej niż dwa błędy, czekała nas najgorsza możliwa kara: obejrzenie jeszcze raz. Tak, dobrze się domyślcie, Beka, jak już ją ocucili, musiała zostać i obejrzeć jeszcze raz.

Nie wiem, skąd oni to brali, u nas wypadki zdarzały się rzadko, więc może z innych kolonii. Wtedy, kiedy się porzygałem, a Beka zemdląła, film pochodził ze służby, w której coś poszło nie tak, wskutek czego zginęła dziewczynka, miała z sześć lat, czarne długie włosy, matko, ja nawet nie mogę o tym pisać. Trzymała w rękach zabawkę, taką ośmiornicę, ścisnęła ją kurczowo. Kiedy w końcu zaczerpnęła wody do płuc, spazm bólu był tak silny, że rozerwała tę ośmiornicę na strzępy. Ale nawet nie to było najgorsze, tylko wyraz jej ciągle przytomnych oczu. Od momentu, kiedy odetchnęła wodą, do chwili, kiedy w końcu brak tlenu odebrał jej przytomność, minęło kilka długich sekund. Nie sądziłem, że można tak cierpieć. Nie sądziłem, że można tak bardzo dokładnie wyczytać ból tylko z wyrazu czyichś oczu.

Powietrzne istoty w wodnym świecie. Super. Co może pójść nie tak.

Nikt z nas nie chciał cierpieć jak ta dziewczynka. Strach przed utonięciem, strach przed sprowadzeniem tego cierpienia na innych stano-

wił podstawę naszych zachowań. Strach sprawiał, że akceptowaliśmy *Uzby*, wszechwładzę inżynierów, inwigilację, brak prywatności -- czymże w końcu były te ograniczenia w porównaniu z utratą życia?

Zawory.

Potrzebne, żeby wszystko działało, żeby było bezpiecznie; kochane zawory, słodziutkie, cacane, niuniu-niuniu. Co, do jasnej cholery, miałeś na myśli, Stan?

Tę sytuację sprzed kilku dni, kiedy Łysy poprawiał coś w korytarzu, ty potem zaczęłaś przestawiać wskaźniki, a ja i Pepe mało nie umarliśmy z przerażenia?

Hmm.

Czułem, że nie mogę przestać myśleć, ale jak zwykle kręciło mi się w głowie od terapii i spać mi się chciało tak, że oczy same się zamykały.

Zawory.

Wtedy, jak Trójka wyszedł z korytarza serwisowego i podszedł do panelu, wszystkim nam się ścisnęły żołądki. Awaria. Zagrożenie. Niebezpieczeństwo. Coś zaraz trzaśnie, syknie, poleje się woda, umrzemy w męczarniach. Kiedy poprzesztawiał wskaźniki i zniknął za ścianą, poczuliśmy ulgę. Że wiedza i nauka zwyciężyły nad chcącym nas zamordować żywiołem oceanu. A potem Stan, jak gdyby nigdy nic, poprzekręcał te kurki na chybił trafił.

I nic się nie stało. Mało tego, że nic się nie stało. Nic się nie zmieniło. Nie zaczęły wyc alarmy, migotać czerwone światła, śluzy nie opadały, inżynierowie nie wyskakiwali.

Dlaczego?

Odpływałem w chemiczny sen, po którym wcale nie obudzę się wypoczęty, tylko z bolącą głową i paskudnym smakiem w ustach, serio, nie cierpię tego; odpływałem, ale starałem się kminić do końca.

Czy to możliwe, że tak naprawdę te zawory to tylko dekoracja? Że niczemu nie służą? Rozbawiła mnie ta idiotyczna myśl, ale od razu przypomniałem sobie Alicję, która twierdziła, że wszystko to ściema. Czyżby Stan doszedł do tego samego wniosku i dlatego ostentacyjnie bawił się zakazanymi zabawkami inżynierów? W sumie rozumiem jego tok myślenia. Jeśli każda gałeczka na tablicy jest tak ważna, czemu to jest AŻ TAK wywalone na wierzch? Ktoś może przy tym majstrować z głupoty, z paniki, z ciekawości, ba, ktoś może przez przypadek się o nie oprzeć.

Załóżmy na chwilę, że te panele nie mają żadnego znaczenia. Po co w takim razie je zainstalowano i po co inżynierowie udają, że dzieje się tu jakieś wielkie naukowe bajabongo? Jedynym wytłumaczeniem, jakie przychodziło mi do głowy, było to, że chodzi o trzymanie mieszkańców kolonii w strachu i umacnianie władzy inżynierów. "Spójrzcie -- mówiła ta sytuacja -- gdybyśmy nie wiedzieli, gdzie i kiedy jaki guziczek nacisnąć, dawno byłoby po was, zeżarłby was niebezpieczny świat na śniadanie, chrup, chrup". Ale czy to znaczyło, że tak naprawdę świat nie jest aż tak niebezpieczny? Czy też, że wygląda zupełnie inaczej i że zawory nie są ot, taką sobie małą ściemką, żeby ludzie się pilnowali, tylko częścią jakiegoś dużego kłamstwa, na którym zbudowano kolonię?

I o co chodzi z naświetlarnią? Uznałem, że nic nie wymyślę, że tutaj to już Stan musi mi przekazać jakieś dodatkowe informacje, czy to znowu w sferze, czy to za pomocą jakiegoś szyfru, i że muszę z nim o tym następnego dnia pogadać.

I odpłynąłem. Wiedziałem, że przewiozą mnie z lecznicy do domu i obudzę się następnego dnia we własnym łóżku.

Na swoje wielkie nieszczęście. Wolałbym się wtedy nie obudzić. Se-  
rio.

## Rozdział 16. O tym dniu

Obudziłem się jednak. Zgodnie z przewidywaniami -- we własnym łóżku, niewyspany, skołowany, z językiem suchym jak kartka papieru i z takim smakiem w ustach, jakby ta kartka papieru była przez całą noc owinięta wokół kawałka gumy. Ale przynajmniej wróciło mi trochę energii, bo ostatnio już czułem, że bez terapii z dnia na dzień coraz bardziej bym się męczył, najpierw w oxy, potem od zwykłego życia, aż do momentu, kiedy dostawałbym zawrotów głowy od przejścia z łóżka do łazienki. Taka choroba, cóż poradzić, wszystkim tutaj nam coś dolegało, podobno to kwestia nieprzystosowania istot powietrznych do życia w zamkniętym podwodnym świecie. Ciągle któryś z dzieciaków znikał ze szkoły, bo mieliśmy terapię albo zabiegi. No nieważne, jak pisałem wcześniej, nie ma co się uzalać.

Poszedłem do szkoły. Na biologii stworzeń morskich całkiem ciekawie, na *Uzbach* nudno, na kreatywności w sumie też, bo w tym semestrze robiliśmy malowanie, a to bezsensowne mazanie nigdy mnie nie interesowało. Rzeźbienie w glinie lubiłem, coś z tego przynajmniej zostawało.

Czekałem na przerwę obiadową i prawie podskakiwałem z podniecenia, idąc do stołówki. Jest szansa, że jeśli przekażę Stanowi zasady działania szyfru Alicji i mojego, to zaraz się dowiem, o co mu chodziło z tą naświetlarnią. Miałem już sporo wymyślone, co powiem, że czasami mam wrażenie, że z nikim nie mogę się tutaj dogadać, i że wtedy tęsknię za siostrą, że tylko z nią mogłem się swobodnie komunikować. To powinno przykuć jego uwagę, bo przecież wtedy w sferze pod ka-

wałkiem folii udało mi się przekazać, co Alicja powiedziała, że to wszystko ściema. Potem miałem kilka sprytnych zdań o liczeniu, żeby zrozumiał, że w całym tym sposobie chodzi o liczenie słów. Serio, przygotowałem wersję dla debila, Stan złapie w mig, w czym rzecz, a ja między zupą i drugim będę wszystko wiedział o naświetlarni.

Stołówka to dość wyjątkowe miejsce w kolonii. Poza byciem stołówką pełni też funkcję sali widowiskowej, więc jest większa, taki mniej więcej potrójny standardowy bąbel. Najbardziej jednak różni się przeszklonymi śluzami. Do środka -- oczywiście ze względów bezpieczeństwa -- wpuszczali ograniczoną liczbę osób, więc żeby więcej z nas mogło oglądać występy na żywo, drzwi trzech śluz (z pięciu w sumie) składały się prawie wyłącznie z okien. Dzięki temu jeszcze kilkadziesiąt osób zgromadzonych w trzech korytarzach mogło podglądać, co się dzieje na scenie. Tłok, dźwięk z głośników, no ale i tak było to lepsze niż niewyraźne transmisje na małych domowych ekranach.

Trzy przeszklone śluzy prowadziły do szkolnych korytarzy i wpuszczali nas tam grupami na zmianę, tak żeby zawsze dwie pozostawały zamknięte. Względy bezpieczeństwa, wiadomo. Na wypadek gdy nagle z hukiem zawali się sufit i ocean wtargnie do środka, tylko jedne drzwi będą otwarte. Trochę to piszę z przekąsem, bo taka sytuacja nie wydarzyła się NIGDY, no, ale nawet ja przyznaję, że ma to sens.

Razem z klasą przeszliśmy śluzowanie, bardzo zresztą krótkie. W porównaniu z resztą kolonii, gdzie sporo elementów wyglądało na dość zdezelowane i trzymające się na drut i sznurek, cały segment szkolno-stołówkowy wydawał się nowszy i jakby szybciej i sprawniej działający.

Rozejrzałem się, Stana jeszcze nie było, chociaż jego klasa stała już w kolejce po jedzenie. Zerknąłem z ciekawości -- nie było źle, kotlet ja-



jeczny, fasolka, sałatka z glonów. Tak, wiem, złośliwcy, że jajka to dzieci Faustyny i że być może nie powinienem ich szamać z takim apetytem, ale nie przesadzajmy, dobra?

Ciekawe, gdzie się podział Stan.

Podszedłem do służby prowadzącej do części, gdzie mieściła się jego klasa. Za oknami żywego ducha. Westchnąłem, odwróciłem się, żeby spytać jego kumpli, gdzie się ten grubas podziewa, kiedy złowiłem ruch kątem oka. To Stan, cokolwiek zziąjany, wyszedł z jednej z klas, podbiegł do drzwi służby i wcisnął przycisk przywołania. Zrobiłem głupią minę i pomachałem mu, ale skrzywił się tylko lekko. Wyglądał na przestraszonego. Co się takiego stało, że został dłużej i nie służował razem z całą klasą? Cóż, zaraz się dowiem.

Do służby podszedł nasz pan od przyjaźni (to znaczy, oficjalnie nauczyciel relacji społecznych, ale tak często powtarzał nam o znaczeniu przyjaźni, że nazywaliśmy go panem od przyjaźni), przyłożył swoją kartę do czytnika i wydał odpowiednią komendę. Drzwi z naszej strony opadły z lekkim sykiem, ostrzegawczy sygnał cicho zapiszczał. Kiedy nasze drzwi dotknęły podłogi i szcęknęły blokujące zamki, podniosły się te od strony Stana. Były w połowie, kiedy pan od przyjaźni machnął Stanowi, żeby włąził do środka służby. Niby wbrew *Uzbom*, ale nikt nie chciał tracić bezcennego czasu przerwy obiadowej, nawet nauczyciele.

Stan schylił się i wszedł, pan zmusił zewnętrzne drzwi, żeby się zamknęły. Chrupnęło coś i zgrzytnęło dość dziwnie i nieprzyjemnie, Stan podskoczył, przestraszony, ja też się wzdrygnąłem i nawet pan miał niepewną minę. Zewnętrzne drzwi opadały. Stan spytał gestem, czy ma wrócić na szkolny korytarz, ale pan -- głowę bym dał, że po chwili wahania -- dał mu znak, żeby został.

Toteż został.

Zewnętrzne drzwi się domknęły. Stan stał teraz sam, dziwnie mały w dość dużej śluzie, na głucho zamkniętej, zamki zarówno przy wrotach od strony korytarza, jak i od strony stołówki migotały rytmicznie zielonymi lampkami.

Pan od przyjaźni stał z ręką przy konsolecie. Ja stałem obok pana. Stan pytająco podniósł brwi.

-- Dlaczego czekamy? -- zapytałem grzecznie.

-- Nie podobał mi się ten dźwięk.

-- Więc może tym bardziej powinniśmy wpuścić Stana do środka?

-- Jeśli coś jest nie tak, nie mogę narazić was wszystkich, otwierając drzwi do wadliwej śluzy.

Westchnąłem w duchu; powiedzenie przez dorosłego "coś jest nie tak" oznaczało co najmniej przeprowadzenie diagnostyki, co potrwa dwadzieścia minut i zabierze prawie całą przerwę obiadową. A i tak najczęściej, ponieważ jak mawiają *Uzby*, "lepiej być przesadnie ostrożnym niż martwym", wzywano inżynierów, żeby zbadali podejrzany element od środka i od zewnątrz. Co dla Stana oznaczałoby siedzenie na podłodze śluzy i kręcenie młynka palcami przez dwie godziny. Co najmniej dwie godziny, o ile w innych częściach kolonii nie dzieje się nic bardziej pilnego.

-- Może pan zrobi tak jak z drugiej strony -- zaproponowałem.

-- Co masz na myśli, Leonardzie?

-- Niech pan podniesie drzwi na pół metra, Stan się wślizgnie do środka i od razu pan zamknie. Te drzwi tak szybko działają, że to będzie minuta. A inaczej on tam będzie siedział kilka godzin, wie pan, jak to jest.

Spojrzał na mnie podejrzliwie, ale nie kazał spadać, co uznałem za dobry znak.

-- Najgorsze, że wtedy z treningu nici -- westchnąłem, dobrze wiedząc, że pan od przyjaźni mieszka w naszym sektorze. -- A Filo, to znaczy pan trener Edmund, miał dziś ze Stanem obgadywać, kto będzie nowym kapitanem.

-- Nowym kapitanem? Wiesz, kto będzie nowym kapitanem?

-- No gdzie by mi tam coś powiedzieli -- łąłem jak z nut. -- Wie pan, że mnie mają za nieodpowiedzialnego łobuza.

-- Naprawdę? Nie może być! -- odrzekł pan od przyjaźni ze zdziwieniem, w którym tylko głuchy nie usłyszałby sarkazmu.

A jednak wcisnął guzik interkomu.

-- Stan, słyszysz mnie? Odbiór.

Stan po swojej stronie podszedł do krawędzi okna, gdzie znajdował się interkom.

-- Głośno i wyraźnie. Odbiór.

-- Dziwne były te dźwięki, musimy zrobić diagnostykę i wezwać inżynierów, ale najpierw cię wypuszczę. Otworzę wrota na tyle, żebyś się zmieścił. Przejdziesz dopiero wtedy, jak wyraźnie powiem. Zrozumiano? Odbiór.

-- Tak jest. Odbiór.

-- Czekaj na mój sygnał. Bez odbioru.

Pan przyłożył kartę, włączył ręczne sterowanie i kazał wrotom podnosić się na czterdzieści procent normalnej prędkości. Czyli wolno. Po minucie przejechały trzydzieści centymetrów -- ja już bym się zmieścił, ale nie jestem taki spuchnięty jak Stan -- kiedy u góry znowu coś zgrzytnęło i chrupnęło, tym razem znacznie głośniej. Stan, przerażony, spojrział w górę, ja zresztą też i pan od przyjaźni, i w ogóle wszyscy. Rozmowy w stołówce ucichły momentalnie, powietrze w sali zgęstniało od napięcia i strachu.

-- Może lepiej jak najszybciej... -- zacząłem mówić przez ściśnięte gardło, bo wrota podniosły się na pół metra i Stan dałby już radę przejść dołem, i w tej samej chwili coś szcęknęło metalicznie i gdzieś z sufitu śluzy trysnęła woda. Stan rzucił się na podłogę, chcąc uciec do stołówki, ale czujniki wody zadziałały szybciej i wrota runęły na dół całym swoim ciężarem, przygniatając rękę Stana w ramieniu. Chrupnęło, ręka wygięła się pod dziwnym kątem, palce skuliły się jak szpony, Stan zaskomlił.

Woda kaskadą wlatywała do śluzy i wlewała się do stołówki wartkim strumieniem przez szparę na dole, Stan krzyczał z bólu, dzieciaki krzyczały ze strachu, syreny alarmowe wyły.

-- Szybko! Do mnie! -- krzyknął pan od przyjaźni.

Większość dzieciaków tylko się cofnęła, ale sporo ferajny, w tym Pepe i dziewczyny z drużyny, zaraz znalazło się przy nas, walcząc z coraz silniejszym prądem wody.

-- Wszyscy łapcie za krawędź i ciągnijcie z całej siły do góry. Inaczej wrota obetną mu rękę. Szybko! Będzie tylko sekunda.

Nacisnął guzik interkomu. Z przerażeniem patrzyłem przez okno śluzy, jak szybko zapełnia się wodą. Przygwożdżony do podłogi Stan już z trudem łapał powietrze, wyciągając z całej siły głowę do góry.

-- Stan! -- krzyknął pan od przyjaźni. -- Kiedy wrzasnę, spróbuj uwolnić rękę, masz jedną próbę! Bez odbioru.

Wpisał jakiś skomplikowany kod na konsolecie i zawiesił palce nad migającym guzikiem RESTART.

-- Ciągnijcie z całej siły!!!

Napreżyłem się tak, że zęby mi zazgrzytały, a mięśnie w plecach zatrzeszczały. Obok mnie stał Pepe i ciągnął tak mocno, że język wyskoczył mu z gęby, a oczy prawie wyskoczyły z czaszki. Kilka osób krzy-

czało z wysiłku. Wrota nawet nie drgnęły, przysięgam wam, ani o ułamek milimetra. Zrozumiałe, uczyliśmy się o tym na inżynierii, nie sposób wygrać siłą mięśni z hydraulicznymi siłownikami.

Pan wcisnął RESTART.

Poculiśmy, jak opór się zmniejsza, teraz siłowaliśmy się tylko z wagą wielotonowych drzwi. Słowo "tylko" w tym zdaniu należy czytać z dużą ironią.

-- Z całej siły!!! -- wrzasnął pan. -- Stan, teraz!

Rycząc i krzycząc z wysiłku, podnieśliśmy, razem z panem, chyba w dwadzieścia osób, drzwi o milimetr, o dwa, o trzy, o pięć.

-- Mocniej!!! -- darł się pan.

Wiedziałem dlaczego. Na monitorze błyskały cyfry do końca restartu. Pięć, cztery, trzy... Kiedy procedura dobiegnie końca, siłowniki docisną z całą siłą wrota, zamieniając w żwirek nie tylko ramię Stana, lecz także wszystkie nasze sto palców.

Trzy, dwa, jeden...

-- Puszczamy!!!

Puściliśmy, odskakując w tył. Syknęły hydrauliczne węże, drzwi grzmotnęły o gniazdo w podłodze z taką siłą, że dreszcz przeszedł po całej konstrukcji, lampki w gniazdach błysnęły na zielono, woda przestała wpływać do stołówki.

Najpierw sprawdziliśmy, czy mamy wszystkie palce, potem rzuciliśmy się do okna. Stan pływał po coraz szybciej unoszącej się, spienionej powierzchni wody, płacząc z bólu i trzymając się za dłoń połamanej ręki, a pomiędzy zaciśniętych palców wypływała mgielka krwi.



-- Stan, pokaż dłoń -- powiedział pan przez interkom.

Stan pokazał. Ocalił ramię, ale dwa palce miał poważnie pokaleczone. Nie wyglądało to najlepiej.

-- Przestań się mazgać! -- Pan nie wydawał się przejęty. -- Masz myśleć i robić, co mówię, od tego zależy twoje życie.

Stan przez moment patrzył na nas niewidzącym wzrokiem, ale opowiadał się i pokiwał głową.

-- Śluza zaraz wypełni się wodą, musisz jakoś dotrzeć do przybycia inżynierów, którzy oszacują od zewnątrz, co się stało, i albo na tyle prowizorycznie załatają, żeby można było osuszyć śluzę i cię wypuścić, albo rozprują poszycie i wyciągną cię na zewnątrz. Rozumiesz?

Wody przybywało w zastraszającym tempie, nie widzieliśmy już powierzchni, tylko nogi pływającego na powierzchni Stana, ubrane w spodnie i buty.

-- Stan, zaraz przestaniesz mnie słyszeć. Nabierz głęboko powietrza i zanurkuj do awaryjnych pojemników z oxy po twojej prawej stronie. Powinny być cztery. Używaj oszczędnie, żeby ci starczyło do przybycia inżynierów. Wiem, że to bardzo trudne, że jesteś przestraszony i że cię bardzo boli, ale spróbuj medytować, tak jak się uczyliście u pani Klary. Od tego, na ile starczy ci tlenu, zależy, czy w ogóle przeżyjesz. Powodzenia, chłopcze. Bez odbioru.

Przez chwilę jeszcze obserwowaliśmy nogi Stana, a potem wierzgnął, zanurkował i przepłynął obok okna. Machał równo nogami, pomagał sobie jedną ręką, tę pokiereszowaną trzymał przyciśniętą do brzucha. Jego jasne, cienkie włosy, z których tyle razy się śmialiśmy, powiewały wokół otwartych czerwonych od płaczu i bólu oczu.

Cztery pojemniki? Nawet jeśli w tej sytuacji nie uda mu się medytować, to i tak powinno starczyć minimum na godzinę. Godzina, ile to godzina? Na meczu w oxy trzy kwinty razem z przerwami, chwila. Na ćwiczeniach z zasad bezpieczeństwa godzina trwa tyle, co pół dnia. Ile będzie trwała dla Stana?

Postanowiłem uznać, że godzina to bardzo dużo.

-- Dobra, dzieciaki -- zwrócił się do nas pan od przyjaźni. -- Trzeba was stąd ewakuować na spokojnie. Podzielcie się na grupy po dziesięć osób, zgodnie z procedurami, wybierzcie w każdej grupie najstarszą osobę, która pokieruje ewakuacją.

I nagle nie tyle zbladł, co zrobił się przezroczysty. W jego oczach, skierowanych do śluzy, zobaczyłem przerażenie. Zajrzałem do środka i zakręciło mi się w głowie. Stan krzyczał, darł się właściwie, z jego ust wylatywały chmury bąbelków powietrza, machał rękami i pokazywał gdzieś na bok, a potem przyłożył do szyby kciuk i palec wskazujący zdrowej ręki, połączone w literkę "o". Albo w symbol zera.

Zrozumiałem. Nie było awaryjnych butli z oxy. Patrzyłem na ostatnie chwile swojego najlepszego przyjaciela.



## Rozdział 17. O nienawiści

Nawet nie o to chodzi, że chcę wam oszczędzić opisu śmierci Stana. Nie widziałem jej, bo odwaliło mi tak, że musieli mnie siłą odciągnąć od śluzy. Słabo to pamiętam, ale podobno rzucałem się na panel, na pana od przyjaźni, darłem się, kłąłem, wrzeszczałem na innych, żeby pomogli mi odebrać panu kartę. Nie mogli mnie utrzymać i dopiero kiedy mama Liza wpadła do stołówki, udało jej się mnie uspokoić. To znaczy uspokoić to nie jest dobre słowo, udało jej się mnie obezwładnić.

Ech.

Nie widziałem, jak umiera. Ale widziałem zwłoki Stana unoszące się w wodzie. Patrzę teraz na to zdanie i nie wierzę, że je napisałem. Dostrzegam w ogóle po raz pierwszy w życiu kształt liter, mrużę oczy i przyglądam się im z bliska, jakby nie były znakami, tylko zastygłymi na chwilę magicznymi stworzeniami. Które to postanowiły ułożyć się w kształt słów "zwłoki Stana" i w ten sposób przywołały reakcje wszystkich zmysłów z tamtej chwili. Pieczenie podrażnionego od krzyku gardła, zapach stołówki, krzyki i płacze dzieciaków, powtarzane mi do ucha lodowate "spokój, Elek, spokój" mamy Lizy, jednostajny ból wykręconych przez nią ramion. No i ten obraz, od którego nie potrafiłem odwrócić wzroku. Mój najlepszy przyjaciel, spoko typ, naprawdę mądry gość, mieliśmy mieć razem przygody.

Wydaje mi się, że to wtedy zacząłem nienawidzić wszystkiego i wszystkich. Nie od razu, najpierw kompletnie nie wiedziałem, co się dzieje, spałem przez dwa dni. Przychodziły do mnie mamy, Filo, Pepe,

Virgilia, odwracałem się tylko plecami i milczałem. Powiedziałem, że chcę, żeby przyszła Alicja. Usłyszałem, że to niemożliwe. Chciałem powiedzieć, żeby w takim razie się wynosili, używając najbrzydszego, najgorszego znanego słowa, ale uznałem, że nie zasługują nawet na wulgaryzm. I wtedy ta gorycz zaczęła się we mnie zbierać, jakby mnie coś piekło wewnątrz ciała.

Trzeciego dnia odbył się pogrzeb Stana. Przyszły mamy i oznajmiły, że dały mi dwa dni na dojście do siebie i że ten czas się skończył, a teraz musimy pozbierać się po tej tragedii. I że jako najlepszy przyjaciel Stana zostałem wybrany, żeby móc uczestniczyć w pogrzebie. Tutaj mała uwaga: ponieważ do pomieszczenia bioreaktora mogła wejść ograniczona liczba ludzi, udział w pogrzebie traktowano jako wyraz zaufania i wyróżnienia. Pomysł, że chciałbym radośnie stać się częścią wrzucania trupa najlepszego przyjaciela do bioreaktora, wydawał mi się tak idiotyczny, że parsknąłem śmiechem.

-- To cię bawi? -- zapytała chłodno mama Liza.

-- Że uważacie, że chciałbym tam iść? Trochę.

-- Przykro mi to słyszeć.

Wzruszyłem tylko ramionami. Mama Betty usiadła obok, objęła mnie ramionami, na chwilę zrobiło mi się dobrze i miło, łza pocięła mi z oka.

-- Chodź z nami, Elek, potem będziesz żałował, że cię tam nie było - wyszeptła mi miękko do ucha. -- Takie pożegnania są ważne, nawet jeśli czasami nam się wydaje inaczej.

Prawie mnie przekonała.

-- Rozumiem -- powiedziałem spokojnie, a one westchnęły z taką ulgą, że można było poczuć, jak znika wypełniające nasz bąbel napięcie. -- Rozumiem, ale bardzo dziękuję. Nie idę. Nie mam ochoty.

Napięcie wróciło, jakbym pstryknął zaczarowanym przełącznikiem.

-- Nie obchodzi nas, czy masz ochotę -- warknęła mama Liza. -- Po prostu tam idziesz. Natychmiast.

-- Nie.

-- Zostaniesz ukarany.

-- Jak?

-- Surowo.

Milczałem, wzrokiem dając do zrozumienia, że będę potrzebował więcej szczegółów, jeśli mam zmienić zdanie. Chyba byłem kiepski we wzrokach, bo patrzyły na mnie, najwyraźniej czekając, aż się ruszę.

-- Naprawdę surowo. -- W głosie mamy Lisy słychać było lód, stal, grozę, ciemność i pustkę. Normalnie w innej sytuacji chyba bym się zebrał.

-- Czyli? -- drążyłem.

Spojrzały po sobie. Serio, naprawdę byłem ciekaw, co wymyślą. Utopić nie utopiają, do reaktora nie wrzucają, do strefy kontroli trafiało się za narażenie kolonii na niebezpieczeństwo, a nie za niegrzeczność. W świecie ograniczeń, zakazów, braku wolności i kontrolowania każdego kroku nie jest łatwo wymyślić komuś karę.

-- Zero życia towarzyskiego.

-- I tak was miałem o to poprosić. Dziękuję.

-- Zero oxy.

-- Jak wyżej. Bez Stana to nie ma sensu. Dziękuję raz jeszcze.

-- Nie wyjdiesz stąd ani na minutę do odwołania.

-- Znowu mnie uszczęśliwiłyście. A co z tymi karami?

Mama Betty patrzyła smutno i poważnie, mamie Lizie z wściekłości żyła pulsowała na szyi, wszystko to pewnie uznałbym za wielce dramatyczne, gdyby mnie obchodziło. Nie czułem strachu, jedynie spokój.

I nawet coś w rodzaju współczucia dla mam, które znalazły się w beznadziejnej sytuacji wszystkich rodziców, kiedy zdają sobie sprawę, że ich władza nad dzieckiem jest grą, a dziecko dostosowuje się do jej reguł, ponieważ zależy mu na nagrodach i boi się kar. Ale jeśli -- jak w moim wypadku -- nie zależy mu na żadnej nagrodzie i nie robi na nim wrażenia żadna kara, to co? Nico. Psińco. Bziańco. Pewnie dałbym się złamać fizyczną przemocą, bólem, torturami, ale to -- zapewne -- nie wchodzi w grę, co oznacza, że zwyczajnie przestały mieć nade mną władzę.

Musiały się poddać i to też zrobiły. Logiczne.

-- Długo, bardzo długo będziesz żałował, cierpiąc z powodu konsekwencji twojego dzisiejszego zachowania -- mnożyła czcze pogróżki mama Liza. -- My idziemy, ale wrócimy do tej rozmowy.

Z litości jedynie nie parskalem śmiechem i nie wywracałem oczami.



## Rozdział 18. O zrozumieniu

Wymyśliły, że złamią mnie samotność i bezczynność. I muszę przyznać, że wymyśliły to całkiem nieźle.

Nie chodziłem do szkoły, nie trenowałem w oxy, nie wychodziłem, nikt do mnie nie przychodził. Matki gdzieś się wyniosły, raz dziennie uzupełniały jedzenie i pytały, czy już. Odpowiadałem, że nie, dziękuję, jestem bardzo szczęśliwy, o takim właśnie życiu marzyłem. Czekałem, aż zamknie się za nimi śluza, i ryczałem, no bo to siedzenie samemu było nie do zniesienia. Wiedziałem, że podsłuchają i podglądają, ale było to silniejsze ode mnie. Jednego dnia po półgodzinie śluza się otworzyła, weszły matki, całe zatroskane. Że wiedzą, że ja płacę, że jest mi źle, że im też jest źle, że przecież się możemy porozumieć.

Spytałem, skąd wiedzą, że płakałem.

Zrobiły głupie miny.

Spytałem, czy to prawda, że przez cały czas ktoś nas obserwuje i słucha.

Powiedziały, że to dla bezpieczeństwa, że wiedza oznacza spokój dla wszystkich.

Zasugerowałem, że skoro wiedza oznacza spokój, to może w końcu podzielią się ze wszystkimi wiedzą o powierzchni, o naszej historii, o innych koloniach, o maszynowni, naprawdę całą wiedzą, wszystkimi informacjami. Żebyśmy, wicie, byli wszyscy spokojni i bezpieczni.

Powiedziały, że jestem niepoprawny, i poszły.

Tym razem nie płakałem, za bardzo mnie trzęsło z wściekłości.

Z trudem wytrzymałem kolejne dni. Zabrały mi książki, przybory do pisania i rysowania, każda chwila trwała tygodnie. Ale się zawiąłem. Faustyna pomogła. Tłumaczyłem sobie, że i ona, i ja jesteśmy tylko zwierzętami. I skoro ona nie potrzebuje przyjaciół, pogaduszek, oxy, książek, przygód i niesamowitych wydarzeń, tylko siedzi sobie i wygląda na szczęśliwą, to ja też potrafię. Po pierwsze: wysypiałem się za wszystkie czasy. Po drugie: dużo medytowałem, tak jak nas uczyła pani Klara. Sto tysięcy razy słyszałem: "skup się na oddechu, a jeśli twoje myśli uciekają, skup się na oddechu". Tak też próbowałem, co godzinę. Robiłem ćwiczenia siłowe z treningów oxy, miesiąc po miesiącu. Biegałem godzinę dziennie wokół bąbla. Szukałem czegoś dla mózgu i w końcu wpadłem na to, żeby mnożyć przez siebie coraz większe liczby w pamięci. Każdy potrafi pomnożyć dwa razy dwa i osiem razy osiem, ale na przykład trzynaście razy piętnaście wymaga już skupienia, trzeba pomnożyć trzynaście razy dziesięć i trzynaście razy pięć, dodać do siebie i tak dalej, im więcej cyfr, tym trudniej. Dużo też patrzyłem za okna, obserwowałem świt i zmierzch, grę światła w wodzie.

Dużo myślałem.

W sumie dość fajny czas.

Taki tylko dla mnie.

Miały mnie złamać samotność i bezczynność? To ja, na złość wam, osiągnąłem spokój. Możecie się teraz wypchać, głąby.

Po pięciu dniach przyszły matki z informacją, że muszę iść do naświetlarni. Grzecznie odparłem, że nie. One na to, że to nie wchodzi w grę, naświetlanie to kwestia zdrowia. Zapytałem spokojnie, czy zamierzają mnie tam zabrać siłą.

Cóż, bez dalszych konwersacji to właśnie zrobiły. Mama Liza wykręciła mi rękę, mama Betty związała plastikowymi tasiemkami rękę

i nogi i zaniósł mnie do naświetlarni. Tak mnie to zaskoczyło, że nawet się za bardzo nie rzucałem. Na miejscu rozciąły tasiemki, rozebrały mnie do naga, przywiązały do stołu i powiedziały, że wrócą za pół godziny, żeby przewrócić kotlet na patelni. Co było nawet dość zabawne, przyznaję.

Naświetlałem się sam. Pewnie uznano, że inaczej będzie to miłe mojemu sercu życie towarzyskie. Nie ukrywam, byłoby to miłe mojemu sercu życie towarzyskie. Ale leżenie samemu w ogromnej, oślepiająco jasnej, cieplej i cichej naświetlarni -- wow, żadna to była, muszę wam powiedzieć, kara. Wręcz przeciwnie. Zamknąłem oczy i kąpałem się w świetle, wsłuchany w kompletną ciszę.

Prawie kompletną ciszę.

W kolonii coś takiego jak "kompletna cisza" nie istniało, zawsze gdzieś kapiała woda, szumiała klimatyzacja, szurały drzwi śluz, klikały zamki, stukały buty, drgania roznosiły się po konstrukcji, od drgań brzęczały szklanki i sztućce na talerzach. Te dźwięki były nieodzownym tłem każdego momentu naszego życia do tego stopnia, że słyszenie TYLKO tego hałasu uważaliśmy za miłą, kompletną ciszę.

Ale tym razem jeszcze jakiś dźwięk przebijał się przez tak zwaną kompletną ciszę.

Chlupotanie.

Ciekawe.

Ciekawe, ponieważ paradoksalnie w kolonii nic nie chlupotało. Jeśli już, to natychmiast ogłaszano alarmy, bo to oznaczało, że woda dostała się do środka. Jedyne miejsce, gdzie chlupotało przez cały czas -- i być może dlatego znałem ten dźwięk -- to akwarium ze studnią do sfery. Chlupotało przy wskakiwaniu do studni, chlupotało przy wychodzeniu, chlupotało po prostu od ruchu wody. Chlupotanie -- tak, wiem, przy-



sięgacie sobie teraz, że przestaniecie czytać, jeśli jeszcze raz użyję tego słowa, ale naprawdę do czegoś zmierzam i naprawdę nie mam go czym zastąpić -- jest słyszalne tylko wtedy, kiedy powierzchnia wody o coś uderza.

Ale skąd niby w zanurzonej pod wodą naświetlarni powierzchnia wody?

I wtedy w mojej głowie błysnęło.

Ponieważ, debilu, pomyślałem do siebie niesympatycznie, naświetlarnia nie jest pod wodą! Tłumaczyli nam przecież, że jako istoty powietrzne potrzebujemy światła do prawidłowego rozwoju i w ogóle dla zdrowia, że więcej światła jest bliżej powierzchni i dlatego musimy się co tydzień wspinać po tych schodach. Ale przecież po co budować naświetlarnię blisko powierzchni, skoro można ją wybudować nad powierzchnią, bezpośrednio pod słońcem, to przecież logiczne rozwiązanie.

Szeroko otwartymi z ekscytacji oczami wodziłem wzrokiem po świecącej oślepiająco mlecznej kopule, machałem głową na wszystkie strony. Naprawdę? Naprawdę za tą kopułą jest świat nad powierzchnią? Powietrze? Wolność? Wzrok niezatrzymujący się aż po kraniec świata, tak jak to oglądaliśmy w maszynowni? Dlaczego w takim razie tam nie wychodzimy? Bo powietrze nie nadaje się do oddychania? Ale przecież mamy maski, mamy kombinezony i hełmy, więc skoro możemy oddychać własnym powietrzem pod wodą, to tak samo możemy nim oddychać na powierzchni. Dlaczego w takim razie w ogóle naświetlarnia jest zamknięta, dlaczego nie jest otwartą na słońce i światło platformą?

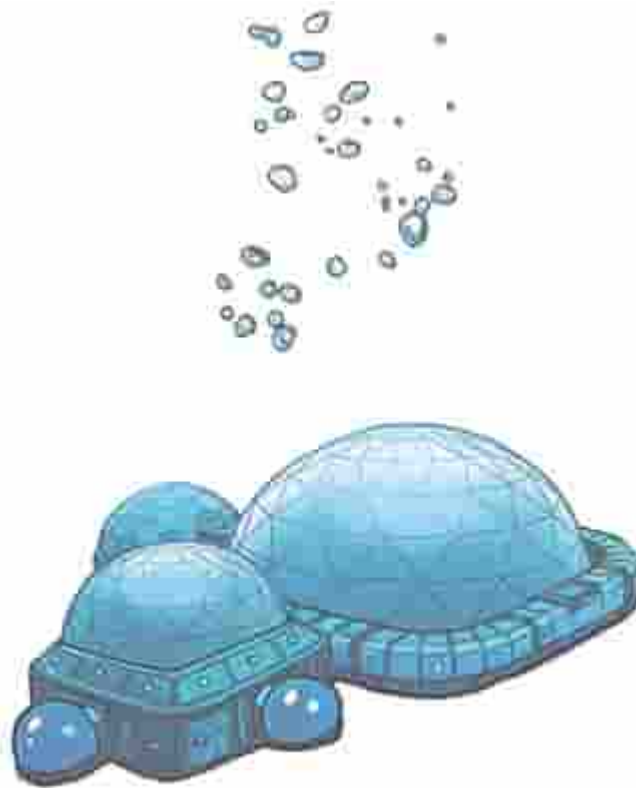
I wtedy w mojej głowie błysnęło po raz drugi.

Debil. Idiota. Kretyn. Półgłówek. Ćwierćmózg. Tuman. Głęb. Bęcwał. Jełop. Dureń. Innymi słowy: Elek.

O to chodziło Stanowi. Jak mogłem nie domyślić się tego od razu?

Naświetlarnia.

Jeśli wystawała ponad powierzchnię wody, dlaczego jej nie widzieliśmy, rozglądając się po powierzchni oceanu z maszynowni?



## Rozdział 19. O powrocie

Wizyta w naświetlarni stała się początkiem mojej wielkiej odnowy. Mamy przyszły nabzdyczone i spięte, gotowe na kolejną walkę, ale przywitałem je łzami, skruchą, pokutą i obietnicą szczerzej poprawy. Nie łyknęły od razu, do domu wracałem niesiony i spętany, ale pojawiła się w nich nadzieja.

Trzy dni jeszcze płakałem i przepraszałem, poszedłem nawet do bioreaktora, żeby uczcić Stana minutą ciszy, aż w końcu pozwoliły mi iść do szkoły, a potem na treningi. Dziewczyny opowiadały, że podobno w kolonii plotkowano, że po wypadku Stana i moim załamaniu mają odwołać całe mistrzostwa, ale szczerze w to wątpię, wypadki zdarzały się przez cały czas i od dziecka wpajano nam, że niezależnie od tego, co się wydarza, my idziemy naprzód, ucząc się na błędach i tym bardziej pamiętając, że od *Uzbów* i ich przestrzegania zależy nasze życie.

Mistrzostw nie odwołano, trenowaliśmy jak dzicy. Oficjalnie zgłoszona do rozgrywek pięcioosobowa drużyna składała się z Virgilia, Pepe i mnie oraz Beki i Suzie w rezerwie. Virgilia oczywiście jako kapitanka, jak wróciłem, to Pepe był już z tym pogodzony i nawet wpatrywał się w nią z nabożną czcią, co mnie jednak trochę wkurzało, bo V była MOIM mrocznym obiektem fascynacji. Zamierzałem jej o tym powiedzieć w jakimś dogodnym terminie, jak będę bardzo stary, będę miał trzydzieści lat czy coś. Mój powrót do normalności najbardziej rozczarował Bekę, która miała szczerą nadzieję, że albo umrę ze zgryzoty, albo w końcu wyślą mnie do strefy kontroli, a ona dzięki temu zagrzeje sobie miejsce w pierwszym składzie.

Trenowaliśmy, trenowaliśmy i trenowaliśmy bez przerwy, tak że nawet ja czasami zapomniałem o wszystkim, co mnie gnębi, i o swoich planach. Virgilia -- uważałem, że to moja zasługa -- rozkwitła w jednej drużynie ze mną i Pepe, rozumieliśmy się prawie bez gestów, wszystkie plany realizowaliśmy z szybkością i precyzją, w sparingach nikt nie miał z nami szans. Nie powiedziałbym tego głośno, ale tutaj mogę napisać, bo i tak to wszystko nie ma już żadnego znaczenia, że z Virgilią pływało się lepiej niż ze Stanem. Jej pomysły taktyczne nie były tak dopracowane, nie składały się ze zmyłki na zmyłce na zmyłce -- ale prościej je było zrealizować, nasza skuteczność zyskała. Jednak miał trochę racji Pepe, kiedy się wyśmiewał, że oxy to nie szachy, wystarczy być trochę szybszym, trochę lepiej zgranym, zdobyć o jeden punkt więcej. I już.

Ale myślę, że czasami warto planować kilka ruchów do przodu. O tym za chwilę.

Próbowałem -- kiedy uznałem, że burza wokół mnie już trochę przycichła -- napomknąć o samodzielnych treningach, ale zabójczy wzrok Fila nie pozostawiał wątpliwości co do tego, że na długiej liście osób, do których ma zaufanie, jestem na ostatnim miejscu, za niemowlakami i kurą Faustyną. Choć było widać, że nad tym ubolewa. Oprócz trenowania naszej fantastycznej trójki miał obowiązki na farmie, niepełna roczne dziecko i żonę nie mniej surową niż moja mama Liza (wiem, że żona to nie mama, ale ona mówiła do niego takim samym tonem, serio). Na pewno z radością pozwoliłby nam na samotne treningi. No, ale nie mógł, bo -- rozumiecie -- bali się, żebym nie wywinął jakiegoś numeru.

Mimo to często zdarzało mu się przychodzić na treningi później i wychodzić wcześniej. Pytacie, jak mogliśmy bez dorosłego przecho-

dzić przez służę między korytarzem kolonii a kaplicą? Otóż Filo dawał kartę do obsługi służy Virgilli.

Obserwowałem uważnie, jak ona to robi, uważnie, ale z oddali, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Nie potrzebowała żadnych kodów ani nic. Przykładała kartę do panelu sterowania, na ekranie pojawiał się zielony obszar, w który stukała palcem, i tyle. Trochę mnie to martwiło, miałem nadzieję, że Virgilia jest posiadaczką sekretnych kodów, jak ten, który pozwolił panu od przyjaźni obejść automatyczne systemy zabezpieczeń w służbie. Ale sama karta też pozwalała wykonać mój plan.

Uznałem, że nadeszła epoka miłości. Możemy ją nawet poetycko nazwać epoką trzech miłości. Do kury, do dziewczyny i tej najważniejszej, bez której wszystkie inne nie mają sensu: umiłowania wolności.

## Rozdział 20. O wychowaniu naprawczym

W ramach uspokajania czujności matek i odgrywania spektaklu pogodzenia się ze światem i z losem przyznałem, że po czasie żałuję, że nie poszedłem na pogrzeb Stana. Nawet było w tym trochę prawdy. Spodziewałem się pogadanki, ale zaproponowały coś zaskakującego: może chciałbym wybrać się do domu Stana. Nie miałem pojęcia, czy chciałbym, więc się zgodziłem – wedle podstawowej cechy swojej osobowości, która każe mi najpierw coś wykręcić, a potem się zastanawiać, czy to ma sens.

Stan mieszkał z mamą, tatą i dwiema małymi siostrami w tym samym sektorze, ale na drugim jego końcu, po drodze trzeba było się trzy razy prześluzować między segmentami i trwało to na tyle długo, że zdążyłem nabrać wątpliwości.

-- Dziewczynki będą? -- zapytałem w jednej ze śluz ze ściśniętym gardłem. Nie wyobrażałem sobie konfrontacji z rozpaczającymi po śmierci brata przedszkolakami.

-- Nie -- odpowiedziała sucho mama Liza. -- Tylko Magda. Znasz ją.

Znałem. Mama Stana była lekarką i choć nie byłem jej pacjentem, wpadała do mnie za każdym razem, kiedy byłem na zabiegu w sektorze szpitalnym. Lubiłem ją.

-- Czy gdybym nie doszedł do siebie -- zmieniłem nieoczekiwanie nawet dla siebie temat -- to wylądowałbym w strefie kontroli?

Mama Liza westchnęła.

-- Elek, po pierwsze jesteś na tyle duży, żeby nie wierzyć w bajki, że strefa kontroli to jakiś ociekający krwią obóz tortur, w którym straż-

nicy z zaostrozonymi zębami każą dzieciom łupać kamienie, śmiejąc się przy tym demonicznie.

-- Robią to na poważnie? Bez uśmiechu?

Żart, moim zdaniem udany, przeszedł bez echa.

-- Są dzieci, które swoim zachowaniem stanowią takie niebezpieczeństwo dla kolonii, że muszą zostać odizolowane i poddane resocjalizacji.

-- Czyli?

-- Jak by to powiedzieć... Wychowaniu naprawczemu, po którym mogą spróbować wrócić do kolonii.

-- Ale nie tej samej?

Mama Liza się zawahała.

-- Różnie bywa, w naszej pamiętam tylko trzy przypadki wysłania dziecka do strefy kontroli i było to na tyle blisko terminu przeprowadzki, że nie było sensu, aby tutaj wracały.

-- A jeśli nie uda się ich naprawić?

Staliśmy przed śluzą prowadzącą do bąbla Stana. To znaczy: do bąbla, w którym kiedyś mieszkał Stan.

-- Elek. Naprawdę? Teraz?

-- A czemu nie?

-- Dobrze, proszę. Jeśli nie uda się ich naprawić do momentu, aż wejdą w dorosłość, i ciągle istnieje niebezpieczeństwo, że stanowiąby zagrożenie dla Hydropolis, ponoszą karę dla dorosłych, czyli zostają wyeliminowani, a ich zwłoki trafiają do bioreaktora. Ale posłuchaj mnie, ty nie byłeś na drodze do strefy kontroli, po prostu ciężko przeżyłeś śmierć swojego przyjaciela i okazywałeś swoje emocje w formie nieposłuszeństwa. Zamknięty rozdział. Tak?

Miałem na końcu języka, że to ja decyduję, jaki rozdział w moim życiu jest zamknięty, a jaki nie, ale pokiwałem grzecznie głową. Jak bardzo naprawiony chłopiec.

A potem weszliśmy do bąbla. Bałem się, że się rozkleję, zemdleję albo zacznę szlochać zwinięty w kłębek, ale jakoś tak wszystko zamknęło się we mnie. Przywitałem się z ciocią Magdą, która na szczęście nie kazała mi ze sobą rozmawiać, tylko powiedziała, że mogę siedzieć w pokoju Stana, ile będę chciał, i zabrać, co tylko chcę. Potem zostały mi samego.

Siedziałem na łóżku Stana, takim samym jak moje, w identycznym pokoju, w prawie identycznym bąblu -- ten Stana chyba był nowszy i miał większe okna, zawsze mi się to podobało -- i wspominałem. Zaprzyjaźniliśmy się nad długo przed oxy, chociaż był klasę wyżej, miałem wtedy sześć lat i chlipałem na terapii, a on akurat przyszedł ze swoją mamą do kliniki. Bardzo poważnie, jak na dojrzałego siedmiolatka przystało, poradził mi, że różne łamigłówki i zagadki pomagają w ciężkich chwilach, bo odrywają nas od smutnych myśli. Nazwałem go grubym debilem i kazałem spadać, a on spytał, w ilu ruchach przesłuzować trzy rekiny i trzy flądry, zakładając, że można śluzować tylko dwa zwierzęta, że w śluzie zawsze musi być zwierzę i że jeśli gdziekolwiek zostanie więcej rekinów niż fląder, to rekiny zjedzą flądry. Wkurzyłem się strasznie, ale zacząłem rozkminiać problem, no i tak mi minęła terapia, aż zasnąłem. A następnego dnia znalazłem go w szkole i już poszło.

Przyjaźń to fajna rzecz, tyle wam powiem.

Siedziałem, wspominałem, zrobiło się ciemno, nie poganiali mnie, coś tam matki szeptały między sobą we wspólnym. Ale rozumiałem, że nie mogę tu siedzieć przez tydzień.



-- Bardzo dziękuję -- powiedziałem szczerze, kiedy wyszedłem w końcu z pokoju Stana. -- Chciałbym to zabrać, jeśli mogę.

-- I tak chciałam ci to przynieść. -- Ciocia Magda uśmiechnęła się smutno.

Przytuliliśmy się mocno, pożegnałem się grzecznie i wróciliśmy z mamami do siebie.

-- Myślisz, że dasz radę to ułożyć? -- Mama Betty wskazała w śluzie na trzymaną przeze mnie kostkę, piekielną łamigłówkę, która podobno była pamiątką po pierwszych powietrznych ludziach. Teraz rozumiałem, że musiała razem z nimi przejechać przez tę wielką nicość, jeszcze z ich świata.

Każda ścianka kostki miała inny kolor i była podzielona na dziewięć pól, wszystkie te pola można było wymieszać i ułożenie ich z powrotem, zdaniem moim i w ogóle wszystkich, nie wchodziło w grę. Pani nam to pokazywała na matematyce jako zabytkową ciekawostkę. Stan się uparł, że da radę, trzy tygodnie rysował jakieś schematy i któregoś dnia przyszedł do szkoły i ją ułożył. A potem twierdził, że jak raz się na to wpadnie, to jest łatwo i rzeczywiście po kilku tygodniach potrafił ułożyć kostkę jedną ręką w czasie zjadania kanapki. Pani od matematyki oczywiście była tak zachwycona, że dała Stanowi kostkę w prezencie i obwoziła go z nią po innych klasach, serio, brakowało tylko, żeby bilety sprzedawała.

-- To nieważne -- odpowiedziałem.

-- Jak to: nieważne? -- Matki jednocześnie zrobiły zdziwione miny. -- Chyba o to chodzi, żeby rozwiązać łamigłówkę?

Śmieszni są ci dorośli, czasami tak bardzo nic nie rozumieją.

Nie chciało mi się wyjaśniać, otworzyły się zewnętrzne drzwi i wyszedłem z bąbla mieszkalnego dwa-siedem-dwa. Tak naprawdę nie

myślałem już o tym, że Stan nie żyje. Myślałem tylko o tym, jak rozwiązać pewną łamigłówkę.

Aha, z tymi rekinami i flądrami, można to zrobić w jedenaście słuzowań.

## Rozdział 21. O randce

Jeśli akurat nie trenowałem, siedziałem u Faustyny albo kręciłem się po farmie. Mamy próbowały to trochę ograniczyć, ale dałem jasno do zrozumienia, że bez farmy czeka mnie kolejne załamanie nerwowe, i uznały najwidoczniej, że częste głaskanie kury to niewielkie wariactwo na liście moich potencjalnych wariactw.

Chodziłem, głaskałem, przerzucałem ziemię, szukałem robaków, uśmiechałem się miło do wszystkich i czekałem na okazję. Okazja przytrafiła się jakiś czas później i od tej pory przychodziłem na farmę nie tyle dla Faustyny, ile dla pewnego bezcennego narzędzia, które ukryłem głęboko w pojemniku z jej paszą.

Tego dnia, kiedy zdobyłem bezcenne narzędzie, wróciłem do domu, przekonany, że już po mnie. Że inżynierowie na pewno to widzieli w maszynowni, że mamy czekają na mnie z opaskami i z biletem w jedną stronę do strefy kontroli, że to niemożliwe, żeby taki numer uszedł mi na sucho. Ale nie, nic się nie wydało, moje obserwacje, że do tych zapyziałych szafek narzędziowych nikt nigdy nie zagląda, okazały się słuszne.

Miałem narzędzie. Potrzebowałem randki. Pierwszej i zarazem ostatniej.

Virgilia patrzyła podejrzliwie.

-- Zapraszasz mnie na randkę?

O matko, ona jednak była odważna, żeby tak użyć tego słowa jak gdyby nigdy nic i nawet nie mrugnąć okiem.

-- Nie wyobrażaj sobie. Zapraszam cię na spacer po farmie.

-- Spacer? Sama nie wiem. Nie brzmi zbyt interesująco. Moi starzy chodzą na spacer.

Uśmiechnąłem się szelmowsko, próbując nie zemdleć, i z jednej strony chciałem się ze wszystkiego wycofać, zapomnieć, uciec, z drugiej -- kiedyś w końcu trzeba.

-- Namówiłaś mnie. W takim razie zapraszam cię na randkę -- powiedział ktoś moimi ustami. -- Będziemy się trzymać za ręce i mówić sobie miłe rzeczy.

-- Ale bez całowania?

-- Nawet w policzek?

Udała, że się głęboko zastanawia.

-- W policzek, mówisz? No, może, zdecyduję "na do widzenia". Jeszcze nie wiem, czy podobają mi się randki, nie byłam nigdy na żadnej.

-- Ja też nie -- powiedziałem i roześmialiśmy się razem, i, kurczę, to było naprawdę fantastyczne uczucie, śmiać się głośno z Virgilią z tego samego. Niby śmiech to śmiech, ale zupełnie inny niż z mamami albo chłopakami. Po prostu fajnie było tak stać blisko siebie i się śmiać, miałem wrażenie, że ta chwila mogłaby trwać tydzień i bym się nie znudził. Śmiałybym się i byłoby mi wspaniale.

Zadzwoiłem z automatu przy sferze do mamy Betty, a Virgilia do swojego taty, który pracował w produkcji powietrza, i poszliśmy przez kolonię do służby farmerskiej, o której już mówiłem, że wielka była, straszna i groźna. To znaczy, ja już tego nie zauważałem, ostatnio bywałem w niej codziennie, ale Virgilia przechodziła przez nią tylko raz z całą klasą i niepewnie patrzyła na zamykające się ogromne wrota, kiedy byliśmy tam sami.

-- Nie bój się, to wbrew pozorom najbardziej zadbana służa w kolonii, chodzi bez przerwy. Przez cały czas pod nadzorem. -- Pomachałem do operatora widocznego wysoko za oknem sterówki. Odmachał.

Spojrzała na mnie i otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale szybko odwróciła głowę. Domyśliłem się, o co chodzi. Pewnie przyszło jej na myśl to samo, co mnie przychodziło przy każdym słuzowaniu. Że służa, w której unosiły się zwłoki Stana, też działała jak marzenie. Dopóki nie przestała. Cieszyłem się, że tego nie powiedziała. Że rozumiała, że wołałbym o tym nie rozmawiać. Lubilem tę dziewczynę i odganiałem od siebie natrętą myśl, że po tym popołudniu nigdy jej już nie zobaczę.

-- Teraz będzie taka niezręczna trochę sytuacja -- powiedziałem -- że chcę ci przedstawić moją drugą dziewczynę.

-- Nie wiedziałam, że masz pierwszą.

Zaśmialiśmy się razem. I wtedy zrozumiałem, że faktycznie Virgilia jest moją dziewczyną, odkąd zgodziła się przyjść na farmę. A może wcześniej? Mama Betty tak mówiła i że jestem durny jak wszystkie chłopy, ale myślałem wtedy, że się nabija.

Przedstawiłem jej Faustynę. Bałem się trochę, że zrobi coś głupiego, dziobnie, zagdaka albo zrobi kupę, wiadomo, to w końcu kura. Ale Faustyna zachowywała się jak prawdziwa dama, kręciła słodko główką i nadstawiała piórka do głaskania. Virgilia nie mogła się od niej oderwać, normalnie czułem się porzucony. Nie jestem pewien, czy takie uczucie powinno towarzyszyć człowiekowi na pierwszej randce.

-- Jest taka cieplutka pod piórkami!

-- Czuć, jak jej bije serce!

-- I jak oddycha!

-- Ja cię, ona patrzy na mnie, jakby mnie rozumiała!

Cóż, wygląda na to, że zaprosiłem Virgilię na randkę, żeby odnalazła swoją prawdziwą miłość.

-- Czy ona coś myśli?

-- Wtedy, jak Stan umarł i mi odbiło, i musiałem siedzieć przez cały czas w domu, to Faustyna mi pomogła, wiesz? -- powiedziałem nagle, zdziwiony, że komuś to opowiadam. -- Dużo myślałem o tym, że ona jakoś tak, jak by to powiedzieć, jest, po prostu. Nie wygląda, jakby przez cały czas kminiła, jak to zносиła jajko poprzedniego dnia i jak będzie dziobała ziarenka tydzień później. Tylko po prostu jest, i tyle. Też tak próbowałem, po prostu być i tyle. Jak Faustyna.

I nagle zalała mnie taka fala smutku, że już nie mogłem nic powiedzieć. Virgilia jakoś musiała to poczuć, spojrzała na mnie i miała w oczach takie dobre zrozumienie, którego nie widziałem nigdy u nikogo. Podeszła i mnie przytuliła, a ja zacząłem płakać, tak strasznie płakać, jakbym po raz pierwszy mógł wylać z siebie cały ten smutek. Osunąłem się na podłogę i szlochałem, ona razem ze mną i nic nie mówiła, tylko mnie cały czas mocno przytulała, a ze mnie ten smutek przez cały czas wypływał, ale wcale nie było mi coraz gorzej, tylko coraz spokojniej. Ciągle byłem smutny, ale już mnie ten smutek tak nie gryzł od środka.

-- Niezła randka -- wykrztusiłem, wycierając gile -- nie ma co.

-- Na pewno niezapomniana -- powiedziała. -- Po raz pierwszy ktoś mi zapłakał koszulkę, po raz pierwszy dotykałam kurę i po raz pierwszy się całowałam.

Szybciej mnie pocałowała, niż dotarło do mnie znaczenie tych słów. Nie chcę tutaj o tym pisać, bo nie umiem tego zrobić tak ładnie, żebyście sobie to dokładnie wyobrazili, a niedokładnie nie chcę. Poza tym czuję, że to jakieś niewłaściwe, że to powinno być tylko moje i Virgiii.

Niech tak zostanie. Powiem tylko, że ten pocałunek smakował jak zielona herbata.

Pobawiliśmy się trochę z Faustyną, pochodziliśmy po farmie, pokazałem Virgilii kilka upraw i celowo nie zabierałem jej w najbardziej śmierdzące miejsca, żeby jej nie obrzydzić farmy. Opowiadałem o ziarenku życia i o gąsienicach. Trzymaliśmy się za ręce i było naprawdę super. Randki to fantastyczna sprawa, jeśli jeszcze nie próbowaliście, to serdecznie polecam.

Wychodząc, w służbie znowu pomachaliśmy operatorowi, tylko tym razem Virgilia wydawała się wyluzowana, a ja ledwo żywy z przerażenia, przekonany, że jak odsuną się zewnętrzne wrota, czeka już na mnie podwózka prosto do strefy kontroli. Pytacie dlaczego? Bo w torbie z rzeczami na oxy miałem skitrane wygrzebane z karmy Faustyny narzędzie, a w kieszeni kartę do służby, którą świsnąłem Virgilii, kiedy koła mój smutek.

No wiem, nie ukazuje mnie to w najlepszym świetle, co poradzę.

Na skrzyżowaniu korytarzy Virgilia uśmiechnęła się łobuzersko i ostentacyjnie zapięła kieszeń na rękawie, z której wyciągnąłem kartę. Czyli wszystko wiedziała. Zmartwiałem.

-- Znajdziesz mnie kiedyś? -- zapytała.

-- No jasne.

Uśmiechnęła się w dziwny sposób, jakby nie zgadzała się ze mną, ale nie chciała tego przyznać.

-- Super. Będę czekać.

Cmoknęła mnie w policzek i odbiegła w stronę swojego bąbla.

## Rozdział 22. O ucieczce

Miałem tylko jedną szansę. Pewnie jeszcze miną ze dwie, trzy godziny, zanim mamy się zorientują, że coś jest nie tak. Kolejne dwie, zanim pogadają z Virgilią, pójdą do centrali, obejrzą nagrania z kamer kontrolnych. Niby dużo, ale też mało. Czyli musiałem działać błyskawicznie, zanim dotrze do mnie, że to nie ma żadnego sensu.

Rażno i na luzie, o mało nie umierając z przerażenia, doszedłem do śluzy, prowadzącej do sfery. Ponieważ ostatnie śluzowanie wypuszczało zawodników ze środka, zewnętrzne drzwi na korytarz były otwarte. Wlazłem do śluzy i przyłożyłem kartę do czytnika, przekonany, że albo nic się nie stanie, albo -- co gorsza -- zaczną wyć jakieś alarmy. Ale nie, najwidoczniej nie zamontowano czujników jedenastoletniego przerażenia, na ekranie wyświetlił się zielony napis, pytający, czy chcę przejść procedurę śluzowania.

Potwierdziłem.

I czekałem, aż najpierw zamkną się drzwi od strony korytarza, co trwało tak około stu lat, potem diagnostyka – dwadzieścia lat, a potem otworzą się drzwi od kaplicy, co trwało kolejne pięćdziesiąt. Postarzałem się tak, że nie pytajcie.

Wiedziałem, co muszę zrobić, bo myślałem o tym bez przerwy w ciągu ostatnich tygodni. Założyłem piankę, maskę, uprząż, reduktor, wziąłem ze stojaka dwie duże butle do nurkowania z zapasem tlenu na kilka godzin każda, i przypiąłem do paska uprząży cztery awaryjne, takie, z jakimi pływaliśmy na zawodach.



Zeżarłem trzy batony energetyczne i wypilem litr izotoniku, będę co prawda sikał do pianki jak głupi, no ale umówmy się, że to nie pierwszy raz, a dzięki temu będę nawodniony.

Przeszedłem przez obrotowe drzwi do akwarium, ciągle pewien, że w środku czeka mama Liza i powita mnie okrzykiem "niespodzianka!".

Nie czekała. Akwarium było puste i ciche, nawet woda w studni nie chlupotała, mogłem się przejrzeć jak w lustrze w nieruchomej tafli. Czułem strach. Zbliżał się wieczór, ciepłe, jasne akwarium wydawało się lepszym rozwiązaniem niż ciemna, nieprzyjazna, odpychająca woda. Co ja w ogóle robię? Mam jedenaście lat, dlaczego nie mogę po prostu żyć tak, jak wszyscy tego ode mnie oczekują? Nudzić się w szkole, wkurzać w domu, męczyć na oxy, wzruszać na randkach. Nie zadawać pytań. Nie buntować się. Nie sprawiać kłopotów. Nie szukać wolności.

Jak dorosnę, chcę zostać wolnym człowiekiem.

Wrzuciłem do studni bezcenne narzędzie podpieprzone z farmy i wskoczyłem za nim do zimnej, ciemnej wody. Z tym całym sprzętem szybko opadłem na dno sfery, wymacałem narzędzie i podpłynąłem po dnie do metalowej siatki, która oddzielała sferę od oceanu.

Zawahałem się. Ostatnia chwila, żeby zrezygnować. Gdybym teraz zawrócił, to może nawet nikt nigdy nie dowiedziałby się o moim szalonym planie. A może skończyłoby się, jak zwykle, na jakiejś śmiesznej karze. Ale czy naprawdę doszedłem tak daleko, żeby zostać teraz grzecznym? Bez sensu.

Włączyłem czołówkę, żeby widzieć, co robię. Złapałem we właściwy sposób swoje bezcenne narzędzie, czyli akumulatorową diaksę do cięcia metalu, uważnie sprawdzając, czy po włączeniu ostrze nie utnie mi

kilku palców. Dopiero potem ją odbezpieczyłem i zawahałem się po raz ostatni.

Serio, jak by tak pomyśleć na trzeźwo, moje poczynania nie miały żadnego sensu.

Toteż odpaliłem diaksę, przeciąłem w kilkunastu miejscach metalową siatkę i pozwoliłem wyciętemu fragmentowi opaść na dno, wzbudzając małą chmurę piasku. Odrzuciłem diaksę, poprawiłem sprzęt do nurkowania, podciągałem paski, odetchnąłem i wypłynąłem w ciemny ocean.

## Rozdział 23. O oceanie

Przypuszczam, że możecie się teraz zastanawiać, jaki właściwie miałem plan. Jest to bardzo dobre pytanie i niestety muszę was rozczarować, jeśli spodziewacie się, że będzie to zapis ostatecznego wariactwa, pamiętnik chłopca, który wypłynął w czarny ocean, aby stać się rybą i razem z rybami szczęśliwie spędzać życie.

Najbardziej, oczywiście, kusił powierzchnia -- popłynąć w górę, sprawdzić, czy faktycznie kopuła naświetlarni wystaje nad wodę, wspiąć się na nią i czekać, aż się zrobi jasno. A potem rozejrzeć się NAPRAWDĘ, a nie przez jakieś kłamliwe urządzenia z maszynowni. O matko, ale mnie swędziało w głowie, żeby to zrobić i sprawdzić, czy faktycznie wokół nas do końca patrzenia jest tylko woda. Bo może jednak jest tam jakieś dno nad powierzchnią. Łąd, jak oni to nazywali. Jak to może wyglądać? Pewnie taki piasek jak na dnie, tylko suchy. Bardzo to musi być zabawne: wystaje sobie piasek, a dookoła woda. Dużo jest tego piasku? Jeśli w ogóle?

A może widać naświetlarnie należące do innych kolonii?

Ciekawe.

Ale.

Ale nie miałem podstaw, żeby zakładać, że wszystko, czego dowiadaliśmy się w kolonii, to kupa bzdur. Podejrzywałem oczywiście, że opowieści o tym, jak zabójcze jest płynięcie w górę, to ściema wymyślona tylko po to, żebyśmy nie skorzystali z jakiejś okazji, nie popłynęli na powierzchnię i nie dowiedzieli się, jak jest naprawdę. Ale wszystkie eksperymenty z ciśnieniem pokazywały, że ciężar wody to potężna siła.

Skoro potrafi znieść wszystko, co schodzi głębiej, to może faktycznie coś dziwnego dzieje się w naszym ciele w czasie wynurzenia.

Wypłynąć na powierzchnię, zobaczyć prawdę i umrzeć? Nie, dziękuję.

Człowieku, miałeś powiedzieć, jaki masz plan, a nie jakiego nie masz planu! He, he, widzicie, naprawdę słyszę wasze myśli.

Pamiętacie przygodę z bioreaktorem i rurą, kiedy wasz Elek został waszym bohaterem? Otóż przez tę chwilę, zanim mama mnie ściągnęła z powrotem, kiedy rozvodnił się już szlam z rury i było coś widać, miałem okazję, żeby rzucić okiem na kolonię i świat dokoła. Jak pisałem wcześniej, kolonia wyglądała spektakularnie ze wszystkimi bąblami i z charakterystycznymi punktami, jak słup klatki schodowej naświetlarni, cylinder pomieszczenia bioreaktora, Sala Zgromadzeń, akwarium nad sferą do oxy.



Kolonia wydawała się bardzo rozwleczone, niska, niczym najeżona bąblami zagrzebana w piasku ryba płaszczka. Otoczona, hmm, otoczona właściwie niczym. Piachem. Wodą. Nudą. Poza jednym miejscem. W oddali, mniej więcej tam, gdzie biegła rura odpływowa odpadów z bioreaktora, widziałem COŚ. Co? Nie mam pojęcia. Może jakieś techniczne zabudowania naszej kolonii, czyli nic. Może inną kolonię. Może cokolwiek.

Tak czy owak, to tajemnicze coś stanowiło mój cel. Nie jestem idiotą, wiedziałem, że mnie wcześniej czy później zgarną i wyląduję w strefie kontroli, ale przynajmniej zobaczę coś więcej niż to, co zgadzają mi się pokazać, dowiem się czegoś więcej, przez kilka godzin to ja będę decydował, gdzie i jak płynę, co robię. Lepiej być wolnym przez chwilę, niż wcale.

Odbiłem się od dna i machnąłem kilka razy płetwami. Z dodatkowym obciążeniem płynęło się ciężiej, ale bez przesady. Minałem przeszklone, będące źródłem światła akwarium i znalazłem się nad kolonią. Zatkaną mnie.

I niech mi ktoś powie, że wolność nie ma sensu, że trzeba doceniać małe rzeczy, bliskość, przyjaźń i codzienne radości. No pewnie, że trzeba, nie mówię, że nie, ale ile są te wszystkie małe rzeczy warte, jeśli raz na jakiś czas coś (albo ktoś) nas tak nie zachwyci, że w ogóle przestajemy być sobą, a stajemy się tylko tym podziwem i zachwytem, i zdumieniem.

Oglądana z zewnątrz kolonia nocą takim właśnie wypełniła mnie zachwytem. Ogromne pole mniejszych i większych bąbli ciągnęło się daleko, padające z okien światła rozjarzały ocean stożkami różnej wielkości i jasności, wyglądało to, jakby jakiś wielki potwór zagrzebał się na dnie i wystawały z niego tylko świetliste kolce. Płynąłem sobie spokoj-

nie kilka metrów nad bąblami w stronę centrum kolonii, przepływałem przez światła i przez ciemności, zaglądałem ludziom do ich bąbli, widziałem, jak jedli, jak rozmawiali, jak grali w karty, no ja cię, mógłbym co noc tak pływać nad kolonią.

Dlaczego właściwie tego nie robiliśmy? Dlaczego nie wypuszczali nas poza klatkę do oxy na dzienne i nocne wycieczki? Dlaczego przez cały czas ta niewola, to bezsensowne ograniczenie?

Może dlatego, żebyśmy czegoś nie zobaczyli?

Pamiętałem, że w centrum kolonii znajduje się centrala inżynierów, od której wolałem trzymać się z daleka, do swojego bąbla też nie miałem ochoty się zbliżać, więc przepłynąłem krawędzią sektorów, nieopodal betonowego, pozbawionego okien słupa, w którym mieściła się klatka schodowa naświetlarni. Zatrzymałem się tam na chwilę i spojrziałem z ciekawością w górę -- oczywiście wszystko tonęło w mroku.

Kusiło.

Kusiło niewyobrażalnie.

Ale jednak zbyt wiarygodnie brzmiały opowieści o zabójczym wynurzeniu, o pęcherzykach powietrza, które pod wpływem zmiany ciśnienia rosły w naszym ciele i sprawiały, że eksplodują nam narządy wewnętrzne. Nawet jeśli ta koszmarna wizja została wymyślona, to na tyle dobrze, żeby nie chciało mi się ryzykować.

Popłynąłem dalej, w kierunku, gdzie powinien znajdować się budynek bioreaktora. Nie było to jakieś superproste, nie został w żaden sposób oświetlony i wszystkie zorze mieszkalnych bąbli przy całym swoim pięknem raczej utrudniały, niż pomagały go znaleźć. W końcu znalazłem farmę, znacznie mniej rozświetloną od reszty, i na jej końcu złowieszczo czarny na tle ciemnogramatowego oceanu duży cylinder, w którym mieścił się bioreaktor.

Kolejny dzień, kolejny sukces.

Zanurkowałem do dna, wzdłuż ściany i znalazłem rurę, którą nie tak dawno się czołgałem, żeby ratować kolonię. Miałem wrażenie, że to wszystko się przydarzyło komuś innemu, w jakimś innym życiu. Sprawdziłem, zostało mi jeszcze pół butli, której używałem, cała zapasowa i cztery awaryjne pojemniki. Czyli miałem jeszcze dwie godziny, żeby szukać przygody, potem będę musiał zawrócić i zapukać grzecznie do jakiejś śluzy, żeby mnie wpuścili. Spoko, co może pójść nie tak.

## Rozdział 24. O srebrnej lampie

Po półgodzinie zacząłem czuć się niepewnie, po godzinie byłem tak przerażony, że powietrze z trudem dostawało się do płuc przez zaciśnięte gardło. Świat wokół mnie zniknął. Kompletnie. Jakby go nigdy nie było. Jakby mnie nigdy nie było. Ciemność wokół stała się totalna, a kiedy zapalałem światło, żeby sprawdzić, czy rura przez cały czas jest obok mnie, bałem się jeszcze bardziej, bo wtedy na granicy pola widzenia w tym małym bąbelku mętnego zielonkawego światła pojawiał się plankton, drobinka piasku, czasem mignęła mała ryba.

Łowiłem ruch kątem oka, przekonany za każdym razem, że to morski potwór. Potem wkręciłem sobie, że przecież tymi rurami płynęły szczątki wszystkich zmarłych wrzuconych do bioreaktora i że jak dojdę do końca rury, znajdę tam białe czaszki i stertę kości, a na samej górze zwłoki Stana, który wyciągnie do mnie swoją białą rękę. W pewnej chwili tak mocno uwierzyłem w tę idiotyczną wizję, że zawróciłem i przez kilka minut musiałem przekonywać sam siebie, że to tylko sztuczki rozszalałej wyobraźni.

Płynąłem dalej.

Czy ta cholerna rura nigdy się nie kończy?

Gdzie jest to COŚ, co wziąłem wtedy za drugą kolonię?

No dobra, jeszcze godzina. Nawet jeśli będę musiał zawrócić, to na pewno ustanowiłem jakiś rekord dziecięcego oddalenia się od kolonii i na tę okoliczność zrobię sobie pamiątkowy medal z ziemniaka w strefie kontroli.



Po kwadransie zobaczyłem dziwną poświatę w kolorze jakby stali. Nic znanego, spodziewałem się raczej dalekich kropek światła, czyli kolonijnych świetlików, tymczasem stalowa poświata wisiała dość wysoko nad dnem, jakby nad drugą kolonią zawieszono ogromną lampę. Im dalej płynąłem, tym bardziej poświata zamieniała się, cóż, w lampę właśnie, coraz większą i coraz bardziej wyraźną, aż w końcu przybrała postać ogromnego świetlistego dysku o srebrzystej barwie, pokrytego różnymi cieniami.

Zdziwiłem się. Czy to źródło światła dla drugiej kolonii? Nie było tego światła zbyt wiele, woda wokół pozostawała czarna, może lekko tylko posrebrzona. Płynąłem teraz bardzo powoli, rozglądając się uważnie, w poświacie wyraźnie widziałem zarys biegnącej przez cały czas obok rury. Rura obok, za mną ciemność, wyżej przede mną świetlisty dysk, a poniżej -- PONIŻEJ! -- małe światełka, jakby druga kolonia znajdowała się w dole. Spojrzałem pod nogi. Pod sobą widziałem nierówną powierzchnię piasku, ale trochę dalej, w dole, pod srebrną lampą, jarzyły się białe, żółte i czerwone światełka, niektóre z nich nawet się przesunęły. W życiu, w życiu nie widziałem nic tak dziwnego!

Zacząłem szybciej machać płetwami, żeby znaleźć się nad tymi cudami, zanim dotrę do połowy swojego zapasu tlenu i będę musiał zdecydować, czy zawracać.

I wtedy ktoś mnie walnął w łeb. Boleśnie, w czubek głowy, dokładnie w to samo miejsce, które dopiero co mi się zagoiło po przygodzie w rurze, krzyknąłem, wypluwając ustnik automatu oddechowego, przed oczami pojawiły się małe białe eksplozje, zakręciło mi się w głowie i zachciało rzygać. Przeraziłem się nie na żarty. Jeśli stracę teraz przytomność, zanim znajdę automat, to po mnie. Zacisnąłem mocno usta, żeby nie nabrać wody, zmusiłem się do tego, żeby na spokojnie

sięgnąć do butli na plecach, znaleźć przewód, automat, włożyć go do ust i zaczerpnąć powietrza. Dobrze, oddychałem. Spokojnie, Elek, tylko spokojnie.

Jednocześnie strzelałem oczami na wszystkie strony, chcąc zobaczyć napastnika, ale nie widziałem nikogo. Uspokoilem się trochę, zdjąłem rękawiczkę i obmacałem głowę. Miałem guza, ale na szczęście żadnej krwawiącej rany, która mogłaby przyciągnąć czające się w głębinach mięsożerne stwory, czekające tylko na pyszny posiłek z Elka.

Kto mnie walnął? Chyba duch Stana, innej możliwości nie widziałem.

Cóż, wziąłem kilka głębokich oddechów i powoli, rozglądając się na wszystkie strony, ruszyłem w kierunku świateł. I zaraz odkryłem przeciwnika. Nie ktoś mnie walnął, tylko coś mnie walnęło. "Czymś" była przezroczysta ściana, która oddzielała mnie od drugiej kolonii.

Serio. Uwierzylibyście?

Nie miała końca w żadną stronę. Popłynąłem kilka minut w lewo, kilka w prawo, nie kończyła się. Na dole ginęła w piasku. Odważyłem się podplynąć kilka metrów do góry i wydawała się sięgać aż do powierzchni.

Skończył mi się tlen, musiałem wymienić butlę. Powinienem był zawrócić, ale zwyczajnie nie mogłem uwierzyć w swojego pecha. Jaja sobie robicie? To ja znajduję drugą kolonię z dziwną lampą i ruchomymi światłami i nie mogę jej odwiedzić, bo jakieś głąby wybudowały ścianę przez ocean? Serio? Serio?!

Po co? Dlaczego?

Siedziałem przy tej ścianie i nie mogłem się ruszyć, jakby od jej macania miało się otworzyć magiczne przejście. Przykładałem do niej maskę, żeby przyjrzeć się jak najlepiej światu po drugiej stronie.

Coś było nie tak. Coś było bardzo, bardzo nie tak.

I kiedy zrozumiałem, co jest nie tak, mało się nie udusiłem, ponieważ zapomniałem o oddychaniu. Światła za szybą, świecący dysk, widoczne niewyraźne kształty kolonii na dnie wyglądały inaczej, ponieważ nie znajdowały się pod wodą.

Świat za szybą był światem powietrznym.

I wtedy złapali mnie inżynierowie.

## Rozdział 25. O strefie kontroli

Jak łatwo się domyślić, piszę te słowa, siedząc w strefie kontroli. Pytacie: jak jest? W skrócie: beznadziejnie. Coś więcej? O matko, niech będzie.

Jak na razie nie wypuścili mnie z mojego pokoju. Jest dość duży, ma łóżko, biurko, trochę przyborów plastycznych, trochę książek, zresztą tych samych, które mieliśmy w kolonii. Pokój jest niski, prostokątny i nie ma żadnych okien.

Nie widziałem żadnej znajomej twarzy od momentu, kiedy zaciągnęli mnie do kolonii. W śluzie, kiedy opadła woda, zobaczyłem mamę Lizę, która mnie dogoniła razem z innymi inżynierami, a za śluzą czekała mama Betty. Nie powiedziały ani słowa. Ja zresztą też. Zaprowadzili mnie do szpitala, tam dostałem zastrzyk i obudziłem się już tutaj. Od tamtej pory, a to już tydzień, nie widziałem żadnej mamy, żadnego znajomego dorosłego, o dzieciach nie wspomnę, nie ma czegoś takiego jak odwiedziny w strefie kontroli.

Ponieważ, tak jak wcześniej tłumaczyły mi mamy, strefa kontroli to podróż w jedną stronę. Trafiają tu dzieciaki, które odwały tak grubą akcję, że gdyby to byli dorośli, zostaliby wrzuceni do bioreaktora. W strefie kontroli, w odcięciu od świata, czekają na przeprowadzkę, gdzie -- podobno -- dostają drugą szansę. Nikt nie wraca ze strefy kontroli do swojej kolonii. Nigdy dziecko ze strefy kontroli po przeprowadzce nie odwiedza swojej dziecięcej kolonii, jak to się normalnie zdarzało -- pamiętacie odwiedziny Alicji.

Czyli ile będę siedział w tym pokoju bez okien, kompletnie sam? Rok i trzy miesiące mi zostały do przeprowadzki. Jaka jest szansa, że przez ten czas nie oszaleję? Zerowa.

Jak na razie zadziały się dwie rzeczy. Obie dziwne.

Zaraz następnego dnia po tym, jak tutaj trafiłem, obca kobieta kazała mi iść ze sobą. Poszedłem, bo ton jej głosu bardzo czytelnie informował, że użyją siły, zanim dojdę do połowy swojej celnej riposty. Szliśmy korytarzem z kilkorgiem drzwi, identycznych jak te prowadzące do mojego pokoju. Na końcu weszliśmy do małego pomieszczenia. Kobieta kazała mi się rozebrać do naga i przejść przez drzwi z mlecznego szkła do śluzy higienicznej. Po drugiej stronie miały czekać na mnie ubrania. Cóż, nie protestowałem, bo przynajmniej działo się coś ciekawego. Wskoczyłem z ciuszków i wlałem przez szklane drzwi. Tam trysnęła we mnie para o gorzkim zapachu, taka ani zimna, ani ciepła, nawet dość przyjemne wrażenie, stałem tak ze dwie minuty. Potem para się rozviała, drzwi po przeciwnej stronie się rozsunęły i wszedłem do szatni, gdzie czekały na mnie klapki, spodnie i koszulka, wszystko w identycznym zielonkawym kolorze. Trochę za duże, ale włożyłem i wyszedłem. Za drzwiami stał mężczyzna, poprosił, żebym poszedł za nim.

Korytarz po drugiej stronie wyglądał na bardziej, jak by to powiedzieć, zużyty. Na podłodze pod ścianami zebrał się kurz, niektóre drzwi miały inny kolor, ściany przy włącznikach światła zabrudziły się od częstego używania. Aha, zapomniałem o ważnej rzeczy. To znaczy nie wiem, czy ważnej, ale na pewno to jakaś ciekawostka. Nie mieli tu absolutnie żadnych okien i wszystko było prostokątne. W mózgu mi trochę od tego trzeszczało, bo w kolonii wszystko jest obłe, zaokrąglone, bo bąble, bo nacisk wody, wiadomo, tłumaczyłem wam.

Wytłumaczyłem sobie, że strefa kontroli musi mieścić się w jednym dużym bąblu -- być może pomiędzy różnymi koloniami -- który zabudowano w środku takimi pomieszczeniami w kształcie kostki. Ciekawe, że nie miałem jeszcze żadnego szkolenia bezpieczeństwa, a to zawsze pierwsza rzecz w nowym miejscu. W *Uzbach* jest zapisane, że każda osoba przebywająca w pomieszczeniu musi wiedzieć, gdzie są najbliższy panel alarmowy, awaryjny tlen oraz śluza ewakuacyjna. Tutaj nikt mnie nie przeszkolił, poza tym nie widziałem nigdzie paneli awaryjnych, pojemników z oxy ani śluz. Z jednej strony dziwne, z drugiej bardzo ciekawe, nigdy nie widziałem wnętrza, które choć trochę przypominałoby strefę kontroli. Też trochę przerażające, bo nie miałbym kompletnie pojęcia, jak się zachować w przypadku rozszczelnienia albo jakiegokolwiek alarmu.

Z mężczyzną przeszedłem bez słowa pół korytarza, otworzył drzwi, zaprosił mnie gestem, a jak wszedłem, zamknął je za mną. W środku przy stole siedział starszy facet, siwy i pomarszczony -- nigdy nie widziałem kogoś tak starego i z włosami kompletnie bez koloru -- oraz kobieta w wieku moich mam, mniej więcej. Ale brzydsza, gruba i kanciasta. Znowu -- nigdy wcześniej nie widziałem tak grubej osoby, w kolonii to się nie zdarzało.

Zapytali, jak się czuję.

Odpowiedziałem, że spoko.

Czy wiem, gdzie jestem.

W strefie kontroli.

Uśmiechnęli się, jakby ich to rozbawiło.

A czy wiem, co się ze mną stanie.

Odparłem, że wedle mojej najlepszej wiedzy zostanę tutaj aż do przeprowadzki.

Poprosili, żebym opowiedział wszystko, co się wydarzyło. Że chcieliby to usłyszeć ode mnie. Co robiłem, co myślałem, co czułem, dlaczego podejmowałem takie, a nie inne decyzje.

Nie czułem się przez nich atakowany ani przesłuchiwany, traktowali mnie z szacunkiem, jak człowieka, z którym można rozmawiać, miłe i zaskakujące uczucie.

Ale i tak powiedziałem, że nie chce mi się z nimi gadać.

Spytali, czy jestem pewien.

Potwierdziłem.

Spytali, czy może chciałbym to spisać.

Na języku rosło mi już zdanie, że nie chce mi się z nimi pisać.

Ale nic nie powiedziałem. Nie wiem dlaczego. Może czułem, że to nie jest zły pomysł, wyrzucić to wszystko z siebie, ale na moich warunkach, takimi słowami, jakimi będę chciał.

Milczałem i tyle.

Powiedzieli, że to nie jest żaden podstęp. Że oni naprawdę chcą wiedzieć i zrozumieć, co się wydarzyło. Wyjaśnili, że miejsce, w którym teraz jestem, jest niezależne od kolonii. Że przecież dobrze wiem, że nigdy tam nie wrócę, więc mogę pisać, co chcę, że nie odbije się to na moich relacjach z rodzicami, kolegami i w ogóle z nikim, kogo znałem do tej pory.

Milczałem. Bo nie chciałem się rozpłakać, a na pewno zacząłbym szlochać, gdybym tylko otworzył usta. Bo niby wiedziałem wszystko, co powiedziała gruba baba, ale to na zimno i spokojnie wypowiedziane potwierdzenie przeszło mnie takim smutkiem, że miałem ochotę stracić przytomność, żeby tylko tego nie czuć. Tak, wszystko, co do tej pory znałem, lubiłem, kochałem -- wszystko to skończyło się nieodwołalnie i bezpowrotnie. Równie dobrze wszystkie te osoby mogłyby umrzeć

w czasie kolejnej katastrofy, z mojego punktu widzenia efekt byłby identyczny.

Mężczyzna powiedział, że da mi radę, choć oczywiście nie muszę z niej skorzystać. Że po pierwsze, to pisanie mi pomoże, nawet jeśli teraz nie wierzę w to, że może mi pomóc cokolwiek. A po drugie, jeśli to ma mieć sens, żebym nie pisał dla siebie, bo to bardzo trudne, nie da się samemu sobie opowiadać własnego życia. I żebym nie pisał z myślą o nich albo o mamach, bo wyjdzie z tego ocenzone wypracowanie szkolne. Żebym pisał tak, jakbym chciał swoim przyjaciołom opowiedzieć jakąś wielką przygodę i bardzo mi zależało, żeby wszystko sobie dokładnie wyobrazili.

Powiedziałem, że przemyślę sprawę.

Odpowiedzieli, że bardzo się cieszą i że nie ma pośpiechu.

Na to ja zapytałem grzecznie, czy każdemu więzionemu wbrew swojej woli dzieciakowi sprzedają gadkę o tym, że tak naprawdę został obdarowany spokojem i brakiem pośpiechu.

Mężczyzna uśmiechnął się lekko, a kobieta prawie parsknęła śmiechem. Poczulem ukłucie głębokiego smutku, bo mama Betty dokładnie tak samo robiła, kiedy ją rozbawiłem żartem, który powinna potępić. Ech, nigdy już nie zobaczę swoich mam, to jest jednak słabe trochę. Z jednej strony. Bo z drugiej, kiedy przypominałem sobie te nieruchome, milczące, bezlitosne twarze dwóch kobiet, nieraczących wyjaśnić żadnego z kłamstw, którymi karmiły mnie od urodzenia -- chrząnąć to, nie będę tęsknił.

Kobieta odchrząknęła i powiedziała, że to wszystko jest trochę bardziej skomplikowane i że ona obiecuje, że wszystkiego się dowiem. W swoim czasie.



W swoim czasie. Jakżeby inaczej. Ciekawe kiedy, pomyślałem, kiedy będę już stał nad grobem jak ten sędziwy starzec? Musiał mieć chyba z pięćdziesiąt lat.

Tego nie powiedziałem.

No to by było na tyle. Wróciłem do siebie, po drodze przechodząc jeszcze raz odkażanie i odzyskując ciuchy. Następnego dnia dostałem mały komputer, taki jak sprzęt edukacyjny w szkole, ale jedynie z funkcją pisania. Najpierw myślałem, że to niemożliwe, wszystko to opowiedzieć, że za dużo się wydarzyło, nie miałem pojęcia, gdzie zacząć. Od pierwszego wspomnienia? Bez jaj, nie będę opisywał całego dzieciństwa. Życie i czasy Elka Uciekiniera w dwudziestu tomach. Od poznania Stana? Od przeprowadzki Alicji? Od jej wizyty? W sumie to wtedy wszystko się zaczęło.

Zacząłem i... i mam wrażenie, że doszedłem do końca, nie wiem, czy coś jeszcze mam do napisania. Chyba nie.

A, wiem! Wspominałem, że w strefie kontroli przydarzyły się dwie ciekawe rzeczy. Jedna to wizyta u starego dziada i jego grubej kumpelki. Druga to ta, że od kilku dni -- a siedzę tu już ponad trzy tygodnie -- mam sąsiadkę. Totalna dzikuska. Drze się za każdym razem, kiedy ktoś przychodzi, ze słów udaje mi się wyłowić tylko najgłośniej wykrzyczane przekleństwa i przyznaję z szacunkiem, że są one spektakularne. Wczoraj wieczorem zacząłem pukać delikatnie w ścianę w nadziei na nawiązanie jakiegoś porozumienia. Przyłożyłem ucho, licząc na odzew, długo nic się nie działo, a potem musiała grzmotnąć z całej siły w ścianę czymś ciężkim, aż mi głowa odskoczyła. Wykrzyczała też bardzo głośno jedno słowo, które, hmm, zawierało w sobie propozycję, że bym szybko się oddalił. Nie za bardzo miałem gdzie, więc po prostu wróciłem do łóżka.

Jutro przekażę swoją opowieść i zobaczę, co wydarzy się dalej.

Kobieta naląła sobie gorącej kawy z dzbanka i usiadła przy stole. Przed nią, tak samo jak przed mężczyzną siedzącym naprzeciwko, leżał gruby plik kartek.

-- I co sądzisz? -- zapytała. -- Fascynująca lektura, niesamowita jest plastyczność tych dzieci niezależnie od tego, czy dostaną zajawkę na sport, na układanie kostki Rubika czy na pisanie, po chwili są w tym mistrzami. Kto to w ogóle wymyślił, żebyśmy byli najlepszą wersją siebie w wieku jedenastu lat, kiedy nie mamy pomysłu, co z tym zrobić.

-- Akurat temu błaznowi pomysłów nie brakuje.

-- Nie lubisz go? Naprawdę? Ale chyba nie masz do niego żalu, ponieważ opisał mnie jako grube kanciaste babsko, a ciebie jako umiającego starca w niewyobrażalnym wieku pięćdziesięciu lat?

Mężczyzna się zachnął.

-- Daj spokój, mają mnie obrazić wynurzenia jedenastolatka? Bardziej mnie zastanawia, czy tak się wyrwało ze szczerego młodego serca, czy to celowa złośliwość, napisana z myślą o pierwszych czytelnikach, żeby im włożyć szpilę.

-- Podejrzewam, że jedno i drugie. Bardzo mądry chłopiec. Wspomniały nabytek.

Mężczyzna wyrównał swój plik kartek, schował do grubej, pełnej już innych papierów teczki, zatytułowanej "Leonard Karol M., K2, 160311".

-- Teoretycznie tak, ale chyba tylko teoretycznie. Budzi sympatię i zbyt dobrze go oceniasz. Jest mądry, ale kompletnie niesterowalny.

Obieca ci jedno bez mrugnięcia okiem, już wtedy będąc pewien, że i tak zrobi drugie, a jak przyjdzie co do czego, to odpali trzecie, bo coś mu strzeli do głowy. Dziś mówię: zobaczmy. Ale intuicja podpowiada, żeby jak najszybciej się go pozbyć. Za dużo mieliśmy ostatnio wpadek, jeszcze jedna i po Hydropolis zostanie wspomnienie. A przecież wiesz, że bez Hydropolis....

Kobieta upiła kawy i skrzywiła się, jakby nie mogła się zdecydować albo jakby wolała nie zdradzać swojego zdania.

-- Zastanawiam się... -- powiedziała w końcu. -- Te wszystkie szyfry, które tam ukrył, te kłamstwa, zmyślenia, wymieszanie fikcji z rzeczywistością? Po co to? Naprawdę wierzył, że poza nami ktoś to przeczyta?

-- Nie wiem, też o tym myślałem. Dwa wytłumaczenia przyszły mi do głowy. Albo uznał, że się zabawi naszym kosztem, albo po prostu spodobała mu się zabawa w narratora, że może napisać co chce, ubarwić rzeczywistość. Idziesz?

-- Idę, idę, i tak się zasiedziałam. Chodź, jeszcze na nich spojrzymy.

Mężczyzna i kobieta wstali, zebrali swoje rzeczy i przeszli do pomieszczenia obok. Pozbawione okien, jak wszystkie inne, pełne było sprzętu elektronicznego, kabli, monitorów. Działały dwa, pokazujące w szerokokątnym ujęciu bliźniacze pokoje. W jednym, w pozycji siadu skrzyżnego siedział medytujący chłopiec. Dość wysoki jak na swój wiek, raczej o budowie hokeisty niż baletmistrza, z gęstą czupryną włosów w kolorze cynamonu nad ciągle dziecięcą buzią, już mówiącą, że wyrośnie z niego mężczyzna nie tyle interesujący, co po prostu klasycznie przystojny.

W drugim pokoju na łóżku z rękami pod głową leżała obcięta na jeża bardzo jasna blondynka w podobnym wieku, tak szczupła, że właściwie chuda, już po nastoletniemu nieforemna. Miała niezwykłą deli-

katną urodę średniowiecznej madonny, ale o takim wyrazie twarzy, jakby ta madonna bardzo chciała komuś wyjechać z dyni albo przynajmniej zbluzgać najgorszymi słowy. Na ścianie widniał schematyczny, ale niepozostawiający wątpliwości co do treści duży rysunek dłoni z wyprostowanym środkowym palcem.

-- Czym ona to namalowała? -- Kobieta zmarszczyła brwi. -- Przecież wszystko jej zabraliśmy.

-- Domyśl się.

-- Och.

-- No właśnie. Ciągłe uważasz, że to wspaniałe nabytki, które uratują Hydropolis? Pozbycie się ich to najlepsza opcja. Im szybciej, tym lepiej, i możemy wracać do roboty.

-- Nie wiem, może masz rację... -- Kobieta westchnęła z rezygnacją. -- Myślałam też o tym wszystkim, co ten chłopiec napisał, o tym wymieszaniu rzeczywistości z fikcją, o tych kodach. Myślisz, że to może być jakaś wiadomość? Że oni coś planują?

Mężczyzna prychnął.

-- Daj spokój, to tylko durne dzieciaki.

**KONIEC TOMU PIERWSZEGO**

## O autorze



**Zygmunt Miłoszewski** -- jeden z najbardziej lubianych pisarzy w Polsce i za granicą. Laureat wielu nagród literackich, tłumaczony na kilkanaście języków, ekranizowany. Międzynarodową sławę przyniosła mu trylogia kryminalna o prokuratorze Teodorze Szackim (*Uwikłanie, Ziarno prawdy, Gniew*). Autor książek przygodowych *Bezcenny* i *Kwestia ceny* oraz powieści *Jak zawsze* -- komedii romantycznej, dziejącej się w alternatywnej historii Polski. Trzymane przez Was *Hydropolis* to prezent dla nastoletniego syna -- ukazuje się piętnaście lat po premierze *Gór Żmijowych*, fantastycznej baśni napisanej dla dorosłej dziś córki. Żeglarz, mieszka w Warszawie lub na pełnomorskim jachcie.

Redaktorka inicjująca: Elżbieta Kalinowska  
Redaktorka prowadząca: Dorota Zwierzchowska  
Redakcja: Małgorzata Starosta  
Korekta: Katarzyna Bury, Małgorzata Denys  
Projekt okładki oraz ilustracje na okładce i wewnątrz książki: Piotr Sokołowski  
Zdjęcie autora: © Jakub Celej  
Skład i łamanie: Paweł Sky  
Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.  
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48  
tel. (22) 828 98 08  
[biuro@gwfoksal.pl](mailto:biuro@gwfoksal.pl)  
[www.gwfoksal.pl](http://www.gwfoksal.pl)  
ISBN 978-83-8318-250-6  
Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)  
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

**virtualo**